



Krystyna Loch

W Chorzowie czyli na Śląsku

Krystyna Loch

W Chorzowie czyli na Śląsku

*Skond jo byda
jak już nie bydzie Ślonska?
Byda Stond.*

*Zbigniew Kadłubek
„Listy z Rzymu”*

Chorzów 2009

Biblioteka Chorzowska nr 14

Projekt i opracowanie graficzne
Sylwester Właźlak

Zdjęcia na okładce
przód - pocztówka z Chorzowa z początku XX w.
tył - ze zbiorów rodzinnych autorki

Zdjęcia
ze zbiorów rodzinnych autorki,
Adrian Ślązok, Sylwester Właźlak

© Copyright by
Krystyna Loch

Wydanie książki sfinansowano ze środków
Samorządu Miasta Chorzowa

ISBN
978-83-60360-28-6

Kompleksowa obsługa poligraficzna, wydawca
Agencja Mediów Lokalnych „medial”,
ul. Wolności 19/21/1, 41-500 Chorzów
www.medial.media.pl

Wydanie I, nakład 500 egz.
Chorzów 2009

Druk: Centrum Usług Drukarskich – Henryk Miler, www.cuddruk.pl

Spis treści

Wstęp	4
1. Biadacz wita	5
2. Na Bismarku czyli w Hajdukach	8
3. Harcerstwo.....	13
4. Na dziółchy trza dować pozór	17
5. Godali że nie dają ani guzika	20
6. Bydymy teraz godać po polsku.....	23
7. Babcia i starzyk z Bandurskiego.....	25
8. Matka Boska Żandowska	29
9. Kaj my to som?	31
10. Czy Polska bydzie Połską?	38
11. Rusy nos „wyzwoliły”	41
12. Nic, yno trza rzykać	45
13. Co bydziesz dalej robić?.....	49
14. Szkoła na Farnej	51
15. Ślżak musi umieć coś konkretnego	56
16. Ekonomia polityczna i wongel.....	59
17. Trzeba z tym iść do Ziętka	61
18. Co mogli zrobić ekonomiści?.....	64
19. Klotka dło królików	68
20. Za Gierka	70
21. Otwarty świat	74
22. Huta Katowice.....	77
23. Mamy Dyjcymbra, a Kraków Papieża.....	80
24. Po co wyście tam na Ślżsku strajkowali?.....	83
25. Krajobraz po bitwie.....	87
26. Do Warszawy i do Niemiec.....	89
27. Do Świętej Anny	91
28. Związek Górnośląski	94
29. Zjednoczone Niemcy i Rzeczpospolita Polska	97
30. Ślżakom zachciewa się autonomii	100
31. Ślżskie godanie	103
32. Jak nie ma roboty to trza się uczyć	107
33. Dobrze że nasi ojcowie tego nie dożyli	110
34. Koniec wieku	112
35. Epilog.....	115
Zakończenie.....	119
Bibliografia	120

Wstęp

Chorzów to nie Wrocław, Kraków, czy Gdańsk, lecz miasto typowo przemysłowe, jedno z największych na Górnym Śląsku. Podobnie jest w dzielnicy Batory, czyli Hajdukach, gdzie była huta, Zakłady Koksochemiczne „Hajduki”, dawny Rütgers, oraz inne kopjące zakłady. Ludzie tu przyjeżdżający narzekali na brud, ciężkie, niedobre powietrze, ciasnotę, brzydotę. Ale zostawali, bo była praca. Ci którzy się tutaj urodzili i mieszkali z pokorą ścierali codziennie sadze z fensterbretów¹, kurze z mebli, pucowali i prali, bo wszystko prędko się brudziło. Ale byli przywiązani do tego miejsca, nawet je kochali. I uważali za swoje miejsce na ziemi.

Do tych właśnie ludzi należały moje starzyki i rodzice. I ja także do nich należę. Dlatego postanowiłam o tym miejscu napisać, o Hajdukach, Chorzowie, o mojej rodzinie, która tu żyła i podobnie jak inni przeżyła Niemcy i Polskę, lata trudne i trochę lepsze, sprawy bolesne, poważne, a czasem śmieszne. Chciałam napisać o moim ojcu i innych ludziach, którzy próbowali coś w Hajdukach zmienić, aby wyjść poza krąg biedy i ciężkiej pracy, zmienić stereotyp Ślązaka – robotnika. I pisząc o tym chciałam ocalić to wszystko od zapomnienia.

Ale chciałam napisać także o tym, jak w czasie mojego życia zmieniał się Chorzów, Hajduki, cały Śląsk, który z przemysłowego serca Polski Ludowej stawał się w III Rzeczpospolitej krainą upadku i biedy. A jednocześnie wskazać, jak miasto Chorzów stara się iść w niełatwą przyszłość, sięgając do własnej przeszłości.

¹ parapety

1. Bładacz wita

W Hajdukach czyli w Chorzowie Batorym nie mieszka już nikt z moich bliskich. Spoczywają na starym cmentarzu przy ulicy Granicznej. Jest tam też grób Marcina Kosia, na którego polu powstała Bismarckhütte, i jego żony Albiny. Zaraz za krzyżem jest grób Emila Marxa, jednego z dyrektorów huty i Wilhelma Blachy, przedwojennego prezesa Ruchu. Tu pochowano też ks. proboszcza Teodora Krząkałę, który uczył mnie religii i aptekarza Edmunda Baranowskiego, zamordowanego przez Niemców we wrześniu 1939 roku. Lubię tu przychodzić, przynieść kwiaty, zapalić znicze, podumać. Zawsze spotkam kogoś ze znajomych, bo starych ludzi ponoć ciągnie na cmentarz...

Potem robię sobie zwykle spacer po Hajdukach. Przechodzę koło starych bloków, patrzę w okna, gdzie kiedyś mieszkała Bogusia. Idę dalej w kierunku ulicy Odrowążów popatrzeć na moje liceum. Potem skręcam w ulicę Farną, gdzie jest fara, czyli probostwo, a za nim kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Pamiętam jak przed laty ks. Józef Foltynowicz śpiewał tu podczas mszy św. po łacinie prefację tak pięknie, że wydawało mi się, choć nic nie rozumiałam, iż pękną zaraz kościelne witraże, aby pieśń mogła dojść prosto do Boga. Tych witraży już nie ma, bo kościół niedawno wyremontowano i wprawiono nowe. W tym kościele modliłam się przed każdą klasówką, a potem przed maturą. Tu były pogrzeby starzyka i babci z ulicy Bandurskiego, oraz taty i cioci Heli.

Czasem skręcam z Granicznej na ulicę Stefana Batorego, kiedyś Kościelną popatrzeć na pięknie odnowioną dawną willę Kallenborna, gdzie kiedyś mój brat chodził do przedszkola. Teraz mają tu swoją siedzibę dwie spółki Zarmen i Montal, zajmujące się pracami remontowo – montażowymi dla przemysłu ciężkiego. Spółki te za niemałe pewnie pieniądze odnowiły zarówno samą willę, jak i dachy dawnych urzędniczych bloków. Z drugiej strony ulicy jest kolejna willa, kiedyś hutnicze kasyno, a teraz restauracja i kawiarnia. Za kasynem jest ulica Racjonalizatorów, dawna Lynska, potem Bandurskiego, gdzie mieszkały starzyki i ciocia Hela. Zawsze patrzę na ten dom z sentymentem, bo mam stamtąd wiele wspomnień. Nie mieszka tam już nikt z dawnych sąsiadów, ostatnia wprowadziła się Jola.

Któregoś dnia postanowiłam pójść na Bładacz, gdzie dawno nie byłam. Skręciłam w ulicę Bema i przeszłam obok gmachu dyrekcji Huty Batory z roku 1916, gdzie urzędowali dyrektorzy: od Clausa Kallenborna do ostatniego przed upadłością Huty. Wielkie okna dyrekcji pucowała przed wojną ponoć ciotka Gwoździńska. Za dyrekcją jest szpital, w którym zmarły mama i ciocia Hela.

Zaraz potem zaczyna się ulica Żelazna z halami i budynkami upadłej Huty Batory. W niektórych z nich działają jakieś spółki. Wzdłuż ulicy

wiszą grube, zardzewiałe rury. Pośrodku ulicy jest przejazd kolejowy, którym kiedyś jeździły hutnicze pociągi. Obok jest budynek bramy V gdzie robotnicy wchodzili do huty. Przy bramie nie ma figury św. Floriana, postawionej tu w pamiętnym 1981 roku. Święty Florian stoi teraz za gmachem dyrekcji Huty, a dokładnie przy wjeździe od ulicy Bema. Na ulicy Żelaznej był kiedyś duży ruch, szczególnie jak ludzie szli „na szychta”, albo z niej wracali. Teraz jest tu prawie pusto.

Za ulicą Żelazną zaczyna się ulica Leśna. Na jednym z domów ktoś napisał: „Biadacz wita!” Biadaczem nazwano domy w kwadracie tworzonemu przez ulice: Leśną, Wieniawskiego, Piekarską i Odrzańską. Jako dziecko pytałam dorosłych czemu jest to Biadacz, ale nikt nie wiedział. Myślę, że Biadacz pochodzi pewnie od słowa biadać. A ono – według Słownika poprawnej polszczyzny pod redakcją Witolda Doroszewskiego oznacza biadać nad kim, nad czym, biadać nad swoją niedolą. Mieszkający tu ludzie biadali pewnie nad trudnymi warunkami życia, kurzem i smrodem idącymi z huty, a może i własnym niedostatkiem. Jest to zarazem dowód że byli „ pod Niemcem”, ale znali polskie słowa i myśleli po polsku.

Jak Leśną pójść na prawo to idąc wzdłuż wielkich hutniczych generatorów dochodziło się do Kolonii Dolnej, zwanej też niekiedy Johanką. Na Kolonii Dolnej mieszkały moje dwie koleżanki: Ina dzisiaj mieszkająca w westfalskim Lünen i Lidka dziś mieszkanka Świętochłowic. W latach siedemdziesiątych teren Kolonii Dolnej zajęła Huta na składowisko, więc za ostatnimi domami na Leśnej zaczyna się szpera² i nie można pójść dalej.



Dom przy ulicy Leśnej, w którym się urodziłam.

² zamknięte przejście

Na Leśnej na lewo jest, jak kiedyś, restauracja. Pamiętam że starzyk zachodził tam niekiedy na piwo, albo na sznapsa³ i babcia robiła mu potem łostuda.⁴ A dalej jest dom w którym się urodziłam.

Dom ma pewnie ponad 100 lat, ale trzyma się całkiem dobrze. Otacza go wysoki płot, tak że nie mogę popatrzeć na plac, gdzie bawiłam się jako dziecko, zobaczyć co jest w ogródku. I czy są jeszcze chlywiki, w których były króliki i kury, a także węgiel i drzewo. Nie wiadomo też kto tu teraz mieszka. Jest domofon, ale na nim zamiast nazwisk tylko cyferki. Patrzę na okna na drugim piętrze, gdzie kiedyś mieszkaliśmy. Okna wychodzą na ulicę i tory kolejowe, a babcia umiała godzinami patrzeć wsparta na zygowku⁵ na pociągi jadące w stronę Katowic, Bytomia czy Gliwic.

Za domem zaczyna się ulica Wieniawskiego, gdzie mieszkała ciocia Hela, siostra taty z kuzynką Zytą. Stoją tu jak dawniej trzy domy z po czerniałej cegły. Tylko okna są nowe, plastikowe. Są też dawne chlywiki, lecz zamknięte. Ale nie ma domu naprzeciw, gdzie mieszkała kiedyś Marysia zwana w domu Rija. Pamiętam, że Rija często siedziała w oknie i coś jadła.

- Pewnie maszкеты⁶ - myślałam wtedy, bo babcia mówiła, że jak się mo maszкеты to trza jeść je w doma, aby innym dzieciom nie było żol! Rija siedziała potem ze mną w liceum w jednej ławce. Teraz mieszka w Köln.

Zastanawiałam się, co się mogło stać z domem Riji? Rozebrali go, albo się sam zawalił ze starości? Po chwili podszedł do mnie niemłody mężczyzna o szarej, zniszczonej twarzy. Spytał, czy kogoś szukam. Mówię że nie, że przyszłam tylko popatrzeć.

- Popatrzeć, na co? - pyta i patrzy na mnie podejrzliwie.

Z pierwszego domu wychodzi jakaś kobieta. Patrzę, nie niemożliwe! To Krysia, Krysia od Moskwiny, moja i kuzynki koleżanka z placu.

- Co tu robisz? - pyta zdumiona.

Mówię, że przyszłam popatrzeć na stare kąty.

- A Ty jeszcze tu mieszkasz? - pytam.

- Jak widzisz - odpowiada i pyta co u mojej kuzynki Zyty mieszkającej teraz w niemieckim Bottrop. Pyta, czy Zyta do mnie pisze. Bo do niej tylko na święta. Mówię, że do mnie też tylko na święta.

³ wódka

⁴ awantura

⁵ poduszka

⁶ słodycze

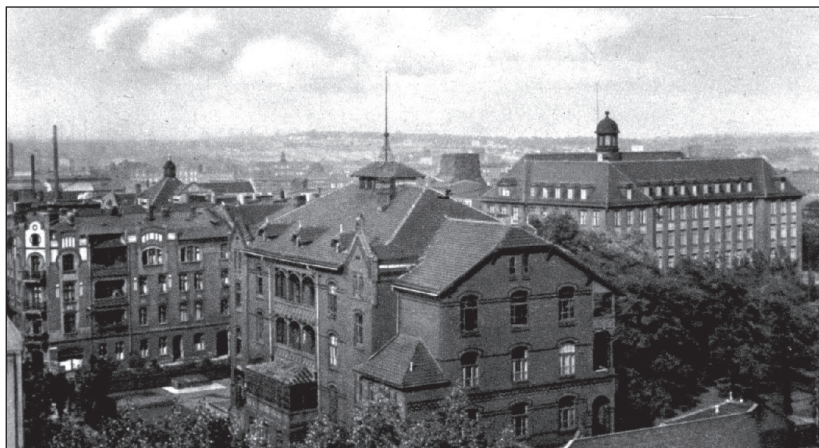
2. Na Bismarku czyli w Hajdukach

Babcia ze starzykiem przyjechali na Bismark czyli do Hajduk Wielkich w roku 1922. Przyjechali z Zabrzeża czyli z Hindenburga. Było po plebiscycie i przyznaniu Polsce części Górnego Śląska. Ludzie wtedy wędrowali, jedni na polską, drudzy na niemiecką stronę. Starzyk brał udział w powstaniu. Babcia pochodziła z Gierałtowiec koło Gliwic, gdzie w plebiscycie prawie 85% mieszkańców głosowało za Polską. Ale Gieraltowitz zostało w Niemczech. Podobnie Hindenburg, gdzie mieszkali niedaleko kościoła św. Andrzeja. Zapakowali więc wszystko co mieli na furmankę i przyjechali do tej swojej Polski.

Kiedy starzyki wyjeżdżali w roku 1922, Hindenburg uzyskał prawa miejskie i tata lubił potem podkreślać że jest „synek z miasta”. A Hajduki były tylko gminą, choć nie byle jaką, bo dużą. A do tego specyficzną, bo nie wiejską a przemysłową.

Gmina powstała w roku 1903 z połączenia dwóch samodzielnych gmin Górnych i Dolnych Hajduk. W połowie XIX wieku w Górnych Hajdukach był dwór z folwarkiem, wieś, potem włączono też kolonię Kalina. Dolne Hajduki też składały się z dworu i wsi oraz z kolonii Klimzowiec, którą potem włączono do Królewskiej Huty.

Obie gminy były położone blisko siebie, a każda z nich miała obiekty i grunty na terenie drugiej. Związki między Górnymi i Dolnymi Hajdukami pogłębiło powstanie w roku 1873 Huty Bismarck, która rozwijała się na terenie obu gmin. Powstały w związku z tym spory o rozdział podatków płaconych przez hutę. A także wspólne zadania, związane np. z budową ulic, zaopatrzeniem w wodę, kanalizacją, czy opieką społeczną.



Hajduki - widok ogólny

W roku 1903 połączono Górne i Dolne Hajduki w jedną gminę, którą nazwano Bismarckhütte od nazwy istniejącej tu od 30 lat huty. Mieszkający tu ludzie byli przywiązani do dawnej nazwy Hajduki, ale pracowali w hucie, czyli na Bismarku, stąd jeszcze w czasach mojego dzieciństwa używano obu nazw. A nasze ciotki i ujki z Żędowic do końca przyjeżdżali nie do nas, czy do Hajduk, ale na Bismark.

Zresztą babcia z Leśnej jeszcze w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku nie jeździła do Chorzowa, ale na Huta.

Nazwa Bismarckhütte obowiązywała do roku 1922, to jest do czasu przejścia przez Polskę części Górnego Śląska. Potem gmina wróciła do dawnej nazwy Hajduki z dodatkimi Wielkie, bo obszarem dorównywały miastu Królewska Huta w jej ówczesnych granicach.

Huta imieniem Bismarcka czyli Bismarckhütte powstała w roku 1872 na gruntach, które Wilhelm Kollmann, jej późniejszy dyrektor kupił od gospodarza Marcina Kosia. Do kupna ziemi doszło podobno w karczmie przy ulicy Raclawickiej przy litrze żytniówki. O Marcynie Kosiu przypomina jego grób na starym hajduckim cmentarzu, gdzie spoczął w roku 1911. Obok niego spoczęła żona Albina, a dalej jest grób kolejnych Kosiów: Błażeja, Józefa, Zofii. Są to być może dzieci, a może dalsi krewni. Groby są zaniedbane, zarośnięte trawą, a parę lat temu z grobu Kosia zniknęła figura Pana Jezusa, wzywającego wymownym gestem ludzi do siebie...

Kollmann działał sprawnie, bo od zakupu gruntu nie minął nawet rok kiedy 2 września 1873 roku rozpoczęto w hucie produkcję. Potem uruchamiano kolejne wydziały, zwiększano produkcję i zatrudniano coraz więcej ludzi. Aby sprostać konkurencji innych hut Bismarckhütte postawiła na wyroby o najwyższej jakości. Dla ich odróżnienia na rynku nadano im symbol B z koroną, bo Bismarck którego imię huta nosiła był księciem.

Moje starzyki przyszły tu pewnie dla tej huty, gdzie można było znaleźć pracę. Starzyk mówił zawsze, że pójdzie robić na gruba, czyli na kopalnię „jak tam bydą okna”. Poszedł więc robić do huty, bo jak godała babcia - kajś robić musioł!

Huta stała się motorem rozwoju Hajduk. W roku 1901 powstał tu kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny oraz szpital. Budowano też szkoły. Pierwsza szkoła powstała w roku 1865 przy dzisiejszej ulicy Armii Krajowej w kierunku Świętochłowic. Potem powstały następne: w roku 1884 szkoła na dzisiejszej ulicy Armii Krajowej w kierunku Załęża, w roku 1893 i 1906 szkoły na Kalinie. W roku 1911 zbudowano ratusz, a w dwa lata później, w roku 1913 dworzec kolejowy i pocztę. Powstawały też domy dla pracowników huty, urzędników i robotników.

Kollmann kierował hutą do roku 1908, a więc 35 lat i miał w Hajdukach swoją ulicę, nazywaną jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku Kolmanką. Na Kolmance nazwanej potem ulicą 16 lipca, bo tego dnia podpisano akt połączenia Górnego Śląska z Polską, stały domy zbudowane przez Kollmanna dla robotników, w tym także dom dla bezrobotnych, stojący do dzisiaj na rogu ulic Stefana Batorego i 16 lipca. Kollmann wybudował także łaźnię wraz z pralnią z której ludzie korzystali jeszcze po wojnie. Domy na Kolmance w Polsce Ludowej wyremontowano, wciągnięto między innymi wodę do kuchni, a potem zburzono, bo trzeba było poszerzyć drogę, czego starzy Ślązacy nie mogli zrozumieć.

Starzyki przyjechali do Hajduk Wielkich, gdzie większość, bo blisko 64%⁷ mieszkańców głosowała za Niemcami. Ludzie z sąsiednich Kochłowic uważali Hajduczan za zniemczonych i nazywali ich małzajtami, bo podobno w południe słyszało się tutaj często „Mahlzeit”, niemieckie pozdrowienie stosowane w porze obiadu, a oznaczające posiłek albo smaczno. Z uwagi na hutę byli tu Niemcy, dyrektorzy, urzędnicy i majstrowie, ale robotnicy byli w większości Polakami. Ci z kolei nazywali Kochłowiczian mietlorzami, bo ponoć sprzedawali w Hajdukach miotły.



Babcia, tata, ciocia Hela przed domem przy ul. Leśnej

Wbrew wynikom plebiscytu Hajduki dostały się Polsce. Starzyki zamieszkali w familoku na Biadaczu, gdzie kiedyś stały domy gospodarzy, a potem pobudowano mieszkania dla robotników. Dostali mieszkanie składające się z kuchni, pokoju i komory. Starzyk jak inni poszedł pracować do huty, która choć była w Polsce nazywała się nadal Bismarckhütte. Jej dyrektorem był Niemiec Claus Kallenborn, podobnie Niemcami byli urzędnicy i majstrowie. A starzyk za swoją robotę dostawał mniej niż zarabiał w Niemczech.

W Polsce był mniejszy Geldtag⁸, a przecież miało być lepiej! Korfanty obiecywał, że w Polsce każdy dostanie krowę i ziemię! Miało nie być sztojerów czyli podatków. Robotnicy poszli więc któregoś dnia do dyrektora Kallenborna i powiedzieli że chcą zarabiać tyle co ich koledzy w Niemczech. Na to Kallenborn - że huta jest biedna, bo Polska jest biedna! A im się chce zarabiać tyle co robotnicy niemieccy! Jak chcieli Polski to sami - jak powiedział - swoją biedę wybrali!

⁷ W oparciu o dane zawarte w ANEKSIE nr 1 do Encyklopedii Powstań Śląskich. Opole 1982

⁸ wypłata

Zaczęło się życie w biedzie, od strajku do bezrobocia i odwrotnie. Nie płacono płatu⁹ i brano w sklepie na pomp¹⁰, a potem spłacano długi jak była wypłata. Pewnie w tym czasie powstała piosenka będąca parodią pieśni „Boże coś Polskę”, którą śpiewano jeszcze po wojnie:

*Boże coś Polskę wyzwolił od biedy
Na Śląsk się cisną gorole i żydy!
Wojciech Korfanty jedzie na autoku
A my Ślązacy za nim po bosoku!*

Zastanawiałam się potem jak tyle ludzi wyjeżdżało do Niemiec, nawet takich, którym w Polsce żyło się dobrze czemu moje starzyki nie wróciły wtedy do Hindenburga? Przecież mieli tam rodzinę, siostry, braci, kuzynów, znajomych. Może nie chcieli się Niemcom sprosić, przyznać się, że zrobili źle? A może byli - jak mówi Kazimierz Kutz - po śląsku dupowaci? Czy też wierzyli że i w Polsce będzie dobrze?

Kiedy starzyki przyjechali do Polski mój tata miał 10 lat, a jego siostra Hela 7. Poszli do polskiej szkoły i było to dla nich, podobnie jak dla innych śląskich dzieci pierwsze spotkanie z Polską. Na Śląsku nie było analfabetyzmu, bo Ślązacy jako obywatele niemieccy mieli już od połowy XIX wieku obowiązek ukończenia 8 klasowej szkoły niemieckiej. Po polsku był tylko katejmus czyli religia.

Na polskiej części Górnego Śląska tworzono szkoły polskie oraz zgodnie z Konwencją Genewską szkoły dla dzieci Niemców, którzy tu mieszkali. Tworzenie polskich szkół nie było łatwe, bo brakowało miejscowych nauczycieli i trzeba było ich ściągać z innych regionów. Dzięki autonomii, jaką miało przedwojenne województwo śląskie jego władze były samodzielne w kształtowaniu i rozwijaniu szkolnictwa. Powstały tu więc 8-klasowe szkoły podstawowe, bo takie były przedtem niemieckie, czego w całej Polsce nie było. Władze zachęcały też polskich nauczycieli do przyścia tu do pracy specjalnymi dodatkami do płac. Ale zarazem stawiały też warunki. Na przykład wymagały od nauczycielek aby nie wychodziły za mąż, co być może, wynikało z obawy, że troska o dom i dzieci nie pozwoli im należycie poświęcić się pracy. Choć wynikało to też pewnie ze śląskiej tradycji, że pracę i zarobek powinien mieć przede wszystkim mężczyzna, który utrzymywał rodzinę. W śląskich szkołach uczyły więc tylko frele, czyli panny. Dodatki do płac spowodowały, że do pracy w województwie śląskim przybyło wielu z różnych stron, choć najwięcej z Galicji. Nauczyciele wykształceni poza Śląskiem w oderwaniu od miejscowych warunków i potrzeb przychodzili tu w większości dla pieniędzy.

⁹ czynsz

¹⁰ kredyt

Podobno niektóre nauczycielki nie miały ani mantla¹¹ na zimę, co dla Ślązaków było oznaką richtig¹² biedy. Ale i w przekonaniu, że mają do spełnienia misję, polską i cywilizacyjną. Czy mogli ją spełnić nie znając psychiki, mentalności Ślązaków? Nie znali miejscowej gwary, stąd trudno było im porozumieć się zarówno z dziećmi, jak i ich rodzicami. Po latach opowiadał jeden z kolegów mamy z placu jak go pani w szkole posłała do sklepu po wątrobiankę:



Paweł Ciastuła (zdjęcie z końca lat 70.)

Pawłem Ciastułą pochodzącym z Lubelszczyzny przyjaźnił się potem przez długie lata. I pewnie szkoła sprawiła, że tatę ciągnęło do nauki, choć nie miał w domu warunków. Nie chciał być robotnikiem jak starzyk.

- Jo ci te byamterswo¹⁴ z dupy wygonia ! - krzyczał ponoć starzyk jak tata mówił, że chciałby być byamtrem czyli urzędnikiem. Bo starzyk jak inni prosił już majstra, aby synek jak skończy szkoła mógł przyjść do roboty. Tata poszedł wprawdzie po szkole pracować do huty, ale „nie odpuszczał”. Jeszcze jak chodził do szkoły to roznosił gazety, a za zarobione pieniądze kupował książki. Jak pamiętam, kupował książki zawsze, często kosztem innych rzeczy. Przekazał potem ten nawyk mnie i bratu, a szafy z książkami zajmowały znaczną część naszego późniejszego dużego mieszkania. Dzięki książkom tata - jak mówił nie nauczył się palić. Mógł potem bez problemu wstąpić do harcerstwa, gdzie nie było wolno palić papierosów i pić alkoholu.

- Rehtorka mi pedziała, że mom jej kupić 10 deko wątrobianki. A jo nie wiedzioł co to jest. Dopiero masara wiedziała, że lejberwuszt!

Inny opowiadał jak nie wiedział co to jest piłka nożna? Jo myśioł naprzód, że to jest coś od noża. A to był fusbal!

Tata opowiadał, że często dostawał od nauczyciela po łapach, bo nie mówił czysto po polsku. I za to że pisał zadania na tytkach¹³, bo nie miał pieniędzy na zeszyty. Ale ogólnie lubił szkołę. A z jednym z nauczycieli

¹¹ płaszcz

¹² naprawdę

¹³ papierowe torebki

¹⁴ urzędniczenie

3. Harcerstwo

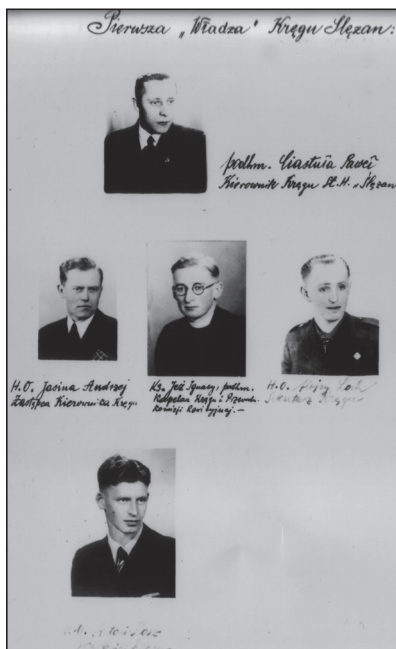
Tata z harcerstwem zetknął się jeszcze w szkole, bo zorganizował je nauczyciel Paweł Ciastuła. Drużyny liczyły kilkunastu chłopców, a zbiórki odbywały się w klasach. Ciastuła organizował też wycieczki w najbliższe okolice, potem dalej w inne zakątki Polski. Organizował też zbiórki w prywatnych domach i przy okazji odwiedzał swoich uczniów, poznawał warunki w jakich żyli, biedę i brak nadziei. Postanowił coś zmienić, wyrwać młodych z marazmu, biedy, pokazać im inny świat. W Hajdukach powstały wtedy drużyny harcerskie i Paweł Ciastuła stał się opiekunem jednej z nich, drużyny im. Tadeusza Kościuszki. Do tej drużyny wstąpił też mój tata.

Potem Paweł Ciastuła utworzył Krąg Starszoharcerski Ślązan dla starszych, wracających z wojska do domu, którzy często nie mogli znaleźć pracy. Nazwa „Ślężanie” nie została wybrana przypadkowo, bo było to plemię słowiańskie, zamieszkujące tereny wokół góry Ślęzy i Wrocławia. A więc dawni mieszkańcy Śląska, których spuścizny harcerze mieli bronić przed Niemcami. A trzeba było szykować się do tego, bo coraz bardziej widoczne było zagrożenie ze strony mniejszości niemieckiej, którą wspierali Niemcy zza pobliskiej granicy.

W pierwszej władzy Kręgu Ślązan był obok Pawła Ciastuły także kapelan ks. Ignacy Jeż oraz trzech „starszoharcery”, w tym mój tata.

Harcerstwo otworzyło przed tatą inny świat: zbiórek, obozów, spotkań. Pozwoliło też nawiązać kontakty z innymi, młodymi ludźmi. Znalazł tam wielu przyjaciół. Wiem o dwóch najbliższych, o Antonim Koszu i Józefie Kiwerze. Pierwszy z nich zginął na wojnie, ale kontakty z jego rodziną, rodzicami i rodzeństwem trwały przez długie lata. Długo też trwała przyjaźń taty z Kiwerem, który jak pamiętam bywał w naszym domu.

Nie sposób nie wspomnieć też o długoletniej przyjaźni jaka łączyła mojego ojca z księdzem Ignacym Jeżem, późniejszym biskupem pomocniczym w Gorzowie,



Pierwsza władza Kręgu Ślązan



Na obozie harcerskim (czwarty od góry z lewej to mój tata)



Ks. Ignacy Jeż na mojej I Komunii Św.

a następnie biskupem ordynariuszem diecezji koszalińsko – kołobrzeskiej. A ta zaczęła się w harcerstwie, bo ks. Jeź jako młody hajducki wikary opiekował ię harcerzami.

Przyjaźń ta była zresztą częścią związku jaki łączył księdza Jeża z Hajdukami. Był to związek piękny i niecodzienny, bo przecież ksiądz Jeź jako młody człowiek był tu kapelonkiem, czyli wikarym przez 5 lat, od roku 1937 do czasu aresztowania w roku 1942 i wywózki do Dachau. A odwiedzał hajducką parafię jeszcze na początku XXI wieku, jako blisko 90 letni Biskup, „Jego Ekscelencja”, zawsze pamiętany, oczekiwany i serdecznie witany.

My też witaliśmy go w domu jako najważniejszego gościa kiedy przybywał zapraszany na rodzinne uroczystości, czy na zwykłe odwiedziny. Z tych wizyt pozostały liczne książki, nie tylko do nabożeństwa, zawsze z ciekawą dedykacją.

Tata z kolei odwiedzał księdza w Katowicach, gdzie był katechetą i dyrektorem Katolickiego Gimnazjum im. św. Jacka, oraz rektorem Niższego Seminarium Duchownego. Pamiętam że byliśmy tam też z mamą, kiedy ksiądz Jeź po śmierci babci z Leśnej odprawił za nią mszę św.

Ojciec był przekonany że Ignac, jak nazywał przyjaciela księdza, zajdzie wyżej.

- Ignac, jak zostaniesz prałatem to byda Ci szczewiki pucować! – powiedział do niego podczas jednych odwiedzin.

- Co Ty Alojz opowiadasz za głupoty! – odpowiedział ks. Jeź, śmiejąc się jak zawsze.

Okazało się potem że tata go nie docenił. W roku 1960 ks. Jeź został biskupem pomocniczym w Gorzowie u biskupa Wilhelma Pluty, rodem z Kochłowic, a więc u mietlorza! A 12 lat później, w roku 1972 – pierwszym od roku 1007, od czasu niemieckiego biskupa Reinberna¹⁵ biskupem w Kołobrzegu. A zarazem jednym spośród biskupów Ślązaków: Bolesława Kominka, Jerzego Stroby i Wilhelma Pluty ordynariuszem diecezji na Ziemiach Zachodnich. Można więc powiedzieć że Ślązacy tworzyli tam zręby polskiego kościoła.



Na obozie harcerskim (pierwszy z lewej - mój tata)

¹⁵ Według Kroniki Thietmara Reinbern był biskupem w Kołobrzegu w latach 1000-1007. Od tego czasu nie było tam biskupa do przyjścia biskupa Jeża

Odległość między Gorzowem, potem Kołobrzegiem i Chorzowem nie sprzyjała bliskim kontaktom, ale ojciec zawsze pamiętał o wysłaniu kartki „do Ignaca” na święta, na imieniny 31 lipca, czy pozdrowień z wyjazdów. Podobnie czynił ks. Biskup. Tata zawsze dostawał od niego jedyną kartkę imieninową 21 czerwca, w dzień św. Alojzego Gonzagi, choć jako Ślązak imienin nie obchodził. I od ks. Biskupa Jeża przysłała też do nas pierwsza kartka z Rzymu.

Harcerstwo pozwoliło ojcu nie tylko spotkać przyjaciół, ale i poznawać Polskę, której nie znał. Poznawał ją wprawdzie z kolegami harcerzami, a potem z mamą. Miał też okazję poznawać inne kraje. Pamiętam miedzioryt z harcerskiego jamboree w Gödöllo na Węgrzech w roku 1933, w którym tata uczestniczył. Opowiadał że była tam okazja, aby pokazać innym coś z własnej, narodowej kultury. Oni jako Polacy skorzystali z tego, śpiewali piosenki, tańczyli krakowiaka, trojaka, mazura. Mówił też o wzruszeniu jakie odczuwali kiedy na maszt wciągano polską flagę.

4. Na dziołchy trza dować pozór

Ojcu udało się w końcu dostać posadę urzędnika w kancelarii adwokackiej pana mecenasa Stanisława Druszkowskiego. Tam poznał moją mamę. Rodzice mamy Paweł i Augusta Gandyk przyjechali do Königshütte, czyli do dzisiejszego Chorzowa z Lonkau - to jest z Łąki koło Pszczyzny. Łąka była starą śląską wsią, o czym świadczą drewniany kościółek św. Mikołaja, stojący tam od roku 1692. Ojciec był Ślązakiem katolikiem, matka Niemką ewangeliczką. Mieli sześcioro dzieci, dwóch synów i cztery córki. Wszystkie dzieci zostały katolikami, bo tak życzył sobie mąż i ojciec, a jego wola się liczyła.

Matka zwykle wychowuje dzieci i ona wychowała je w innej wierze niż jej własna. Na Śląsku mieszkali katolicy, ewangelicy zwani po śląsku wanielikami i Żydzi a wszyscy jakoś razem żyli. Jak napisał Anton Oskar Klausmann wielu ewangelików dawało pieniądze na budowę katolickich kościołów, a na pogrzeby katolików, jak burmistrza Rothera w Mysłowicach przed jego trumną szli duchowni wszystkich trzech konfesji w swych ceremonialnych szatach¹⁶. Ale nikt nie słyszał o ekumenizmie i dla każdego wtedy tylko własna wiara była prawdziwa. A ona ewangeliczka wychowała dzieci po katolicku. I wychowała dobrze, bo po latach jeden z jej wnuków, syn wujka Paula został w Bawarii katolickim księdzem.

Rodzice mamy mieli w Königshütte duży dwupiętrowy dom, który babcia Augusta miała pecha sprzedać po śmierci męża w czasie wielkiej, powojennej inflacji. Za pieniądze ze sprzedaży domu zdołała podobno kupić tylko ubrania swoim synom, a moim przyszłym wujkom. Według innej wersji kupiła za to tylko pudełko zapalek... To ją załamało, bo była osobą wrażliwą, a została sama z szóstką dzieci bez środków do życia. Wkrótce potem w roku 1923 umarła i pochowano ją w w Königshütte na ewangelickim cmentarzu.

Nieszczęsna sprzedaż domu wywarła istotny wpływ na dalsze życie rodziny. Dzieci mieszkały tam nadal, ale dom nie był już ich własnością, co mocno przeżywały. Uwierzyli że rodzina ma pecha, że nic dobrego ich już nie spotka.

- Gandyki som pechowe! – mówiły ciotki jeszcze po latach.

Kiedy potem wujek Paweł, mąż cioci Anny kupił dla nich dom to powiedziała z satysfakcją: I co, zaś mamy dom!

Kiedy zmarła babcia Augusta najstarsza z dziewcząt ciocia Marysia miała 17 lat i ona przejęła rządy nad rodzeństwem. Rządziła podobno twardą ręką zarówno starszymi braćmi, jak i siostrami z których moja mama była najmłodsza. Musieli jej oddawać zarobione pieniądze za które

¹⁶ A.O. Klausmann: Górny Śląsk przed laty. Muzeum Historii Katowic. Katowice 1996, str. 46

utrzymywała dom i kupowała aussztojer, czyli wyprawy dla dziewcząt, tak aby potem szwigermutter¹⁷ nie godała, że som sieroty i przyszły bez niczego. Nie pozwalała też się smykać¹⁸, chodzić byle gdzie. Dotyczyło to szczególnie dziewcząt, bo synek to jest synek, a na dziółchy trza dować pozór¹⁹, tak żeby „czego do dom nie przyniosły”. Jeszcze długo potem jedna z sióstr mamy, ciocia Hilda skarżyła mi się, że nigdy nie mogła być sama w izbie z kawalerem... Ale za to wszyscy - jak mawiała ciocia Marysia wyrosli na porządnym ludzi. Brat Paul grał w kinie do niemych jeszcze filmów i uczył muzyki, drugi brat Ludwik został kamieniarzem. Dziewczyny wyszły za mąż i jak mówiła potem ciotka - żodno nie musiały iść do ślubu z brzuchem...



Rodzice



Mama - pierwsza z lewej z rodzeństwem: siostrami Marią i Anną oraz bratem Paulem w Parku Róż

Mama była ponoć najładniejsza z sióstr. A do tego zdolna, bo umiała ładnie pisać, znała stenografię, robiła na drutach, szydełkowała, haftowała. Wpędzało mnie to długo w kompleksy. Wyszła też za mąż - jak mawiały ciotki najlepiej, bo za urzędnika. Wprawdzie tata podobno przychodził na zolyty²⁰ w tunkach²¹, a nie w porządnym szczewikach. Ale był urzędnikiem, a do tego miał aparat fotograficzny, co wtedy byle kto nie miał!

¹⁷ teściowa

¹⁸ wólczyć się

¹⁹ Na dziewczyny trzeba uważać

²⁰ randka

²¹ tenisówki

Mama chodziła z siostrą Anną do minderhajtki, czyli do szkoły dla mniejszości niemieckiej. Dowiedziałam się o tym po latach, bo była to w Polsce Ludowej sprawa wstydliva, godna potępienia. Jak na przykład bycie zowitką, to jest panną z nieślubnym dzieckiem.

Szkoły mniejszościowe czyli Minderheitsschule powstały zgodnie z Konwencją Genewską w każdej części podzielonego Górnego Śląska. Polska zobowiązała się do tworzenia szkół dla dzieci mniejszości narodowych, które mieszkaly na jej terenie. Podobnie Niemcy musieli stworzyć szkoły dla dzieci mniejszości polskiej. Obie strony miały więc jednakowe szanse, ale w praktyce możliwości Niemców były większe. Należeli w polskim województwie śląskim często do ludzi bogatych i wpływowych.

Natomiast Polacy byli w Niemczech ludźmi raczej biednymi. Stąd Niemcy w województwie śląskim mieli znacznie więcej własnych szkół, sierocińców, ochronek, gimnazjów, aniżeli Polacy w niemieckiej części Śląska.

Babcia Augusta była Niemką i to pewnie miało wpływ, że mama i ciocia Anna poszły do niemieckiej minderhajtki, ale nie tylko. W szkołach niemieckich - jak opowiadała ciocia - dzieci dostawały za darmo zeszyty i książki. A one przecież były sierotami i były biedne! W ten sposób przyciągano pewnie do szkół niemieckich także dzieci z polskich rodzin. Podobno obiecywano też pracę u Niemca, lub zapomogę o ile zapisze się dziecko do niemieckiej szkoły.

Niemieckie minderhajtki sprawiały pewnie polskim władzom kłopoty, ale były z tego i korzyści. Wiadomo konkurencja sprzyja działaniu i bez potrzeby sprostania dobrze zorganizowanemu szkolnictwu niemieckiemu nie byłoby na pewno w przedwojennym województwie śląskim tak dynamicznego rozwoju polskich szkół. W latach 1922- 1939 czyli w niespełna 17 lat osiągnęły one poziom przeciętnie wyższy od ogólnego poziomu szkół w II Rzeczpospolitej.

Ukończenie niemieckiej szkoły nie przeszkodziło mamie zakochać się w tacie, który był Polakiem. Zgadzała się ze wszystkim w co wierzył i robił, podobnie jak kiedyś jej matka. Chodziła z nim na zbiórki harcerskie, poznawała z nim Polskę podczas zlotów, wycieczek, urlopów. Jeździli do Krakowa, Zakopanego, do wsi Łętowy u podnóża Turbacza.

Rodzice pobraли się w roku 1936 i wynajęli mieszkanie w jednym z nowych, prywatnych domów przy ulicy Limanowskiego, którego właścicielem był Andrzej Jasina, kolega taty z harcerstwa. Wszystko układało się dobrze. Niestety tylko do września 1939 roku.

5. Godali że nie dają ani guzika

Polskość umacniała się na Śląsku, za co chwalono wojewodę Michała Grażyńskiego. W połowie lat trzydziestych tata znowu poszedł pracować do huty, która już od roku 1933 była Hutą Batory. Wybierając polską nazwę dla Bismarckhütte trzeba było uwzględnić zachowanie symbolu B z koroną, bo pod tym znakiem wyroby huty były znane na rynkach. Myślę, że w Polsce Ludowej wybrano by dla niej imię Bolesław, imię polskich królów z dynastii Piastów, bo tę epokę hołubiono z uwagi na ziemie odzyskane, gdzie „nie przyszliliśmy tylko wróciliśmy”, gdyż wtedy wchodziły one w skład państwa polskiego. Wtedy Bismarckhütte być może przyjęłaby imię Bolesława Chrobrego, albo lepiej Bolesława Śmiałego, bo walczył z kościołem i kazał zabić biskupa Stanisława ze Szczepanowa. Ale władcy II Rzeczypospolitej kochali Jagiellonów, a w tej dynastii nie było nikogo na B. Wybrano więc Stefana Batorego, Węgra, księcia Siedmiogrodu, polskiego króla, który zwyciężył pod Połockiem, Wielkimi Łukami i pod Pskowem.

Batory, jak przedtem, Bismarck stał się swoistym patronem Hajduk. Potem po przyłączeniu do Chorzowa dzielnicę nazwano Chorzów-Batory. A więc jak za niemieckich czasów od nazwy istniejącej tu huty. Imię Batorego nadano też w PRL mojemu liceum, później jednej z głównych ulic i innym placówkom, tak że śmialiśmy się nieraz, że tylko kościół jest poświęcony Najświętszej Maryi Pannie...

W roku 1933 język polski stał się w hucie językiem urzędowym. I po raz pierwszy jej dyrektorem został Polak płk inż. Jan Przybylski. To nie oznaczało jednak, że Niemcy całkiem z huty odeszli. Wielu z nich urzędowało jeszcze aż do

samej wojny. Ale wydawało się, że wszystko idzie w dobrym kierunku, chociaż bliskość granicy z Niemcami wskazywała na rosnące zagrożenie. Wojna wisiała w łufcie²² - opowiadała po latach babcia. Poloki godali, że nie dają Niemcom ani guzika. I co? Dali im potem cały mantel²³.



Rodzice przed dyrekcją Huty Batory

22 powietrze

23 płaszcz

Kiedy we wrześniu 1939 roku wybuchła wojna tata jak inni został powołany do wojska. Walczył pod Mikołowem, potem pod Rzeszowem. Jak wrócił po przegranej wojnie i zgłosił się do pracy w hucie to usłyszał, że został zwolniony. Niemcy, którzy znowu w hucie zarządzili nie zapomnieli o jego polskości, harcerstwie, o tym że był w polskim wojsku. Nie mógł potem znaleźć innej pracy i rodzice zaczęli żyć z niewielkiego wsparcia dla bezrobotnych. Mama mimo swej niemieckiej minderhajtki też nie mogła liczyć na pracę, bo była przecież żoną Polaka. Rodziców nie było stać na płacenie czynszu w wynajmowanym mieszkaniu, wprowadzili się więc do starzyków na Leśną. Być może uniknęli w ten sposób - jak mówił tata - wysiedlenia do Generalnej Guberni. A ja mogłam urodzić się w Hajdukach, które od 1 kwietnia 1939 roku zostały włączone do Chorzowa. A za Niemców stały się częścią Königshütte.



Tata w mundurze polskiego żołnierza

Ponury czas okupacji przeżyłam jako dziecko. Ominęło mnie dzięki temu wiele trudnych spraw jakie mieli dorośli. Volkslisty²⁴, Rassen-schau²⁵, wojna, rewizje, wywózki na roboty do Niemiec na tzw. landuwa²⁶ - wszystko to było poza mną. Nie musiałam jako polskie dziecko iść do niemieckiej szkoły. Miałam swoje lalki, zabawki, a dorośli mieli się starać, abym miała co potrzeba. A jednak...

Ponury czas okupacji przeżyłam jako dziecko. Ominęło mnie dzięki temu wiele trudnych spraw jakie mieli dorośli. Volkslisty²⁴, Rassen-schau²⁵, wojna, rewizje, wywózki na roboty do Niemiec na tzw. landuwa²⁶ - wszystko to było poza mną. Nie musiałam jako polskie dziecko iść do niemieckiej szkoły. Miałam swoje lalki, zabawki, a dorośli mieli się starać, abym miała co potrzeba. A jednak...

Jak wszyscy wokoło starzyki i rodzice podpisali Volkslistę.

- Jak mogliście to podpisywać! - usłyszałam potem nieraz od koleżanek i kolegów spoza Śląska, od ludzi spotykanych na wycieczkach, urlopach, czy podczas służbowych wyjazdów. Mało kto wiedział, że na Śląsku włączonym do Niemiec było to po prostu obowiązkiem. A nie decyzją dobrowolną jak na przykład w Generalnej Guberni. Za nie podpisanie Volkslisty groziło wysiedlenie lub zesłanie do lagru. Usłyszałam na to, że przecież można było pójść do partyzantki...

24 Niemiecka Lista Narodowościowa

25 badanie czystości rasy

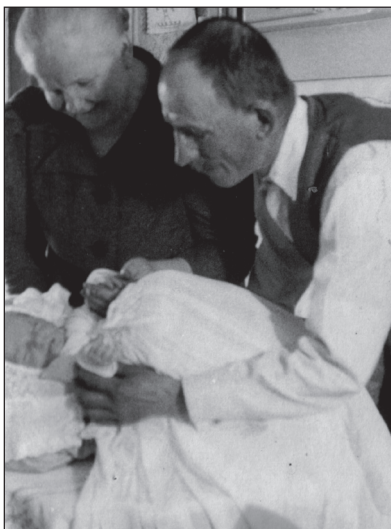
26 wyjazd do pracy na wieś

Gorzej niż podpisanie przez Ślązaków Volkslisty oceniana jest w kraju służba w Wehrmachcie. Bo była to według Polaków służba dla wroga. Pytałam wtedy, czy któryś Polak mógł odmówić pójścia do Ludowego Wojska Polskiego, które przecież działało według rozkazów płynących z Moskwy? Albo - czemu polski żołnierz poszedł w roku 1968 do Czechosłowacji ramię w ramię ze Związkiem Radzieckim walczyć z tymi co chcieli wolności i demokracji?

Tata był Polakiem, ale dano mu tzw. trójkę aby mógł pójść do niemieckiego wojska. Podobnie zresztą było z innymi. Wysłano go na front wschodni. Walczył na Ukrainie, potem na Kaukazie. Z początku był z nim kontakt - pisał listy, przyjeżdżał na urlopy. Jeszcze w maju 1942 przysłał mamie książkę z Piatigorska, którą mam do dzisiaj. Potem kontakt się urwał. Mama mocno to przeżywała. Była pewna, że tata zginął, że los się powtórzył jak w przypadku jej ojca. Przejęła się tym tak jak przed laty jej matka. Zmarła pod koniec roku 1944.

Pamiętam jak przez mgłę jej pogrzeb. Na czarno ubrani ludzie, w tym ciotki i starzyki, którzy głaskali mnie po głowie mówiąc: Oh, Du armes waisen Kind!²⁷ Nie bardzo zdawałam sobie wtedy sprawę z tego co się stało, byłam na to za mała. Po mamie zostały sztikowane garnitury²⁸, liczne zdjęcia, portret namalowany gdzieś w Rosji w roku 1943 ze zdjęcia, które tata miał przy sobie. No i oczywiście ja.

Tymczasem ojciec dostał się do radzieckiej niewoli i był w jednym z obozów jenieckich na Uralu. Szybko nauczył się rosyjskiego tak, że mógł zostać tłumaczem. Wspomnienia z tego okresu opisał potem w książce wydanej pod koniec lat siedemdziesiątych.



Ja ze starzykami: Magdaleną i Edwardem Lochami

27 O ty biedna sierotko

28 haftowane makatki

6. Bydymy teraz godać po polsku

W styczniu 1945 Niemcy uciekali, a my czekaliśmy nie wiedząc co nas czeka, bo wraz z Polakami szli Rusy. O Rusach opowiadano najgorsze rzeczy. Podobno strzelali i zabijali i robili jakieś okropne rzeczy z kobietami. A przy tym brali co się dało, choć najbardziej złoto i zegarki. Przypomina mi się jak wtedy do starzyka przyszedł jego kolega Długaj i powiedział zdenerwowany, że po drodze jakiś Rus wziął mu zegarek. Potem jak po latach Długaj dostał w hucie zegarek za długoletnią pracę to wszyscy się śmiali, że Rusy mu teraz zegarek oddali... Ludzie mówili, że Rusy odbijały nawet mesingi²⁹, którymi obite były czasem kuchenne meble i wasztisze³⁰. Mesingi wypucowane co sobota sidolem świeciły się fajnie i Rusy myślały, że to złoto. Staliśmy któregoś dnia przed domem i jedna z sąsiadek popatrzyła na moje oringle³¹ i powiedziała: Czekej wezną ci je Rusy! Pamiętam, że długo zakrywałam potem uszy rękami jak zjawił się ktoś obcy.

Przed Rusami babcia schowała do komory co lepsze rzeczy, a na drzwi kazała starzykowi postawić byfyj³², żeby ich nie było widać. Nie pamiętam, czy Rusy przyszedli do nas i coś nam wzięli. Być może nie, bo nasz dom był zwyczajny, nawet biedny. Ale pamiętam, jak uczyłam się mówić po polsku.

W czasie okupacji nie było wolno mówić po polsku. Można było za to dostać po pysku, czy nawet trafić do lagru. Po wojnie groziło to samo za mówienie po niemiecku. Ślżacy byli dla Polaków niepewni i musieli składać deklaracje wierności „Narodowi Polskiemu i demokratycznemu Państwu Polskiemu”. Musieli to robić nawet tacy, których sami Niemcy uznali za Polaków wpisując ich do czwartej grupy Volkslisty lub do Leistungs-Pole (działających, aktywnych Polaków). Któregoś dnia babcia powiedziała do nas, że bydymy teraz godać po polsku. Widać nie miałam na to ochoty, bo ponoć powiedziałam:

- So weit sind wir doch nicht!³³

Aby uchronić nas od przykrych zdarzeń babcia postanowiła uczyć mnie i młodszą o 2 lata kuzynkę Zytę mówić po polsku. Robiła to poprzez wierszyki, które łączyły niemiecki z polskim, jak na przykład:

*Weiss Du doch³⁴
das Erbsen to jest groch,
a osioł to jest Esel,
szpyrka to jest Speck,
a maras³⁵ to Dreck.*

²⁹ mosiądz

³⁰ stolik do mycia

³¹ kolczyki

³² kredens kuchenny

³³ Nie jesteśmy jeszcze tak daleko

³⁴ przecież wiesz

³⁵ brud

Albo też inaczej:

*Weiss Du was³⁶
kapusta und kwas,
kapusta und Klösse³⁷
und Du bist ein Esel!³⁸*

Spodobało mi się to do tego stopnia, że z czasem już sama mówiłam:

*Pilze to są grzyby,
a Fische to ryby,
Tisch to jest stół,
Und Du - wskazywałam palcem na babcie:
Du bist ein wół!³⁹*

Powinłam była dostać za to szmary czyli lanie, ale babcia patrzyła na mnie z podziwem i mówiła do cioci Heli: patrz, jako łona jest mondro! Babcia nigdy nas nie biła, bo uważała, że nas jeszcze życie będzie bić. Była gotowa dać nam wszystko, zdjęć ze ściany święty obrazek jak chcieliśmy się bawić w kościół. Pozwalała też wyciągać szuflady z komody, które były potem wagonami pociągu.

Babcina metoda uczenia języków obcych była na tyle skuteczna, że kiedy tata wrócił w roku 1946 z radzieckiej niewoli umiałam już powiedzieć po polsku - że mamy nie ma, bo przecież umarła! Musiał to być dla taty cios, bo rodzice bardzo się kochali. Ale otrząsnął się szybko, bo trzeba było żyć dalej. A życie powoli wracało do normy. Wrócili z wojny mężowie ciotek, Heli i Anny, koledzy taty, sąsiedzi, znajomi. Ale wielu nie wróciło, jak mąż cioci Marysi, czy pan Kosz, kolega taty z harcerstwa. Wróciły polskie nazwy - Hajduki Wielkie i Huta Batory. Niedługo potem Hajduki stały się znowu Chorzowem - Batorym, choć dla mnie pozostały na zawsze Hajdukami.

³⁶ wiesz ty co?

³⁷ kluski

³⁸ ty jesteś osioł

³⁹ ty jesteś wół

7. Babcia i starzyk z Bandurskiego

Tata poszedł pracować do Huty Batory która już działała uruchomiona przez jej pracowników. Próbował też wrócić do działalności w harcerstwie. Podobno na zbiórkach, czy na zabawie w tradycyjnego „Śledzia” poznał swoją drugą żonę. Wkrótce potem się ożenił. Nikt się temu nie dziwił, bo przecież taki młody chłop nie mógł być sam. Dostałam więc drugą mamę, a zarazem nową babcię i starzyka, a także drugą ciocię Helę.

Miałam teraz babcię, starzyka i ciocię Helę z ulicy Leśnej oraz babcię, starzyka i ciocię Helę z Bandurskiego, bo tak się nazywała ulica, na której mieszkali. W Hajdukach na ulicę Bandurskiego ciągle jeszcze mówili Lynska, bo dawniej za Niemca nazywała się Lenzstrasse, czyli ulica wiosenna. Potem w PRL nazwę ulicy zmieniono na Racjonalizatorów, bo Bandurski jako patron nie pasował do nowych czasów. Był biskupem sufraganiem archidiecezji lwowskiej, osobą związaną blisko z Legionami Piłsudskiego, a następnie biskupem połowym Wojska Polskiego.

Nowa babcia i starzyk pochodzili z Żędowic, wsi leżącej na trasie Tarnowskie Góry - Opole. Mieszkańcy Żędowic, po niemiecku Sadowitz w plebiscycie w większości głosowali za Polską. Było to pewnie zasługą księdza Józefa Wajdy, proboszcza z Kielczy, do której należały Żędowice, a przy tym znanego działacza narodowego, agitującego parafian do głosowania za Polską. I tak też głosowali, bo wtedy jak wiadomo farorza⁴⁰ słuchano. Ale mimo to wieś została w Niemczech.

Babcia pochodziła z gospodarstwa, miała dwóch braci i siostrę. Najstarszy brat Hanys został na gospodarstwie. Drugi brat Franz poszedł pracować do Andreashütte⁴¹, która była w sąsiednim Zawadzkiem. Siostra Kunegunda była kucharką. Starzyk mieszkał we dworze, skąd ludzie chodzili robić „na pańskie”. Pochodził z wielodzietnej rodziny.

- Starzyk wiewa wos w doma było? - lubiałam go pytać, a potem także mój brat. Starzyk zaczynał liczyć na palcach, wymieniać po kolei imiona braci i sióstr. Jak dochodził do dziesięciu to dawał sobie spokój, tak że do dzisiaj nie wiem, ilu ich naprawdę było.

Jak starzyk sobie wypił i był w dobrym humorze to lubił wspominać, jak to było, że ożenił się z babcią. Opowiadał, że jak szoł w niedziela na zolyty⁴² z kolegami do Kielczy, albo na Barut, a niekiedy i dalej to babcia stała za płotem i godała:

- Musicie to tak kaj indziej lotać? Przeca tu tyż mocie dziołchy!

Babcia się na to złościła, godała, że to nieprawda, ale coś musiało być, bo się starzyk z nią ożenił. Starzyk mógł iść do roboty na Zawadzkie do Andreashütte jak wielu innych, albo do huty w Ozimku.

⁴⁰ proboszcz

⁴¹ Huta Andrzej

⁴² randka



Rada Robotnicza Huty Batory w latach 1935-36 (czwarty w pierwszym rządzie z lewej strony to mój starzyk)

Na Zawadzkiem wołali na Żędowian plackorze, albo plakonie, bo podobno przynosili do roboty gelniki, kromki chleba z plackiem w środku, a rządźili że mają kotlet...

Starzyk z babcią pojechali do Hajduk, bo chcieli być w Polsce. Przecież o to starzyk walczył w powstaniu. W tym czasie w Hajdukach, czy na Bismarku mieszkało już wiele ludzi z Żędowic, w tym krewnych starzyka i babci. Była tu ciotka Gwoździńska mieszkająca na dzisiejszej ulicy Armii Krajowej przed mostem kolejowym na granicy ze Świętochłowicami z dziećmi: Richardem, Trudą, Haną, Miką i Cilą. I ujelek Telesfor z ciotką Bertą z ulicy Długiej. Były też ciotki i kuzynki babci jak Filuśka, Plaszczycka, Fröh-liszka i inne, których nazwisk już nie pamiętam, każda z gromadką dzieci. Starzyk miał też niedaleko swoich trzech braci, w Bytomiu, w Stolarzowicach i w Załężu. Potem ściągnął do Hajduk swoją siostrę Petronelę zwaną Pietrusią albo Petroną i wydał ją za mąż za wdowca z ulicy Długiej.

- Toście tu przyjeżdżali jak z Polski gorole - powiedziała któregoś dnia do babci. A gorolami nazywano ludzi co po roku 1922 zaczęli masowo przyjeżdżać na Śląsk do pracy. Niektórzy podobno nigdy gór na oczy nie widzieli, ale z gór przyjeżdżało ich ponoć najwięcej.

- Co ty to dziółcha godosz! - powiedziała babcia oburzona. - Przeca my przyjechali do siebie. A łoni co tu mieli do szukania?

Od września 1922 w Hajdukach na farze⁴³ był też ks. Józef Wajda. Musiał opuścić Kielczę, bo za agitowanie za Polską obawiał się pogróżek i na-

⁴³ probostwo



I Komunia Św. mojej drugiej mamy, Julii

padów ze strony Niemców. Na fara przyjął go jego dawny kapelonek czyli wikary ksiądz Józef Czempiel, który tu został farorzem⁴⁴. Ksiądz Wajda zmarł rok później, ale parafianie mogli go zabrać i pochować w Kielczy dopiero po wojnie.

W Hajdukach babcia ze starzykiem zamieszkali najpierw w familoku na Długiej, a potem w hutniczych blokach niedaleko cmentarza. Mieli troje dzieci: Julię, moją drugą mamę, Helę i syna Jerzego, który zginął na wojnie. Spotykali się z wszystkimi swoimi krewnymi co też mieszkali w Hajdukach i z tymi co byli niedaleko. Jeździli też często odwiedzać tych co zostali w Żędowicach. Potem przygarnęli do swego grona tatę i mnie. Dziwiły mnie te bliskie rodzinne kontakty, bo u nas tak nie było. Nie znałam bliżej krewnych ze strony mamy ani taty, a niektórych poznałam dopiero na pogrzebach.

W latach trzydziestych starzyki przeprowadzili się na ulicę Bandurskiego, gdzie rosły lipy i którą tylko płot oddzielał od huty. Była to ulica nietypowa, bo z lewej strony stały tam wille dla dyrektorów i urzędników, a z prawej domy dla robotników w których mieszkali majstrzy, kierowcy dyrektorów zwani wtedy szoferami i niektórzy robotnicy. Mieszkania były tu większe niż zwykle, dwu i więcej pokojowe, czasem był też przedpokój.

Starzyk Roman Czudaj był w latach 1928 - 1936 przewodniczącym rady robotniczej w hucie. Był z tego dumny, bo dla niego synka ze wsi, do tego tylko wyuczonego kowola to było coś. Miał kontakty z ważnymi ludźmi, dyrektorami, inżynierami, a oni musieli choć trochę z nim się liczyć.

⁴⁴ proboszcz

Doszedł do tego, bo był niespokojnym duchem, takim któremu sama robota na szycie nie wystarczała. Aby móc działać zapisał się do PPS-u, chodził na zebrania i pochody pierwszomajowe. Jak trzeba było to organizował w hucie strajki.

- Toś Ty był starzyk komunista? - spytałam. Bo w szkole mnie uczono, że tak właśnie robili komuniści.

- Ale kaj tam dziołcha! - mówił starzyk prawie oburzony. - Komunisty to były nieroby. Nic yno strajkować.

- Jo był i byda socjalista! - powtarzał starzyk z dumą. - My chcieli, żeby była sprawiedliwość i żeby kapitalisty więcej robotnikowi za robota płaciły!

W przeciwieństwie do starzyka babcia była kobietą spokojną, której dom i dzieci całkiem wystarczały. Nie była zadowolona z tego - jak mówiła że starzyk „yno lotoł i lotoł” z zebrania na zebranie. A potem często szoł do szynku na piwo albo gorzoła, a godoł, że to koledzy go zaprosili. Myśłoł, że jo mu w to uwierza? Bo mie żodno baba nie dała ani bombona⁴⁵. A przeca mógłby po robocie przyjść prosto do dom jak inne chopy i bajstlować⁴⁶.

⁴⁵ cukierek

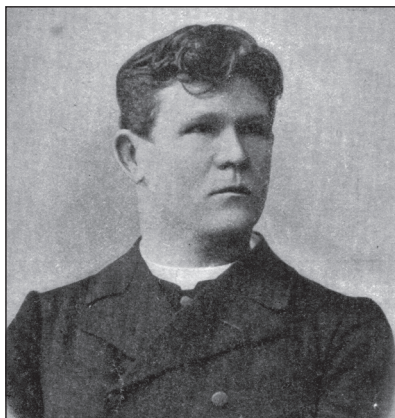
⁴⁶ majsterkować

8. Matka Boska Żądowska

Komunisty nie wierzą też w Boga - mówił starzyk. A on wierzył, bo widział Matkę Boską jak się zjawiła w Żędowicach w lipcu 1904 roku. Miał wtedy 9 lat i miał szczęście ją widzieć, co nie wszyscy mieli. Na przykład ci co nie byli godni, albo przyszli pod szkoła yno z ciekawości. Niektórzy nie uwierzyli w cud, jak na przykład ksiądz Józef Wajda. Ksiądz był znanym działaczem, polskim posłem do Reichstagu, czyli pruskiego parlamentu, agitował za Polską w plebiscycie i w powstaniach. Ale widać nie znał dobrze swoich parafian - Żędowian. I nie wierzył, że właśnie im Matka Boska mogła się objawić.

- Łoło wtedy straszliwie i grzmiało, tyż sie błyskało. A Ona szła w tym błysku cało w jasności. Dzieciątko miała na rynce. Szła, a jej łobroz stanął na szybie w łoknie we szkole! Mówił o tym tak przekonująco, że mu wierzyłam i nadal wierzę, że tak było, choć nie ma tej szyby i nikt we wsi nie wie, co się z nią stało.

Pamiętką cudu jest obraz w starym żędowickim kościele, przedstawiający Matkę Boską Częstochowską, czczoną tutaj jako Matka Boska Żądowska albo Żędowicka. Jego historia jest równie interesująca co niezwykła.



Ksiądz proboszcz Józef Wajda

Mimo upływu czasu od cudu przed szkołą nadal zbierały się grupy ludzi, którzy się modlili i śpiewali pieśni do Matki Bożej. Nie pomagało, że rozpędzała ich policja, że potępiał ksiądz Wajda, który nawet za karę zamknął Żędowianom kościół. W dwa lata później w roku 1906 pielgrzymka z Żędowic pojechała do Częstochowy, na Jasną Górę, aby na cześć objawienia kupić obraz Matki Boskiej. Okazało się jednak, że nie mieli tyle pieniędzy, ile obraz kosztował. Dali więc zadek i postanowili przyjechać po obraz w następnym roku.

Ksiądz Wajda jednak nadal nie wierzył w objawienie się Matki Boskiej i trwał w swej złości na Żędowian. Musiała więc Matka Boska sama go przekonać. Zobaczył ją podobno obok starego cmentarza, w miejscu gdzie stał cmentarny krzyż. A potem za miesiąc podczas sprawowania mszy świętej. Ponieważ nadal nie wierzył w cud to został nagle dotknięty paralizem, przy którym nie czuł żadnego bólu, a lekarze którzy go badali nie mogli niczego stwierdzić. Ponoć choroba wracała jeszcze do czasu, aż ksiądz Wajda przyjechał do Żędowic i oznajmił ludziom, że uwierzył w objawienie.

Powiedział też, że chce razem z nimi pojechać do Częstochowy po obraz Matki Bożej.

Obraz kupiono w czerwcu 1907 roku za ówczesnych 900 marek⁴⁷. Po poświęceniu obrazu ruszono w drogę powrotną. Granicę rosyjsko - pruską przekroczono w Herbach Pruskich. Kiedy celnicy próbowali zważyć obraz dla pobrania cła to okazało się, że nic nie waży. Przepuszczono więc obraz bez cła. Potem ksiądz Wajda próbował zabrać obraz do siebie do Kielczy, ale nie mógł, bo Żędowianie już czekali na dworcu. Jak wynoszono obraz z pociągu to wszyscy padli na kolana. A mężczyźni wzięli go na ramiona i wszyscy w procesji poszli do kościoła.

I choć objawiła im się Matka Boska Jasna to Żędowianie kochają i czczą swoją Czarną Madonę. Wspominają jak w czasie wojny ktoś z zarządu gminy powiedział:

- Die Schwarze Madonna muss weg!⁴⁸

I miał przyjsc następne dnia aby zdjąć obraz z ołtarza. Ale wychodząc z domu dostał herczszlag⁴⁹ i umarł. Jak w Częstochowie odsłaniają i zasłaniają obraz śpiewając przy tym pieśni. Pamiętam, że kiedyś jeszcze śpiewali:

*Zawitaj Maryjo Boża Anielska
Coś się tu zjawiła o Matko Boska
Śliczna Matko Boska
Pani Żandowska!*

Teraz już śpiewają Żędowicka, bo młodzi niesłusznie wstydzą się pięknego archaizmu, wymawiania „an” zamiast „ę”, który jak mówi profesor Miodek pochodzi ze staropolszczyzny.

Żędowianie albo Żandowianie wierzą, że Matka Boska chroni ich od nieszczęść, chociaż, jak wskazuje tablica przy kościele wielu z nich zginęło w czasie obu wojen światowych, w radzieckiej niewoli i potem podczas powojennej wywózki do ZSRR. Ale jak mówią zniszczeń wojennych i nieszczęść było tu mniej niż w okolicznych wsiach, na przykład w Kielczy. Starzyk też wierzył, że skoro widział Matkę Boską to go złe ominie. Nie było zupełnie tak, bo zamknięto go za Niemca w obozie w Mysłowicach. Tam jednym z kapo był jego dawny kamrat z niemieckiego wojska. A ten starzykowi powiedział:

- Warum bist Du Pole geworden?⁵⁰

Starzyk mu odpowiedział, że zawsze był Polakiem. Potem wrócił z lagru i był jednym z tych co uruchamiali po wojnie hutę Batory. Drugi raz poszedł siedzieć w Polsce Ludowej.

⁴⁷ Ks. J. Żyłka: Cud w Żędowicach. Wydawnictwo św. Krzyża w Opolu

⁴⁸ Czarna Madonna musi zniknąć

⁴⁹ atak serca

⁵⁰ Dlaczego zostałeś Polakiem?

9. Kaj my to som?

Po ożenku taty wyprowadziliśmy się z Leśnej do nowego mieszkania. Dom stał niedaleko stadionu Ruchu Chorzów. Wokoło było wiele podobnych domów zbudowanych w latach trzydziestych, jak na tamte czasy nowoczesnych, bo z łazienkami. Nie były to już Hajduki ale miasto Chorzów, choć niewiele na to wskazywało. Nasz dom stał samotnie w polu, na którym rosło zboże i ziemniaki. Pamiętam, że w jesieni robiło się tu fojerka⁵¹ i piekło ziemniaki, a w ogródku obok domu stała drewniana buda, w której sąsiedzi trzymali świnie. Wokół nie było sklepów więc prawie po wszystko chodziliśmy do Hajduk. Po chleb i żymły czyli bułki do piekarza Bulika, na którego babcia nie wiem czemu godała Bolik albo do Zgola. Inne zakupy robiło się u Szolki albo u Gacmangi, a z butami do naprawy czyli do podzolowania szło się do Chrószczca. Ale niedługo potem zaczęło się wokół nas zmieniać, bo przyjechały jakieś wielkie auta, które przywiozły cement i cegłę i zaczęto budować nowe osiedle.

W roku 1947 poszłam do szkoły. Dostałam elementarz, zeszyty, piórnik i torbę. No i tytę z cukierkami, za którą miałam się dobrze uczyć.

- Bo jak nie to pójdziesz robić na cienko blacha - usłyszałam od mamy. Na wydziale cienkiej blachy w hucie praca była bardzo ciężka i brudna. Pracował tam starzyk z Leśnej i ciocia Hela, siostra taty.



Ja z tytą na hajduckich plantach

- To oni się źle uczyli? - spytałam. Zamiast odpowiedzi zobaczyłam, że mama śmieje się pod nosem...

W szkole mówiliśmy między sobą gwarą. Pani nauczycielka stale nas za to strofowała i poprawiała:

- Nie mówi się żymły tylko bułki! Co to znowu za klajd? Przecież to sukienka! Kto znowu powiedział szczewiki? Już wam mówiłam, że to są buty!

Któregoś dnia jeden z chłopców odważył się i powiedział głośno:

- Kaj my to som?⁵² Przeca na Śląsku godo sie po śląsku!

Pani się zdenerwowała i powiedziała, że w polskiej szkole trzeba mówić po polsku. Dodała przy tym, że nie ma nic przeciw ludowym gwarom, ale ta nasza jest niemiecka.

⁵¹ ognisko

⁵² gdzie my to jesteśmy?

Rodzice też kazali mi mówić poprawnie po polsku. Poprawiali moje ausdruki⁵³, kazali słuchać jak pani do nas mówi i czytać dużo książek. Staralam się tak robić w szkole i w domu. Ale jak się poszło do babci, jednej czy drugiej to jakoś głupio było mówić szafa na jej szrank, zlew na jej ausgus. Tym bardziej, że nie było polskiej nazwy na babciny wertikoł, szafę z półką u góry, na której stały różne święte figurki, zdjęcia w ramkach i inne pamiątki. Nie wypadało też nie mówić gwarą na placu, bo koleżanki, czy koledzy mogli by pomyśleć że „chca udować”, być kimś innym, lepszym od nich.

Naszym światem były domy z czerwonej cegły przybrudzonej sadzami, z oknami pomalowanymi na czerwono, albo na bronotno⁵⁴, żeby tak nie było widać marasu⁵⁵. Okna musiały być zawsze czysto wypucowane, bo po nich poznawało się jaka jest gospodyni. Musiały też wisieć w nich fajne gardiny czyli firanki. Woda i ausgus⁵⁶ były w sieni i tam kobiety często stały z kiblami⁵⁷ i konewkami i kłachały⁵⁸. Sąsiadka babci pani Miozga zwana Miożdżyną miała kota któremu bardzo przoła⁵⁹ i którego futrowała⁶⁰ wszystkim co najlepsze. Podobno dostowoł do picia nawet kakałszale⁶¹. Pamiętam, że któregoś dnia przyszła do babci jakaś kobieta i powiedziała, że mo szwincuch, czyli gruźlicę. A na to jest podobno dobry fet⁶² od kota. A ten kot co tu loto jest taki fajny, fetny...

- Przyjdźcie z torbą to wom go chyca⁶³ - powiedziała babcia i dodała, że musi to być wtedy, jak Miożdżyny nie bydzie w doma.

Za parę dni kobieta przyszła z torbą i babcia jej kota złapała. I oczywiście zakazała mi powiedzieć o tym Miożdżynie. Obiecałam, że nie powiem, ale zachowanie takiej tajemnicy było ponad moje siły. Jak więc Miożdżyno wróciła to zaraz jej powiedziałam:

- Miożdżyno, Wy już nie mocie kota, ale Wy nie śmiecie o tym wiedzieć!

Na placu kaj my za bajtla lotali były chlywiki z drzewem i węglem, także kury, a nieraz zwykłe przed świętami i gęsi oraz wieprzek. Był też hasiok⁶⁴ i klopsztanga⁶⁵, gdzie ludzie klupali⁶⁶ tepichy⁶⁷, lojfrzy⁶⁸ i inne rzeczy.

⁵³ wyrazy gwarowe

⁵⁴ brązowo

⁵⁵ brud

⁵⁶ zlew

⁵⁷ wiadra

⁵⁸ plotkowały

⁵⁹ kochała

⁶⁰ karmiła

⁶¹ napój z łusek kakaowych z mlekiem

⁶² tłuszcz

⁶³ złapać

⁶⁴ śmietnik

⁶⁵ trzepak

⁶⁶ trzepak

⁶⁷ dywany

⁶⁸ chodniki

Przed domem była czasem ławka, albo lauba⁶⁹ i tam ludzie siadali, aby sobie pogadać. Na placu zładowywano też przywieziony z huty albo z grubego węgla, który się potem ściępowano do piwnicy. A na jesień na placu każdy jak dostał to obierał kartofle i w tym pomagały wszystkie sąsiady.

Nasi ojcowie pracowali najczęściej w hucie Batory, albo u Rütgersa, mówiło się Ritgersa, czyli w Zakładach Koksochemicznych „Hajduki”. Niektórzy jeździli do roboty dalej do Chorzowa gdzie były trzy kopalnie „Prezydent”, „Barbara-Wyzwolenie” i „Chorzów”, huta Kościuszkowska i inne duże zakłady jak Konstal czy Azoty. Albo do Świętochłowic do huty Florian, czy katowickiej huty Baildon. Prawie w każdym z najbliższych miast była kopalnia, czy huta, a często jedno i drugie, z szybami i dymiącymi kominami, od czego nieba było zawsze zamglone. A niekiedy wieczorem i czerwone jak nad hutą Kościuszkowska. A wtedy nam dzieciom mówiono, że to Mikołaj piecze pierniki...

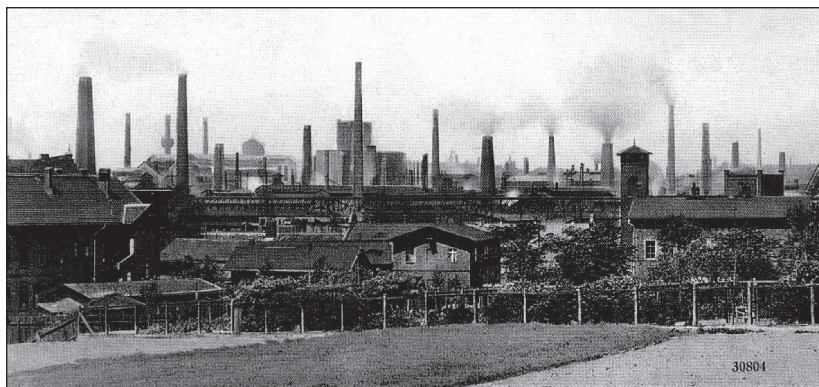
Mieszkaliśmy w Hajdukach, w Chorzowie – Batory, na Górnym Śląsku. Nazwa Górny Śląsk pojawiła się w XV wieku i określano nią tereny księstw: opolskiego, raciborskiego, cieszyńskiego i państwa pszczyńskiego. A od XIX wieku była to tzw. Rejencja Opolska, obejmująca m. in. powiaty: pszczyński, rybnicki, bytomski i katowicki. W roku 1919 Górny Śląsk został przez władze pruskie wydzielony jako oddzielna prowincja ze stolicą w Opolu. W roku 1922 wschodnia część Górnego Śląska przypadła Polsce i powstało województwo śląskie w skład którego weszła część Śląska Cieszyńskiego. W roku 1950 Górny Śląsk podzielono na dwa województwa: katowickie z nie śląskimi terenami Zagłębia Dąbrowskiego i ziemią Częstochowską oraz województwo opolskie.

W Polsce pojęcie Śląska ograniczało się i ogranicza nadal do regionu przemysłowego z kopalniami gdzie wydobywa się węgiel i hutami produkującymi żelazo i stal. To jest do województwa katowickiego, teraz śląskiego ze stolicą w Katowicach. Dla Polaków więc Ślązakiem jest zarówno mieszkaniec Chorzowa, jak i Sosnowca czy Częstochowy. I wielu dziwi się że Śląsk, w tym Śląsk Górny to także Opole, Brzeg, czy Nysa. Nie mówiąc o Wrocławiu, stolicy Śląska Dolnego, który jest historyczną stolicą całego Śląska, a przy tym jego stolicą duchową, gdzie Ślązacy się uczyli, studiowali, gdzie kształtowała się i rozwijała śląska kultura.

Chorzów jest znany jako jedno z najważniejszych przemysłowych śląskich miast. Jest to miasto zarówno stare, jak i młode, bo powstało i rozwijało się w różnych okresach. I składa się z dzielnic, z których każda ma swoją własną historię.

Historia najstarszej części, Chorzowa Starego sięga roku 1257 kiedy był wsią należącą do zakonu Bożogrobców. Licząc od tej daty – miasto ma ponad 750 lat. Rozwój miasta zaczął się jednak z odkryciem w XVIII wieku złóż węgla.

⁶⁹ altana



Śląsk przemysłowy, na którym się urodziłam

A następnie od założenia w roku 1802 przez rząd pruski huty żelaza Königshütte, Królewskiej Huty wokół której rozwinęło się miasto o tej samej nazwie.

Anton Oskar Klausmann, który jako syn niemieckiego urzędnika kopalnianego mieszkał na Górnym Śląsku w latach 1856-1879 odbył tu dłuższą podróż w roku 1911. Podczas tej podróży odwiedził i Königshütte, czyli Królewską Hutę. Napisał potem, że dużą przyjemność sprawiło mu oglądanie w mieście rynku Bismarcka, wspaniałej „Królewskiej Huty”, potężnego zakładu przemysłowego, w pobliżu którego wybudowano dużą halę targową, okazały budynek poczty, wspaniałe budowle kościołów, szkół i budynków świeckich. W opinii Klausmanna - Królewska Huta przypominała wtedy potężne reńsko-westfalskie miasta przemysłowe i ten charakter przemysłowego miasta-kolosa różnił ją bardzo od dwóch miast sąsiednich - Katowic i Bytomia.⁷⁰ Natomiast Jarosław Iwaszkiewicz podróżując w roku 1936 po Śląsku był też w Chorzowie i zauważył głównie kominy, które opisał poetycznie jako „harfę siedmiostrunną, pomyloną jakąś harfę pod niskim jesiennym niebem”.⁷¹

W roku 1868 Königshütte uzyskała prawa miejskie i licząc od tej daty miasto ma 140 lat. Już w Polsce w roku 1934 nastąpiło połączenie Chorzowa Starego, Królewskiej Huty oraz Nowych Hajduk i Maciejkowic w miasto Chorzów. A w roku 1939 do Chorzowa przyłączono Hajduki Wielkie. W swych obecnych granicach Chorzów istnieje więc 70 lat.

Włączenie Wielkich Hajduk do Chorzowa odbyło się na podstawie decyzji Sejmu Śląskiego, co zapisano w Dzienniku Ustaw Śląskich z 15 marca 1939 roku. A więc na podstawie decyzji władz lokalnych, co wskazuje na zakres autonomii jaką miało przedwojenne województwo śląskie.

⁷⁰ A. O. Klausmann Górny Śląsk przed laty, Muzeum Historii Katowic, Katowice 1996, str. 190

⁷¹ J. Iwaszkiewicz, Podróże do Polski, PIW 1972.



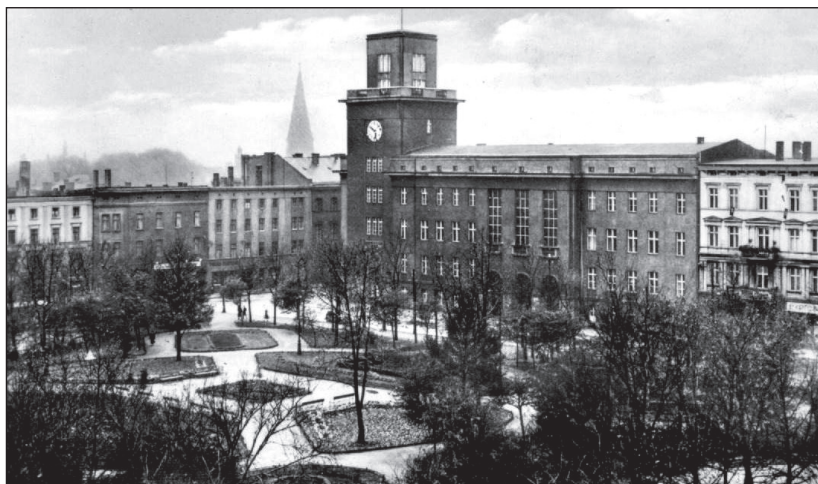
Chorzów, lata trzydzieste XX wieku

Zakończyło to dzieje Hajduk jako samodzielnej gminy, co być może nie wszystkim się podobało. Ale za to stały się one częścią miasta, Chorzowem – Batorym, od nazwy istniejącej huty, bo tak naprawdę dawno już wsią nie były.

Śląsk to nie tylko przemysł, zakopcenie, brud i wielkie skupiska ludności, o czym dowiedziałam się od Gustawa Morcinka i z podróży do Żędowic. W swej książce „Z mojej ziemi”⁷² Morcinek napisał że śląska ziemia ma potrójną urodę. Pierwsza czyni ją podobną do młodej dziewczyny która marzy o pierwszym kochaniu. To Beskidy ze szczytami Baraniej Góry, Czantorii, Stożka, skąd widać dalekie doliny Wisły i Olzy. To też stary, uroczy Cieszyn i Karwina od roku 1920 po czeskiej stronie, gdzie Morcinek się urodził. Drugie oblicze Śląska to podobieństwo do spracowanego człowieka, który na chwilę przystanął aby obetrzeć pot z czoła. To jest Śląsk Przemysłowy gdzie się urodziłam. A trzecie – to podobieństwo Śląska do samotnego wędrowca idącego białą drogą pod wysokim niebem i szumiącymi brzożami. Jest to Śląsk Biały. I jak zestawić – pisze dalej Morcinek piękno Śląska Beskidzkiego i Śląska Białego z urodą Śląska Czarnego to powstaje pełny obraz potrójnego piękna nie spotykane go już nigdzie na ziemi.

Morcinkową potrójną urodę Śląska mogłam potem zobaczyć podczas wycieczek w Beskidy, a także wyjeżdżając na wakacje do Żędowic. Ale związek między czarnym, przemysłowym, a zielonym Śląskiem najlepiej widać z Kopca Wyzwolenia w Piekarach Śląskich, usypanego w latach

⁷² G. Morcinek: Z mojej ziemi, Wydawnictwo „Śląsk” 1955.



Rynek w Chorzowie, lata trzydzieste XX wieku

1932 -1937 dla uczczenia powstań śląskich. Jak popatrzeć z niego na południe i zachód to widać kominy i szyby kopalń w Siemianowicach, Chorzowie, Katowicach, Bytomiu, jak na północ i wschód - to wzgórze, pola i lasy Nakła, Tarnowskich Gór i Świerklaniec z taflą jeziora. A wszystko łączy Matka Boża Piekarska w cudownym obrazie, który znajduje się w bazylice o dwóch wieżach.

Przed wojną - jak mówiła mama do Żędowic jechało się przez granicę w Bytomiu albo w Brynku za Tarnowskimi Górami, bo były w Niemczech. Teraz Żędowice były jak my w Polsce, ale był to inny świat. Już za Bytomiem, w Nakle było zielono, były pola, zielone łąki, widać było las, czyste, małe domki z czerwonymi dachami. Gdzieniedzie wyłaniał się kościółek, a niebo było jasne i czyste. Jak pojechać dalej za Strzelce Opolskie to z rozległej równiny widać było Górę Świętej Anny z kościółkiem na szczycie, w którym znajduje się niewielka figurka świętej Anny, zrobiona z lipowego drzewa. To do niej Ślązacy od lat pielgrzymują. A ksiądz Norbert Bończyk napisał o górze poemat jako o Górze Chełmskiej, bo jest zbudowana z wapienia i bazaltu.

W Żędowicach ludzie nie mieszkali w familokach, ale we własnych domach. Starsze kobiety jak siostra babci i jej bratowe nosiły się po chłopsku ubrane w jakle⁷³, kiecki⁷⁴ i zopaski⁷⁵. Na głowach miały chusty, na lato cienkie ze zajdy⁷⁶, albo heklówki⁷⁷, a na zimę ciepłe wełniane.

⁷³ bluzy

⁷⁴ spódnice y

⁷⁵ fartuchy

⁷⁶ z jedwabiu

⁷⁷ robione na szydełku

Jeszcze dzisiaj je widzę jak siedzą wystrojone w kościelnych ławkach w niedzielne letnie popołudnia na nieszporach, czy na „Godzinkach”, pięknej śpiewanej modlitwie do Matki Bożej prawie nieznannej poza Śląskiem. Babcia podobno też jeszcze w Hajdukach tak się ubierała, ale potem zaczęła chodzić „po pańsku” jak tutejsze kobiety.

W Żędowicach był świeży luft⁷⁸, a w rzece Mała Panew zwanej Malapaną żyły podobno utopce. Opowiadały mi o nich miejscowe dzieci, z którymi chodziłam paść gęsi i krowy, ale żadnego utopca nie udało mi się zobaczyć. Tu się też inaczej godało, czyli rządziło. Babcia to była starka, albo oma, starzyk to starszek, albo opa. Ale najciekawsze było, że zamiast „ą” i „ę” oni mówili „an”. Była więc „gamba” zamiast gęby, „rancznik” zamiast ręcznik, „gansi” a nie gęsi. Potem dzięki profesorowi Miodkowi dowiedziałam się, że to pozostałość staropolszczyzny, ponoć jeszcze z XIV wieku. Ale ludzie w Żędowicach, albo w Żandowicach (jak nazywają swoją wieś) nie bardzo w to wierzą. W ich gwarze były też inne różnice. Na śniadanie dostawałam tu gelniki chleba, a nie sznity jak w domu, nie mieli modrego kibla, tylko swiatły ajmer. A na kogoś obcego spoza Śląska nie godali jak my gorol tylko hadzaj. Podobało mi się to ich rządzenie, więc rządziłam tak jak oni.

A potem po wakacjach trzeba było w domu podwójnie trenować, aby w szkole mówić poprawnie po polsku.



Kopanie kartofli w Żędowicach

⁷⁸ powietrze

10. Czy Polska będzie Połską?

Od godania śląską gwarą gorsze było mówienie po niemiecku. Pani w szkole stale nas pytała, czy przypadkiem w domu nie mówi się w tym języku? Mało kto się przyznawał, bo można było za to dostać po łapach. A może i rodzicom kazano by przyjść do szkoły? A rodzice też mogliby mieć z tego powodu kłopoty w pracy.

Rodzice mówili między sobą po niemiecku jak mieli swoje sprawy i nie chcieli żebym ja, a potem i mój brat o tym wiedział. Podobnie było w innych domach. Niektóre dzieci opowiadały w szkole, że jak rodzice mówią w domu po niemiecku, to na pewno będzie znowu nowe dziecko... Mama rozmawiała też po niemiecku z panią Leks, naszą sąsiadką, która była Niemką i nie umiała mówić po polsku. U babci po niemiecku mówiła ciotka Cila i jej siostra Mika, a także sąsiadka pani Wehner. Słuchałam tego - jak się mówiło szwargotania z obrzydzeniem, bo wydawało mi się, że zdradzam Polskę, moją ojczyznę. Ale dzięki temu nie zapomniałam zupełnie niemieckiego, o co władzy wtedy chodziło i nie musiałam potem uczyć się go od początku.

Wszystko co niemieckie było wtedy powszechnie tępione. Niemców wysiedlano z Polski, szczególnie ze Śląska. Wysiedlono wtedy między innymi wujka Paula, którego żona była niemiecką nauczycielką, czy brata ciotki Cili, Richarda. Nasi sąsiedzi Leksowie, choć Niemcy zostali, bo pan Leks był podobno fachowcem potrzebnym w hucie. Ale zabrano im prawie wszystko i wyrzucono ich z ładnego, dwupokojowego mieszkania na poddasze. Pan Leks tak się tym przejął że wkrótce umarł. Ale jego żona jak jej ludzie współczuli to tylko mówiła:

- Oh, ich pfeife darauf!⁷⁹

Czasem tylko wspominała, że szkoda jej klawieru, czyli pianina na którym lubiła grać. Stała potem w sieni i słuchała jak córka nowych właścicieli mieszkania grała, niemilosiernie przy tym fałszując. Miała wtedy oczy pełne łez.

Zmieniano nazwy miast i ulic z niemieckich na polskie. Także imiona i nazwiska. Ludzie mówili wtedy, że zaczął się wielki chrzest w Brynicy czy w Rawie. Inga stawała się Ireną albo nawet Stanisławą, Helmut Henrykiem, Walter Władysławem i tak dalej. W naszej rodzinie dawano imiona, jak mówił ksiądz chrześcijańskie, takie co zawsze miały pasować. Babcia ze strony taty nazywała się Magdalena, starzyk Edward, a ich dzieci Alojzy i Helena. Rodzice mamy to Augusta i Paweł. Synowie nazywali się Paweł i Ludwik, a córki Maria, Hildegarda, Anna i Łucja. Rodzice mojej drugiej mamy to Wiktoria i Roman, a ich dzieci to Julia, Jerzy i Helena. Także nam dzieciom urodzonym w czasie okupacji nie dano typowych niemieckich imion, choć tego ponoć wymagano i było to w modzie.

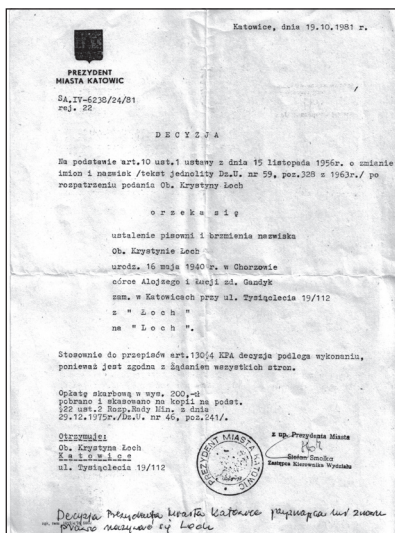
⁷⁹ gwizdźę na to!

Z imionami nie było więc problemów, gorzej z nazwiskiem Loch, brzmiącym przecież nie po polsku, choć po latach spotykałam Polaków, pochodzących z Radomia i Pułtuska, którzy się tak samo nazywali. Najprościej byłoby zmienić nasze nazwisko na Dziura i wtedy nazywalibyśmy się jak mój ojciec chrzestny. Paweł Dziura był kolegą taty, a obaj byli sędziami bokserskimi. Dochodziło niekiedy w Hajdukach i nie tylko do śmiesznych sytuacji. Bo kiedy przed meczem bokserskim zapowiadano na przykład, że dzisiaj w ringu sędziuje Dziura to kibice od razu pytali: a gdzie jest Loch?

Dziura i Loch nie są jedynym przykładem, że nazwiska znaczą to samo po polsku i po niemiecku. Był też Langer i Długi, Klein i Mały, Wesoły i Fröhlich i wiele innych, podobnych przypadków. Ale ktoś wpadł na pomysł, aby śląskie nazwiska polonizować, zmieniając literę l na ł. Bo litery ł nie ma w niemieckim alfabetcie! W ten sposób spolszczono wiele nazwisk, przy czym nasze brzmiało teraz dziwnie i śmiesznie. Ojcu i reszcie rodziny udało się potem jakoś powrócić do nazwiska Loch. Tylko ja nadal nazywałam się Łoch i już jako osoba dorosła musiałam udowadniać, że jest inaczej, jeździć do Zabrza po metryki starzyka Locha i taty.

Opowiadano długo w Hajdukach co powiedział stary Mikula, jak mu chcieli zmienić nazwisko na Mikula. A powiedział, że jak on mo być Mikulą to niech naprzód Polska będzie Polską! Robienie „ł” z „l” utrzymuje się niekiedy i dzisiaj. Słyszałam niedawno jak jeden z dyrektorów muzeum mówił Łysko na Alojzego Łysko, znanego działacza społecznego i kulturalnego z Bojszów.

Jak mówili rodzice nie wszyscy Niemcy byli źli. Bo na przykład pani Leks i jej mąż niczego złego nikomu nie zrobili. Było mi ich żal, bo prawie wszystko stracili, a pani Leks po śmierci męża została bez środków do życia. Ale tłumaczyłam sobie, że dobrze im tak skoro byli Niemcami! Bo Niemcy - jak uczono mnie w szkole - to było wszystko co najgorsze. Już w czasach Mieszka I napadali na Polaków i w całej historii zawsze byli przeciwko nam. Zabijali polskich żołnierzy i powstańców. Bili polskie dzieci we Wrześni. Zburzyli nam Warszawę i inne miasta.



Pismo prezydenta miasta Katowice, przyznające mi znowu prawo nazywać się Loch

Byłam wtedy tak nastawiona antyniemiecko że nie chciałam nawet jeść niemieckich nudli, czyli makaronu, który kiedyś ciocia Anna kupiła do zupy, pewnie z importu z NRD. I przeszkadzały mi też niemieckie książki taty.

W bibliotece taty obok polskich książek stały także książki niemieckie, niektóre stare, pisane jeszcze gotykiem, pięknie oprawione. Oglądałam je z daleka jak coś obcego, wrogiego. A czasem nawet zastanawiałam się, czy nie należało by ich wyrzucić, lub przynajmniej głęboko schować.

Obie babcie obok polskich książek do nabożeństwa miały też niemieckie Weg zum Himmel⁸⁰. A na romie⁸¹ nad stołem stały ładne, porcelanowe pojemniki. Był w nich cukier, sól, czy mąka, a pisało Zucker, Salz, Mehl. Jak mogą mieć coś takiego w domu skoro są Polakami? - pytałam sama siebie. Potem po latach mój brat zabrał te pojemniki do Warszawy.

80 Droga do Nieba

81 półka

11. Rusy nos „wyzwoliły”

Starzyk z Bandurskiego przychodził z pracy do domu, zjadał obiad i szedł do pokoju. Tam czytał gazetę, a potem włączał radio. Puszczał je zwykle na fol⁸², więc trzeszczało i mało można było zrozumieć. Myślałam, że to dlatego iż radio jest stare, jeszcze sprzed wojny. Ale starzyk mówił, że te pierony zagłuszają, bo to jest Wolna Europa, czy Londyn. Starzyk słuchał i jak skończyli to przychodził do kuchni i mówił, że bydzie wojna! Słuchałam tego ze strachem, ale babcia z ciotką Helą tylko się śmiały i pytały - czy już na granicy stoją? Czasem przypominały starzykowi, że mówił iż od Niemców wyzwoli nos Amerykon. I co - przyszły Rusy!

Mówiłam wtedy, że Rusy nos wyzwoliły i trzeba im być za to wdzięcznym. Na to babcia, ja, Rusy nos wyzwoliły, ale od krojenia szpyrki...Bo teraz szpyrki, czyli słoniny nie ma w sklepach, a yno niedobry smalec.

Starzyk lubił też dyskutować z moim tatą o polityce. Wspominał Korfanteo, Grażyńskiego, czy Karola Grzesika, przedwojennego naczelnika gminy Hajduki, a potem prezydenta Chorzowa. Z rozmowy wynikało, że tata nie lubił wojewody Grażyńskiego, bo ten przed wojną nie potrafił znaleźć pracy najbardziej zasłużonym harcerzom. A miał różne listy według których dawał pracę „swoim”, głównie przybyszom z Galicji. Dlatego też – jak tata



Tata czytający „Polonię”, pismo wydawane przez Korfanteo

mówił - był Korfanciorzem⁸³ Słuchałam tego, ale niewiele rozumiałam, bo dla mnie najważniejsi byli Bierut i Cyrankiewicz, których portrety wisały w klasie nad katedrą. Potem jak zdjęto krzyż to powieszono jeszcze portret marszałka Rokossowskiego.

Patrząc na portret Cyrankiewicza zastanawiałam się czy to prawda co mówił o nim starzyk z Bandurskiego. A mówił, że to jest wielki cygon. Cyrankiewicz był jak starzyk w PPS-sie i mówił im na spotkaniu, że nie będą się łączyć z PPR. A potem się na to zgodził i w grudniu 1948 roku obie partie się połączyły i on dostał się do rządu. A ci którzy jak starzyk nie chcieli wstąpić do nowej partii PZPR to stali się podejrzeni.

⁸² na cały regulator

⁸³ zwolennikiem Wojciecha Korfanteo

Jeśli co do Cyrankiewicza miałam wątpliwości, to nie wierzyłam że Rusy mogły ze Śląska wywozić ludzi na roboty do ZSRR. A ujek Ignac z Żędowic, brat starzyka umarł i mówiło się, że to wszystko z tej ciężkiej roboty w Rusyi. Wzięli go podobno jak szofa na szychta na Zawadzkie, a potem wywieźli razem z innymi na Ukrainę. Tam musieli ciężko pracować w kopalni, dostawali mało jedzenia, mieszkali w zimnie i gryzły ich wszy. Jego córka Anna opowiadała, że przedtem łojcu podobno sie komunizm, ale potem nie chcioł już o nim słyszeć.

- Przecież Rosjanie wyzwolili nas od Niemców, dali nam ziemie zachodnie i pomagali odbudowywać kraj! Czy mogli więc zrobić nam coś złego? Jeśli już to tylko Niemcom! A przecież ujek Ignac nie był Niemcem! Ludzie też mówili, że maszyny i inne rzeczy z naszych hut i fabryk szły na wschód, czyli do Rusyi. A nie mogła to być prawda, bo przecież wszystko wywieźli i zniszczyli Niemcy.

Kraj się odbudowywał, przemysł rozwijał się zgodnie z planem 3-letnim. A potem był wielki plan 6-letni, o którym były wiersze i o którym śpiewaliśmy piosenki. Potrzeba było ludzi do pracy i dla nich zaczęto budować nowe domy. Nowe osiedle budowano obok nas, a także w Hajdukach, które dotąd kończyły się za kasynem hutniczym, willą dyrektora Marxa, czy jak się też mówiło Kallenborna i cmentarzem na ulicy Granicznej. Dalej były pola, ogródki, a z prawej strony staw Jarosz, do którego - jak opowiadała mama chodzili za bajtli myć się wczas rano w Wielki Piątek, bo wierzyli że wtedy w wodzie był Pan Jezus. Zaraz po wojnie po prawej stronie szosy były też baraki w których mieszkaly tzw. dwójki, czyli ludzie z niemiecką Volkslistą 2. Dalej szosa prowadziła do Kochłowic. Tam zaczęto budować prawie drugie miasto, a w nowych domach zamieszkali ludzie prawie z całej Polski.

- Skąd to tela tego najechało? - dziwiła się babcia z Bandurskiego. Bo dotąd z tej strony Hajduk oni szli ostatni do roboty, kościoła, czy na targ.

- Przyjechali gorole do roboty - odpowiedziała jej sąsiadka. A jeden z takich goroli został potem jej zięciem.

Dla goroli, werbusów, czy hadzajów budowano także hotele robotnicze, zwane wulcami. Jeden z nich powstał niedaleko nas przy ulicy Racławickiej. Był to hotel dla górników i uczniów szkół górniczych. Zamieszkali w nim ludzie młodzi, bez rodzin, najczęściej ze wsi. Po pracy, nauce musieli się gdzieś wyszumieć, zabić czas. Zaczęły się więc pijaństwa, napady, rozróbny. Nasza sąsiadka została któregoś dnia napadnięta jak wracała wieczorem z pracy w aptecę. Była posiniaczona, przestraszona i bez torebki.

- To chyba wulce - mówiła z płaczem.

Rozwijało się szkolnictwo, zaczęły powstawać szkoły zawodowe, średnie, technika i licea ogólnokształcące. Powstawały też szkoły wyższe. Przed wojną w Katowicach było Wyższe Studium Nauk

Spółeczno - Gospodarczych, Konserwatorium Muzyczne i Instytut Pedagogiczny. Po wojnie na ich bazie powstały: Wyższa Szkoła Ekonomiczna, Wyższa Szkoła Pedagogiczna i Wyższa Szkoła Muzyczna. W Gliwicach utworzono Politechnikę Śląską, a w Rokitnicy, dzielnicy Zabrzeza Akademię Medyczną.

Można było uczyć się „w domu” nigdzie nie wyjeżdżając, do tego w systemie dziennym, wieczorowo i zaocznie. Były też szkoły dla osób wytypowanych przez zakłady pracy.

Któregoś dnia tata wrócił z pracy i powiedział że od września idzie do technikum dla wytypowanych robotników. Obie z mamą byłyśmy zdumione. Mama wzorem śląskich kobiet nie pracowała, spytała więc tatę z czego będziemy żyli? Tata ją uspokoił: w hucie będą mu nadal płacić. Ja z kolei spytałam, do której klasy pójdzie?

- Do pierwszej - odpowiedział.

Poczułam się dumna, bo byłam już w trzeciej klasie. Ale potem tata szybko mnie przegonił. Wtedy kształcono szybko, bo potrzeba było fachowców. Robiło się w jeden rok dwa lata, a niekiedy i więcej.

Po dwóch latach tata zdał maturę i dostał dyplom technika-hutnika. Co to za technik co nie umie wbić gwoźdźcia do ściany? - dziwiła się mama. Bo technik to był dla niej ktoś co umie wszystko w domu naprawić. A tata miał „dwie lewe ręce” i technika nie była jego powołaniem. Ale cieszył się że ma maturę, bo jak mawiano - dopiero od matury człowiek się liczy! Miał też dyplom technika - hutnika, a więc fach, najważniejszy dla niego jako dla Ślązaka, który pozwalał w hucie pracować i awansować, zarabiać i utrzymać rodzinę. A inne rzeczy – jak mówił tata – można robić potem, po pracy. Niejako na marginesie. Dalsze życie ojca pokazało jak ważny był właśnie ten margines.

Ojciec pracował w Hucie Batory aż do emerytury na różnych stanowiskach. Najdłużej, bo 18 lat był kierownikiem działu BHP i wbrew opiniom niektórych nie była to praca łatwa, bo wypadki nie były w hucie rzadkością, a tata każdy z nich mocno przeżywał. Zresztą sprawą wypadków przy pracy w hucie żyła wtedy cała nasza rodzina.

Po pracy w hucie tata powracał do swych prawdziwych zainteresowań, do swego powołania: literatury, a głównie historii Śląska, czasów które pamiętał jako chłopak z Zabrzeza, powstań, plebiscytu, a potem podziału Śląska i wyjazdu z rodzicami do Polski, do Hajduk. Właśnie historia Hajduk, Huty Batory, Chorzowa stała się jego największą pasją, chociaż i historia Śląska w ogóle. Czytał książki na ten temat, polskie i niemieckie, ale nie tylko. Szukając interesujących informacji chodził do archiwów, wertował stare roczniki pism regionalnych, szukał ludzi, którzy mogliby na dany temat coś powiedzieć. A potem o tym pisał do kronik, gazet, w końcu w książkach. Po to, aby ludzie mogli się czegoś więcej dowiedzieć o miejscu, w którym żyli i pracowali.

- Że ci się synek tyż tak chce! - mówiła jego matka, babcia z Leśnej.

A babcia z Bandurskiego wolałaby, aby po robocie siedział w domu i bajstlował, bo takich chłopów považała najbardziej. Ale miała pecha, bo zarówno starzyk, jej mąż, jak i zięć, a potem i wnuk woleli robić coś innego.

Poza tym ojciec działał społecznie. Także w sporcie jako wiceprezes „Ruchu”, współorganizator drużyny bokserskiej przy Hucie Batory. Jeździł też na mecze bokserskie jako sędzia klasy państwowej.

W roku 1956 wydana została książka „Kartki z dziejów Huty Batory”, napisana przez ojca wspólnie z Gerardem Szędzielorzem, w której był autorem części historycznej, obejmującej okres od początku huty do roku 1945. Była to druga książka o hucie Batory, w tym pierwsza napisana po polsku⁸⁴, zawierająca przy tym wiele faktów o przeszłości huty oraz Hajduk. I myślę że mimo ideologicznych uproszczeń/ kapitaliści – wyzyskiwacze, biedni robotnicy/, których wtedy trudno było uniknąć, jest to książka ważna dla każdego kto interesuje się historią śląskiego przemysłu, w tym hutnictwa, oraz Hajduk i Chorzowa.

⁸⁴ Pierwszą wydano po niemiecku w Berlinie w roku 1922: Bismarckhütte 1872-1922. Podaję za Jackiem Kurkiem: Historia Wielkich Hajduk, Chorzów-Batory - Wielkie Hajduki, 2001, str:8

12. Nic, yno trza rzykać

W roku 1952 zmarł starzyk z Leśnej. Być może umarł ze starości, bo miał ponad 60 lat i wtedy było się już starym. Ale może przejął się niską emeryturą, jaką dostał po blisko 50 latach pracy.

- Ty patrz, tu przeca musi być jeszcze null⁸⁵ - powiedział do swego syna, a mojego taty jak dostał decyzję o pynsy⁸⁶.

To znaczy, że oczekiwał emerytury 10-krotnie wyższej. Ale wtedy nie liczyły się lata przepracowane u kapitalistów.

Niedługo potem w kwietniu urodził się mój brat Jerzy, nazwany tak na cześć patrona harcerzy, a także brata mamy, który zginął na wojnie. Wszyscy się z tego cieszyli, ale najbardziej babcia z Leśnej.

- Momy sztamhaltra⁸⁷ - mówiła sąsiadom i znajomym, a ci jej gratulowali. Babcia się cieszyła bo narodził się synek, następca rodu Lochów, bo dotąd miała tylko nas, mnie i kuzynkę Zytę. Czyli dwie dziółchy.

Najmniej z narodzin brata cieszyłam się ja, bo poczułam się zagrożona w swoich dotychczasowych prawach. Podobno nawet chciałam wyrzucić go z okna... Niestety babcia z Leśnej niedługo cieszyła się wnukiem. Po śmierci starzyka poszła do pracy w kuchni w jednym ze szkolnych internatów. Tam ktoś przez nieuwagę oblał ją gorącą zupą i z tego zmarła w następnym roku.



Chrzest brata

W tym samym 1952 roku starzyk z Bandurskiego poszedł do więzienia. Można się było tego spodziewać, bo od czasu jak odmówił wstąpienia do PZPR był „podpadnięty”. Niby wszystko było zwyczajnie, bo pracował gdzieś tam w magazynie, chodził jak dawniej na pochody 1-majowe i z powstańcami na uroczystości 3 maja. A jak przychodził nazod to często miał pod myką⁸⁸ i śpiewał: A sztandar jego jest czerwony, bo na nim robotnicza krew! Babcia godała, że miał pysk i głośno godoł co myśli, jak się nie zgadzał z tym co robili sekretarze partii i nowi zwierzchnicy. A poza tym był jeszcze powstańcem. A wtedy powstańców - jak mówiła babcia gonili. Byli niepewni,

⁸⁵ zero

⁸⁶ emerytura

⁸⁷ następca rodu

⁸⁸ nie był trzeźwy



Starzyk (czwarty z lewej w pierwszym rzędzie) w grupie powstańców

bo niby walczyli o Polskę, ale potem podpisali Volkslisty. A jak już uznać, że walczyli o Polskę to przecież o kapitalistyczną! A w ogóle to łoni chcieli mieć Śląsk bez Ślązaków! A mój tata dodawał, że jesteśmy dla Polaków tym, czym Samarytanie byli dla Żydów...

Któregoś dnia przyszli na Bandurskiego, czy już na Racjonalizatorów jacyś ludzie z UB, którzy zrobili w domu rewizję i starzyka zabrali. Wtedy takie aresztowania były na porządku dziennym. Zamykali tych co byli w AK, tych co wrócili z wojska od Andersa, a także księży i biskupów. A naszych katowickich biskupów wygnali z diecezji. Wszystko to nie było dla nas pocieszeniem i nie wiedzieliśmy co robić, gdzie szukać pomocy. Babcia powiedziała, że nic, yno trza rzykać⁸⁹, bo tyż rzykała jak starzyka zawarli za Niemca. Modliliśmy się więc wszyscy, ja też. I zastanawiałam się, co starzyk mógł takiego zrobić że go zamknęli?

W szkole uczono nas, że wrogami Polski Ludowej są imperialiści amerykańscy, którzy chcą kolejnej wojny, a my walczymy o pokój. Oraz Niemcy, którzy chcieliby wrócić na nasze ziemie zachodnie. Ich straszliwe i śmieszne kukły można było oglądać na pochodach 1-majowych. Wrogami byli też kułacy, co to nie chcieli oddać państwu zboża na chleb, czy mięsa i mleka, aby robotnik w mieście miał co jeść. Ale jakim wrogiem dla Polski mógł być starzyk? On który jeszcze przed wojną strajkował i walczył o prawa dla robotników. A więc o to co przyniosła Polska Ludowa.

⁸⁹ trzeba się modlić

A do tego starzyk walczył w powstaniach, aby Śląsk mógł być polski. Rozczytywałam się wtedy w książkach Morcinka o polskim sercu za tamą, czyli za granicą i chodniku, który Ślązacy musieli sobie sami wyrąbać, aby dojść do Polski. Czytałam też inne książki o śląskich powstaniach z biblioteki taty i powstania te były dla mnie czymś heroicznym, wręcz świętym. A powstańcy osobami godnymi największego szacunku, którym Polska powinna być wdzięczna. Bo przecież przynieśli jej Śląsk z węglem, jak się mówiło z czarnym złotem, z kopalniami, hutami, fabrykami. Dlaczego więc nie świętuje się uroczystości 3 maja, kiedy to w roku 1921 wybuchło 3 powstanie śląskie, które zdecydowało o powrocie części Śląska do Polski? Albo - dnia 20 czerwca, kiedy w roku 1922 wojsko polskie wkroczyło po 600 latach na Śląsk? A pamięta się o dniu 27 stycznia kiedy w roku 1945 Armia Czerwona wyzwoliła Chorzów i Katowice. Pierwszym sygnałem że pamięta się o śląskich powstaniach było odsłonięcie w roku 1955 Pomnika Czynu Powstańczego na Górze Świętej Anny. Pomnik wykonał wybitny rzeźbiarz Xawery Dunikowski, a postawiono go nad amfiteatrem, w miejscu gdzie przedtem stał pomnik na cześć powstańców niemieckich. Dopiero w roku 1967, czyli 12 lat później stanął Pomnik Powstańców Śląskich w Katowicach. A Wojciech Korfanty, którego działania głównie zdecydowały o powrocie Śląska do Polski musiał czekać na swój pomnik aż do roku 1999.

W tym wszystkim nic nie rozumiałam i próbowałam powiedzieć o tym rodzicom. Ale ci udawali zajętych i od razu pytali, czy mam zrobione zadanie do szkoły? 22 lipca 1952 roku uchwalono Konstytucję Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i odbyły się wybory do Sejmu. Ciocię Helę wytypowano w pracy do pomocy członkom Komisji Wyborczej. Zgodziła się chętnie wierząc, że w ten sposób pomoże starzykowi. Miała rację. PZPR wygrał wybory i wkrótce potem starzyk wrócił do domu.

W marcu 1953 zmarł Józef Stalin. Nie był naszym władcą, ale był najważniejszy, bo tam w dalekiej Moskwie troszczył się o pokój na świecie, aby nasi rodzice mogli pracować, a my spokojnie się uczyć. Uczyliśmy się na pamięć jego życiorysu, wierszy napisanych o nim, o Stalinie śpiewaliśmy pieśni, w tym Suliko jego ulubioną. Pamiętam że w dniu jego pogrzebu grano przez cały czas marsze żałobne, w oknach wystawowych sklepów stały portrety Stalina, przepasane żałobnym kirem. A gazety w ogromnych, czarnych nagłówkach głosiły, że oto zmarł największy z wielkich! Tego dnia po żałobnej akademii w szkole poszłam do babci i ujrzałam ją spokojnie piorącą coś na waszbracie⁹⁰. Byłam tym naprawdę oburzona i powiedziałam:

- Jak możesz tak spokojnie prac skoro zmarł Stalin!

⁹⁰ tara do prania

Niedługo potem Katowice nazwano Stalinogród. Zmianę nazwy miasta zaproponował w Sejmie mój ulubiony Morcinek i byłam pewna, że postąpił słusznie. Ale wielu uważało inaczej, choć tak naprawdę nikt się tym zbytnio nie przejmował. Ludzie na Śląsku byli przyzwyczajeni do zmian nazw miast, ulic, także nazwisk i imion. Niektórzy starsi ludzie wspominali jak było ze zmianą Zabrze na Hindenburg, jak feldmarszałek zwyciężył w roku 1915 pod Tannenbergiem. Wtedy ludzie godali, że jak się Hindeburg zbabrze⁹¹, to zaś bydzie Zabrze. I co, nie stało się tak? Słuchałam tego i pomyślałam, że przecież Stalin nie może się zabrać. Bo to wielki człowiek, nie jakiś podły Niemiec!

Potem czasami młodzież, a szczególnie chłopcy robili na złość konduktorom w tramwajach jadących do Stalinogrodu. Bo prosili o bilet do Katowic.

- Jedziemy do Stalinogrodu - mówił konduktor, bo przecież musiał.

- Oj przepraszam, pomyliłem się - mówili chłopcy i wysiadali na najbliższym przystanku.

⁹¹ zbrudzić się, podpaść

13. Co bydziesz dalej robić?

Kończyłam szkołę podstawową i należało pomyśleć co dalej. Chłopcy z mojej klasy szli w większości do zawodówek, najczęściej do szkoły zawodowej huty Batory, lub do szkół górniczych. Niektórzy wybierali się do technikum. Nikt z chłopaków nie szedł do liceum ogólnokształcącego, bo szkoła nie dawała żadnego fachu. A przecież chłop musiał mieć fach, aby mógł potem dostać robotę, zarobić i utrzymać rodzinę!

Dziewczyna nie musiała mieć fachu, bo robić i zarobić na rodzinę to była rzecz od chłopów. Ona miała siedzieć w domu i dbać, żeby w domu było czysto, a dzieci zadbane. Miała być kobietą czystą, a nie żodną słon-drą⁹² czy ciarachem⁹³. Dbanie o czystość mieszkania, obejścia, czy ubrania było bardzo ważne, bo z kominów leciały dymy, a z nich był kurz i sadze, a bez ciągłego sprząwania trzeba by było żyć w marasie⁹⁴. Czysto musiało być szczególnie tam gdzie ludzie widzieli, czyli w oknach. Musiały być zawsze wypucowane, a w nich wisieć fajne, czyste gardiny⁹⁵. Stąd czyste okna na Śląsku są znane w całej Polsce. Kobieta musiała też być szporobliwa, czyli oszczędna, dobrze gospodarować pieniędzmi, które chłop przyniesie.

Dziewczyny po szkole podstawowej szły zwykle do huty za gońca, albo na któryś wydział, gdzie była lżejsza robota. Tam znajdowały męża i potem były gospodyniami domowymi. Pamiętam jak w szkole jedna z koleżanek Elżbieta zwana Liską nie mogła nauczyć się łałmków. Nauczyciel od matematyki wezwał do szkoły jej matkę i powiedział, że jak się córka tych łałmków nie nauczy to nie przejdzie do następnej klasy. A mama Liski na to:

- Ale panie nauczycielu po co dziolśze łałmki? Przeca jak ona sie wydo⁹⁶ to nie bydzie kupować na łałmki, yno na kila⁹⁷!

Niektóre dziewczyny z gońca dostawały się potem do biura, gdzie miały, jak się mówiło - lekko i fajno robotę. Inne czasem uczyły się krawiectwa, fryzjerstwa, zostawały pielęgniarzkami. Jak dziewczyna była zdolna to mogła pójść do handlówki, czyli do dzisiejszego liceum ekonomicznego.

- Ty tam profesorką nie bydziesz! - mówiła ciocia Marysia do kuzynki Gabrysi. I dodawała: uczysz się dobrze to pójdziesz do handlówki! Przyszłość pokazała jak bardzo się myliła.

⁹² brudas,

⁹³ flejtuch

⁹⁴ brud

⁹⁵ firany

⁹⁶ wyjdzie za mąż

⁹⁷ na kilogramy

Ja też uczyłam się dobrze, a poza tym byłam manualnym antytalenty. Nie umiałam sztrykować⁹⁸, sztikować⁹⁹, sztopować¹⁰⁰, ani szyć. Czyli nic z tego co powinna umieć porządna kobieta.

- Ty mosz sztajfne¹⁰¹ palce - mówiła ciocia Kunda, siostra babci patrząc z politowaniem jak usiłowałam przyszyć guzik. I dodawała z troską: co to bydziesz robić?

Mama też widziała czarno moją przyszłość.

- Bydziesz jak ta Marta - mówiła, bo akurat czytała książkę Orzeszkowej o kobiecie, która nie dawała sobie rady w życiu. Odpowiadałam jej, że wtedy był kapitalizm i zacofanie, a teraz kobiety mogą zdobyć zawód i pójść do pracy.

Tata wybrał dla mnie liceum ogólnokształcące, które właśnie powstało w Hajdukach. Szkołę zbudowano w roku 1935 i wtedy należała podobno do najnowocześniejszych w Polsce. Poświęcił ją ks. Józef Czempiel, ówczesny proboszcz parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, zamordowany w czasie wojny w obozie w Dachau i ogłoszony w roku 1999 błogosławionym przez papieża Jana Pawła II. Szkoła stała przy ulicy Farnej, blisko fary, czyli probostwa i kościoła. Być może dlatego nie stała się w Polsce Ludowej szkołą TPD, w pełni świecką. Jak na przykład liceum w Chorzowie przy ulicy Dąbrowskiego, dzisiejsze liceum im. Juliusza Słowackiego. Tam jak mówiono chodziły tylko dzieci partyjnych.

⁹⁸ robić na drutach

⁹⁹ haftować

¹⁰⁰ cerować

¹⁰¹ sztywne

14. Szkoła na Farnej

Szkoła na Farnej miała być szkołą średnią jeszcze przed wojną, co byłoby na pewno awansem dla robotniczych Hajduk. Ale udało się dopiero po wojnie. Gmach szkoły był przestronny, klasy duże i jasne, była aula i sala gimnastyczna. Szkoła była 11-latką i łączyła siedmioletnią podstawówkę z czteroletnim liceum ogólnokształcącym.

Wśród nas przyjętych do 8 klasy połowę stanowili chłopcy, dojeżdżający do szkoły też ze Starego Chorzowa, z Chorzowa miasta, z Pnioków, Świętochłowic i Rudy Śląskiej. Był to postęp w stosunku do śląskiej tradycji, bo przecież ukończenie szkoły nie dawało fachu i trzeba było potem pójść na studia, lub do jakiejś szkoły pomaturalnej. Co do dziewcząt to pewnie zakładano że po ukończeniu liceum będą mogły pójść do biura. Na początku w szkole był podział na klasy męskie i żeńskie. Potem przez dwa lata były klasy koedukacyjne, a następnie w klasie maturalnej znów nas oddzielono od chłopców.

Liceum było nowe, bez tradycji, ale większość nauczycieli na czele z dyrektorem Zygmuntem Stebelskim przedwojenna, chociaż byli i nauczyciele młodzi po szkołach w Polsce Ludowej. Wszyscy oni potrafili stworzyć nam w istniejących warunkach normalną, przyjazną szkołę. Były oczywiście propagandowe gazetki szkolne, przygotowywane na święta państwowe i różnego rodzaju rocznice. W szkole jak wszędzie wisiały propagandowe hasła, były poranne apele na których śpiewaliśmy „Naprzód młodzieży świata”, czy akademie z obowiązkowym „Wykłęty powstań ludu ziemi”. Ale nie przypominam sobie, aby kazano nam wstępować do ZMP, czy potem do ZMS. Wprost przeciwnie dyrektor głośno krytykował tych, którzy - jak sądził wpisywali się do tych organizacji tylko po to aby potem dostać się na studia.

Dyrektor Stebelski uważał, że w życiu należy zawsze postępować zgodnie z własnym przekonaniem. A przede wszystkim być Polakiem, robić wszystko co jest dobre dla Polski. Mówił nam zawsze: jeśli zniszczysz szkolną ławkę, lub cokolwiek innego to nie zniszczysz tylko rzeczy. Zniszczysz też kawałek naszej ojczyzny - Polski! Był chyba największym



*III L.O. im. St. Batorego
przy ul. Farnej*

polskim patriotą jakiego spotkałam w życiu. Znaczna większość nauczycieli pochodziła spoza Śląska i programowo miała nas polonizować i uczyć patriotyzmu, ale dyrektor Stebelski robił to najbardziej przekonująco. Może dlatego, że urodził się i wychował z dala od Polski, bo na rumuńskiej Bukowinie. Po ukończeniu szkoły średniej w Czerniowcach przyjechał w roku 1924 na Śląsk. Uczył w Nowym Bytomiu, potem w Orłowej na Zaolziu. W czasie okupacji został aresztowany za tajne nauczanie. Po wojnie przyjechał ponownie na Śląsk i w roku 1949 został dyrektorem naszego liceum.

Dyrektor starał się utrzymać w szkole dyscyplinę. Krzyczał kiedy nie widział tarczy na rękawie, czy kolorową czapkę na głowie zamiast granatowego beretu. Ale lubiliśmy go bo sylwetką przypominał dobrodusznego berka, czyli niedźwiadka. Nazwaliśmy go więc bercik. Wiedział o tym, bo kiedyś przyszedł do naszej klasy i śmiejąc się powiedział do kolegi, którego nazywaliśmy buchcikiem¹⁰²:

- Ty jesteś buchcik, a ja bercik!

Poza tym starał się nas zrozumieć kiedy nie umieliśmy się dogadać z nauczycielami.

Nauczyciele mieli nam Ślązakom przybliżyć Polskę, jej historię i kulturę. A przede wszystkim nauczyć nas mówić poprawnie po polsku. Polonistką z przedwojennym stażem była pani Irena Jarzębińska, zwana jarzębiną, wielka dama, kochająca nade wszystko romantyków Mickiewicza i Słowackiego. Nas uczył polskiego Kazimierz Wygaś, młody człowiek niedawno po studiach. Już na pierwszej lekcji oznajmił nam, że będzie jak Jakub Świnka. Czyli jak arcybiskup gnieźnieński, żyjący na przełomie XIII i XIV wieku, który bronił języka polskiego przed germanizacją.

Wygaś był odtąd dla nas Świnką i trzeba przyznać, że stwarzaliśmy wiele okazji aby mógł się „wykazać”. Najaktywniejsza w tym była moja koleżanka z ławki, którą znałam już wcześniej z Bładacza, Marysia Wilczek. Nazwaliśmy ją Wilymka, bo kiedy ktoś chciał nas przekonać jak dobrze jest teraz w socjalizmie to Marysia mówiła:

- O, za Wilyma było lepiej!

Chodziło oczywiście o cesarza Wilhelma II, który rządził w Niemczech i na Śląsku do roku 1918. Tak pewnie mówiła jej babcia, czy mama, bo wiele starszych ludzi tak uważało.

Któregoś dnia Świnka poprosił Wilymkę, żeby przeczytała wypracowanie. Wilymka powiedziała, że nie będzie czytać, bo nie ma heftu¹⁰³.

- Czego nie masz? - spytał Świnka.

- Przeca pedziała, że heftu - odpowiedziała Wilymka.

¹⁰² Od nazwiska Buchta

¹⁰³ zeszyt

Świnka się zmieszała, ale któraś z koleżanek podpowiedziała, że chodzi o zeszyt. Wtedy Świnka spytał gdzie go zostawiła?

- W domu na byfyju¹⁰⁴ - padła odpowiedź.

Tym razem nikt nie podpowiadał i patrzyliśmy wszystkie ubawione na Świnkę. On nie bardzo wiedział co robić, spytał więc niepewnie:

- To znaczy, że zostawiłaś zeszyt na bufecie?

Zaczęliśmy się śmiać, bo niby taki mądry, a nie wie, że byfyj to jest przeciwieństwo byfyj! A nie żaden bufet! Klasa bawiła się świetnie, Świnka też udawała, że się bawi i dalej prowadził lekcję. Miał jeszcze potem wiele okazji, aby powojować z Wylimką i nie tylko, a przy okazji nauczyć się paru fajnych ausdruków¹⁰⁵ i wzbogacić swoją wiedzę. Zdołał nas do matury nauczyć w miarę poprawnej polszczyzny, a nawet wychować przyszłą polonistkę. Pomógł też potem Wylimce już jako kurator i załatwił jej pracę, bo została nauczycielką.

Włodzimierz Krzyżak przedwojenny magister historii był dla mnie symbolem potęgi i siły Rzeczypospolitej z czasów jagiellońskich. Wchodził do klasy wyprostowany dostojnym oficerskim krokiem, otwierał dziennik i w kompletnej ciszy wybierał według numerów do odpowiedzi. Baliśmy się, bo był wymagający i trudno było wymigać się kwiecistym opowiadaniem bez znajomości faktów i dat. Jego ulubioną postacią historyczną był Napoleon i znajomość losów cesarza Francuzów oraz jego epoki były gwarancją otrzymania dobrego stopnia.

Niewiele nauczył nas historii Śląska i trudno się dziwić, bo Kazimierz Wielki zrzekł się go w roku 1339 na rzecz Czech. Potem Śląsk od roku 1526 należał do Austrii, a od roku 1742 jego znaczna część należała do Prus. Był więc w Polsce na początku jej dziejów, a potem już nie, zarówno w czasach świetności Rzeczypospolitej, jak i jej upadku. Uczyliśmy się więc o powstaniu Kościuszkowskim, listopadowym i styczniowym, ale o powstaniach śląskich już nie. Kogo więc jak mnie interesowała historia rodzimej ziemi ten musiał starać się poznać ją sam.

Po roku 1956 lubiliśmy zadawać Krojcowi, jak nazywaliśmy profesora kłopotliwe pytania typu: kto zabił polskich oficerów w Katyniu - czy aby na pewno Niemcy? Albo - czy pakt Ribbentrop - Mołotow nie był wspólnym działaniem Niemiec i ZSRR przeciwko Polsce? Krojc spokojnie bez emocji odpowiadał, starał się mówić prawdę. Oczywiście na tyle, na ile wtedy mógł.

Magister Anna Stosz ucząca angielskiego była chyba jedyną wśród nauczycieli rodowitą Ślązaczką. Była z wykształcenia germanistką, co oznaczało wtedy na Śląsku bezrobocie, bo nauka niemieckiego była zabroniona. Uczyła więc angielskiego, ale mimo wysiłków nie umiała zachęcić nas do nauki. Złościło ją to i słysząc jak kaleczymy język Szekspira mówiła:

- Wy pierony, wy sie nic nie uczycie! I dodawała: Wy bydziecie żałować!

¹⁰⁴ kredens kuchenny

¹⁰⁵ śląskie wyrazy gwarowe

Miała oczywiście rację, co przyznajemy wszyscy po latach. Ale wtedy nudziło nas uczenie się na pamięć angielskich słówek i czytanek. Nie widzieliśmy potrzeby uczenia się języków obcych, bo przecież granice były zamknięte, a każdy kontakt z zagranicą podejrzany.

Za to bez skrupułów wykorzystywaliśmy fakt, że pani Stosz była katoliczką. My też byliśmy, chodziliśmy w niedzielę do kościoła bo rodzice kazali, a także przed lekcją jak miała być klasówka, bo „jak trwoga to do Boga”. Ale wiara, religia była dla nas domową, prywatną sprawą, a nie szkolną, publiczną. A ona przyznawała się do wiary, co było wtedy rzadkością. Mówiła, że chodzi do kościoła i nam też kazała chodzić. Kiedy więc groziły nam dwóje za nie przygotowanie angielskiej czytanki, czy błędy w dyktandzie to zwykle wstawał Herbert i mówił płaczącym głosem:

- Ale pani magisterko my się nie mogli nauczyć, bo w kościele były misje i my musieli iść do kościoła. Pani to rozumie, prawda? Przecież pani jest katoliczka!

Pani Stosz była zmieszana, bo nie wiedziała co robić. Nie wierzyła nam, ale z drugiej strony może faktycznie gdzieś były misje i my byliśmy w kościele? A za to nie wypadało jej nas karać. Poza tym Herbert był jej ulubieńcem. Machała więc tylko ręką i mówiła:

- No już dobrze, ale na drugi raz to mi się już nauczcie!

Kiedy w październiku 1956 roku Władysław Gomułka doszedł do władzy pani od angielskiego przyszła któregoś dnia uradowana do klasy i powiedziała, że On jej się podoba. Bo On na pewno wyciepień¹⁰⁶ Rusów z Polski!

- Powiedz to po angielsku - powiedziała do jednego z chłopaków.

Nie umiał tego powiedzieć, zresztą nikt nie umiał. Bo było to wtedy nierealne. Chociaż - gdzieś tam krążył wierszyk, który ponoć studenci ułożyli dla Chruszczowa jak przyjechał do Warszawy:

*Panie Nikita,
Teraz jesteś kwita!
Żyj nam długo jak Solski
Ale wynoś się z Polski!*

Wierszyk się wszystkim podobał, ale tak naprawdę to mało kto wierzył, że Rosjanie wyjdą z Polski. Zresztą - jak mówili niektórzy, nie byłoby to dobre, bo Niemcy zaraz przyszliby po swoje ziemie zachodnie. Ale ludzie wierzyli, że Gomułka nie pozwoli Rusom tak się u nas panoszyć. Że Polska będzie teraz bardziej wolna i samodzielna. Popierali więc Gomułkę na licznych zebraniach i wiecach.

¹⁰⁶ wyrzuci

Gomułce wierzył też starzyk z Bandurskiego, który nie odchodził wtedy od radia i czytał wszystkie gazety. I wiele wskazywało, że faktycznie będzie dobrze. Z Polski wyjechał marszałek Rokossowski, podobno Polak, a przecież ruski generał. Z wygnania wrócił prymas Wyszyński, podobnie nasi katowiccy biskupi. Ludzie wychodzili z więzień i obiecywano naprawienie wszystkich krzywd. Do klas wróciły krzyże i religia. Ale krzyże powieszono nie nad katedrą jak przedtem, ale nad drzwiami, co ułatwiło potem ich ponowne zdjęcie. A Stalinogród stał się znowu Katowicami, bo Stalin się jednak „zabrał”, w co kiedyś trudno było mi uwierzyć.

15. Ślżzak musi umieć coś konkretnego

Fajnie było w szkole, ale zbliżała się matura i należało pomyśleć co dalej. Połowa koleżanek i kolegów z obydwu naszych klas wybierała się na studia. Pozostali zamierzali pójść do szkół pomaturalnych lub do pracy. Niektórzy skończyli potem studia dla pracujących, wieczorowe lub zaoczne. Chłopcy wybierali się głównie na politechnikę i na medycynę. Niektórzy na inne kierunki, w tym do seminarium duchownego, co wtedy skrzętnie ukrywano.

Dziewczyny chciały być głównie nauczycielkami, w tym Ula i Wylymka. Do tego Ula Kubica chciała być polonistką. Kochałyśmy wtedy obie Żeromskiego i prześcigałyśmy się w pisaniu, jego wzorem długich zdań. Zazdrościłam jej, bo ja jakoś nie mogłam rozpoznać swego powołania. Świnka mówił, że moim powołaniem jest filologia polska i tam powinnam pójść na studia. Ale nie byłam pewna, bo nie wiedziałam co mogłabym potem robić. Poza tym miałam szerokie zainteresowania: interesowałam mnie literatura, historia, filozofia, ale i geografia, czy chemia. Lubiłam pisać, ale i rozwiązywać zadania z matematyki. Ale w duszy czułam się humanistką.

Pozwoliłam sobie jednak wmówić, że trzeba wybrać konkretny zawód.

- Bo Ślżzak jak ma do czegoś dojść to musi umieć coś konkretnego! - mówił tata i dodawał: że musi do tego umieć więcej niż inni!

Należało by mu się dziwić, bo przecież sam pracował w fachu nie za bardzo lubianym, a z zamiłowaniem robił inne rzeczy. Znał też nas, mnie i brata i dobrze wiedział, że jabłka nie padły daleko od jabłoni... Ale znał życie lepiej ode mnie, a poza tym miał autorytet. Przekonał mnie więc, że powinnam pójść na medycynę, bo to jest zawód, w którym można zarobić nawet w dżungli. Chciał mieć w rodzinie lekarza, ale udało się dopiero po latach, kiedy mój brat ożenił się z lekarką. Niestety tata tego nie doczekał.

Tata potem przekonał też mojego brata aby poszedł do technikum mechanicznego, chociaż wiedział,



Mój brat z Wilhelmem Szewczykiem na kiermaszu książki



Maturzyści 1958

że on nie przepadał za matematyką i miał inne zainteresowania. Ale życie potem i tak zdecydowało inaczej.

Maturę zdawaliśmy w maju 1958 roku. Pamiętam kwitnące kasztany i bzy, oraz drogę do szkoły z tzw. duszą na ramieniu. Przedtem wszyscy wstępowaliśmy do hajduckiego kościoła po „Bożą pomoc”. Po przejściu ulicy Farnej w szkole czekała aula udekorowana flagami i kwiatami, a także życzliwe spojrzenia belfrów. Zdawaliśmy egzaminy pisemne, potem ustne. Był strach, trema, a potem radość że już po wszystkim. Czekaliśmy na rozdanie świadectw, a potem bal maturalny zwany komersem. Kończył się pewien etap w życiu. Dziś wiem, że najfajniejszy. Za rok do mojej szkoły do I klasy podstawówki przyszedł mój brat.

Z początkiem lipca rozpoczęły się egzaminy wstępne na studia. Na medycynę był - jak mówiono „owczy pęd”, co oznaczało wielu chętnych. Egzamin wstępny zdałam, ale widać nienajlepiej, bo nie zostałam przyjęta, jak napisano - z braku miejsc. Byłam zrozpaczona, bo była to pierwsza porażka, a wraz z nią zawałił się mój dotychczasowy świat. Dziś wiem, że dobrze się stało, bo nie nadawałam się do tego zawodu.

Pocieszano mnie wtedy mówiąc, żebym poszła do pracy i zarobiła sobie na fajne ubranie¹⁰⁷. A potem żebym zaczęła się stroić¹⁰⁸ jak inne dziewczyny. Po maturze wypadało tylko pójść pracować do biura, co też zrobiłam.

¹⁰⁷ ubranie

¹⁰⁸ ładnie się ubierać

Wtedy przyszło drugie rozczarowanie. W biurze, do którego trafiłam mało kto miał maturę, ale za to ludzie tam pracujący, głównie panie znali swoją pracę, a ja choć bardziej wyedukowana musiałam się wszystkim od nich uczyć.

Byłam sfrustrowana i z wielkim niesmakiem wchodziłam codziennie w tajniki faktur zwanych wtedy rachunkami, różnych dzienników i zestawień. Potem uzgadniałam jakieś cyfry, które rzadko się zgadzały. Poza tym w biurze trzeba było siedzieć 8 godzin bez względu na to, czy miało się coś do roboty. A przy tym wysłuchiwać opowiadań o domu, mężu, teściowej, dzieciach. Były plotki, podglądanie, ile kto ma roboty, a ile zarabia... Do tego zarabiano się grosze, za które trudno było się stroić...

Chciałam się wyrwać z tego marazmu i studia były na to jedyną szansą. Ale jakie studia? Myślę, że gdyby wtedy był w Katowicach uniwersytet to pewnie poszłabym na polonistykę, historię, może którąś filologię obcą. Być może zostałabym potem tłumaczką, dziennikarką, naukowcem? Ale na uniwersytet trzeba było jeszcze na Śląsku poczekać, bo region miał inne zadania. Miał pracować, wydobywać węgiel, produkować stal, bo kraj tego potrzebował. Byłam wtedy dumna, że żyję w regionie tak krajowi potrzebnym.

Zaczęto wtedy mówić i pisać o potrzebie lepszego gospodarowania. Na kolejnych plenach partii dyskutowano o zastąpieniu decyzji politycznych postępowaniem technicznym i ekonomicznym, nakazów - bodźcami ekonomicznymi, a rosnącej stale liczby pracowników lepszą organizacją pracy. Do tego potrzebni byli ekonomiści.

Zdecydowałam wtedy, że pójdę na studia ekonomiczne, chociaż mówiono, że jak ktoś nie wie co robić to idzie właśnie tam... A dla wielu ekonomista to był ktoś kto siedział przy biurku. Dla mnie ekonomia była czymś pośrednim między naukami ścisłymi, a humanistycznymi. Bo przecież łączyła ścisłe prawa rządzące gospodarką ze społecznymi zachowaniami ludzi.

Pamiętam, że potem chciałam zrezygnować ze studiów już po wykładzie inauguracyjnym, na którym usłyszałam, że ekonomista musi być z przekonania marksistą. Uprzytomniło mi to niekonkretność moich studiów i ich powiązanie z bieżącą ideologią i polityką. A zarazem niekonkretność mojego przyszłego zawodu. Okazało się, że podobne odczucia mieli i inni, ale nikt się tym nie przejmował. Byliśmy studentami i byliśmy krajowi potrzebni. Czekaliśmy na nas praca w rozwijającej się gospodarce, w naszym śląskim przemyśle.

16. Ekonomia polityczna i wongel

Wbrew opiniom niektórych studia na ekonomii okazały się całkiem interesujące. Były wykłady z różnych przedmiotów: od matematyki i statystyki do filozofii marksistowskiej, od ekonometrii do prawa pracy. Każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Oprócz tego trzeba było uczyć się dwóch języków obcych. Jako pierwszy wybrałam - jak większość - rosyjski, bo uczyłam się go od piątej klasy podstawówki i nawet lubiłam. Jako drugi wybrałam język niemiecki. Zrobiłam to trochę z przekory, bo nauka niemieckiego na Śląsku była zabroniona (w Sosnowcu już było wolno). A z drugiej strony był to język nie całkiem mi obcy, bo słuchałam jak mówiło jeszcze wtedy wiele starszych osób i sporo słów znałam.

Ale najważniejsza była ekonomia polityczna, podzielona w wykładach na ekonomię polityczną kapitalizmu i socjalizmu. Jak starzyk z Bandurskiego usłyszał, że w tej mojej wyższej szkole uczą nas jakieś polityki to złapał się za głowę i pytał, czy mi na to nie szkoda czasu? Miał już wtedy dość Gomułki i polityki, bo przestał wierzyć, że cokolwiek zmieni się na lepsze. Zresztą po przejściu na emeryturę wkrótce umarł.

Słuchaliśmy wykładów z ekonomii politycznej kapitalizmu, w której rządziły określone reguły. Był właściciel środków produkcji, kapitał, praca i musiał być zysk, bo inaczej działanie nie miało sensu. Należało to ocenić krytycznie, bo zysk pomnażał bogactwo kapitalisty, a pochodził z wyzysku robotników. Według ekonomii politycznej socjalizmu właścicielem środków produkcji było państwo, czyli my wszyscy. A celem działalności nie był zysk, lecz zaspokojenie społecznych, czyli naszych potrzeb.

Potrzeby mojej babci nie były zaspokojone, bo po śmierci starzyka dostawała z huty tylko dwie tony węgla, co nie wystarczało na ogrzanie mieszkania.

- Godają, że przed wojną każdy konsek wonglo¹⁰⁹ był od kapitalisty. A my dostali z huty tela wonglo, że my jeszcze mogli gdowom¹¹⁰ dać co nie miały. A teraz każdy konsek wonglo jest nasz. A my nie mamy czym polić!

Jak opowiadałam koleżankom i kolegom na uczelni jak babcia widzi różnicę między kapitalizmem, a socjalizmem to wszyscy się śmiali. Ale potem uczyliśmy się jak było w podręcznikach, bo trzeba było zdać egzamin. W miarę upływu czasu próbowano i w socjalizmie szukać innych, bardziej wymiernych kryteriów oceny efektywności gospodarowania i pracy. Przywrócono do łask nawet kapitalistyczny zysk. Ale wszystko musiało się mieścić w ramach działania gospodarki socjalistycznej.

¹⁰⁹ każdy kawałek węgla

¹¹⁰ wdowy

Podstawą gospodarki socjalistycznej był przemysł, szczególnie przemysł ciężki. Do pracy w przemyśle stale szukano ludzi, w tym ekonomistów. Tam płace były wyższe niż gdzie indziej, a na samym wierzchu listy płac było górnictwo, a potem hutnictwo. Trudno się więc dziwić, że większość z nas wybierała się do pracy w przemyśle i tematy prac dyplomowych wybierano z zakresu ekonomiki przemysłu. Tylko niewielu decydowało się pisać prace z rachunkowości, z finansów, czy z bankowości. Być może dlatego, że wymagało to konkretnej wiedzy, choć nie tylko. Rachunkowość nie była doceniana, bo kojarzyła się z nudną buchalterią, z rzędami cyferek z których nic nie wynikało, a gdzie zawsze trzeba było szukać jakiegoś błędu. Praca finansisty była też - w naszym przekonaniu nudna, bo tylko wypłacał pieniądze według decyzji którą podjął ktoś inny. Podobnie jak farmaceuta w aptece, który sprzedawał leki wyprodukowane przez kogoś innego. A do tego w księgowości, w bankach, czy w jednostkach finansowych płacono mniej. Dopiero po roku 1989 wszystko się zmieniło.

Studia ekonomiczne wybrała też moja kuzynka Gabrysia, która po latach została profesorem. A potem i mój brat. Po ukończeniu technikum wybrał ekonomię, bo jak mówił - interesowała go organizacja i zarządzanie. Tym zamierzał się w przyszłości zająć i o tym pisać.

17. Trzeba z tym iść do Ziętka

Kraj się rozwijał i Śląsk produkował coraz więcej. Wzrastało wydobycie węgla którego stale było za mało. Coraz więcej produkowały też huty, w tym nasze chorzowskie Kościuszeko i Batory. Do pracy potrzeba było coraz więcej ludzi, których ściągano do kopalń i hut z terenu całego kraju.

Ludzie przychodzący do pracy musieli gdzieś zamieszkać. Tymczasem większość domów w śląskich miastach została zbudowana pod koniec XIX, bądź na początku XX wieku. Stare były rozwiązania komunikacyjne, za mało było szkół, zieleni, terenów rekreacyjnych. Potrzebne były inwestycje nie tylko w przemyśle, ale i miejskie, mieszkaniowe, komunalne. Bez nich groziło Śląskowi przeludnienie i zacofanie cywilizacyjne. Przypominałby dzisiaj niektóre regiony Ameryki Łacińskiej, czy Azji.

Być może byłoby tak gdyby nie Jerzy Ziętek, Ślązak rodem z Gliwic, człowiek jak często tutaj z poplątanym życiorysem. A przy tym człowiek do dzisiaj kontrowersyjny. Ziętek był powstańcem śląskim i sanacyjnym burmistrzem w Radzionkowie. Ale po wojnie wrócił z ZSRR z I Armią Wojska Polskiego jako oficer polityczny. I współpracował z komunistami, dzięki czemu w roku 1945 został wicewojewodą śląsko - dąbrowskim przy Aleksandrze Zawadzkim, potem zastępcą Przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach. Dopiero po 19 latach „terminowania” mógł zostać Przewodniczącym WRN, a następnie wojewodą katowickim.

Ziętek uważał, że w każdej sytuacji można zrobić coś dobrego i wiele mu się udawało. Chorzów zawdzięcza mu Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku wraz ze Stadionem Śląskim, Planetarium, Ogrodem Zoologicznym i Wesołym Miasteczkiem. Wprawdzie z parku korzystają i inne miasta, ale dzięki niemu Chorzów stał się znany w Polsce nie tylko z przemysłu. Miasto dostało też sporo zieleni, której potrzebowało, bo należało do najbardziej zapyłonych w Polsce.

W Chorzowie budowano też osiedla mieszkaniowe. W Hajdukach zaczęły powstawać kolejne domy za starym osiedlem, powstałym w latach pięćdziesiątych, budowano też na Kalinie. Powstawało osiedle „na Amelongu” (czy Amelungu), gdzie kiedyś był staw o tej samej nazwie, do którego – jak mówiono - chodziło się moczyć szwaje, czyli brudne, śmierdzące nogi.

W tym czasie zbudowano też wiele w innych miastach, a bez niektórych obiektów trudno sobie dzisiaj Śląsk wyobrazić. Na przykład Katowic bez „Spodka”, hali która stała się jednym z ważnych symboli miasta. W roku 1968 powstał w Katowicach Uniwersytet Śląski, na który wszyscy od dawna czekali. Stolica województwa należała wtedy do najlepiej oświetlonych miast w Polsce.



Przystań w Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie

Żartowano przy okazji, że po śmierci Ziętka Katowice będą się nazywały Stary Jorg¹¹¹. W Beskidach pobudowano ośrodki wypoczynkowe jak Jaszowiec i Ustroń – Zawodzie. W Reptach koło Tarnowskich Gór powstał wielki ośrodek leczniczy.

Ziętek podobno umiał załatwić wszystko. Stąd jak były problemy to ludzie mówili : trzeba z tym iść do Ziętka! A chodziło głównie o przydział mieszkań. Ela, moja warszawska koleżanka do dziś mówi, że mieszkała przez lata w Katowicach i co u Warszawiaków rzadkie - polubiła to miasto, bo Ziętek dał jej mieszkanie.

Ziętek miał dużo spraw na głowie, stąd rozpoczynał dzień bardzo wcześnie, bo lubił wszystkiego osobiście doglądać. Profesor Wygaś, mój dawny polonista z hajduckiego liceum, który potem został kuratorem oświaty opowiadał po latach jak Ziętek kazał mu być o piątej rano w jednej z miejscowości koło Częstochowy, gdzie budowano szkołę:

- Musiałem pojechać tam dzień wcześniej i zanocewać, bo nie było jak dostać się tak wcześnie. Potem Ziętek spytał mnie jak się tu dostałem? Powiedziałem zgodnie z prawdą, że jestem od wczoraj. A on na to: To Ty synek nie masz auta? Powiedziałem, że nie mam. To dał mi talon, abym sobie auto kupił!



Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku im. Jerzego Ziętka

¹¹¹ po śląsku Stary Jerzy, a w kontekście do amerykańskiego Nowego Jorku

O kontrowersyjności Ziętka świadczyć może jego udział w walce ówczesnych władz z Kościołem. Walce tej posłużył paradoksalnie Pomnik Powstańców Śląskich w Katowicach. Oficjalnie napisano, że to dar społeczeństwa Warszawy, niby za most śląsko-dąbrowski, ale mało kto w to wierzył. W ogólnym pojęciu było to dzieło Ziętka, bo on zawsze chciał podkreślić obecność powstań śląskich w polskiej historii, przy tym jako nielicznych powstań zwycięskich.

W roku 1966 przypadały dwie ważne rocznice :Tysiąclecie Państwa Polskiego, a zarazem 45 rocznica wybuchu III powstania śląskiego. Polska jako państwo zaczęła się liczyć od chrztu Mieszka I, co kościół chciał przy okazji dobitnie podkreślić.

To nie mogło podobać się władzy, tym bardziej, po słynnym liście, co parę miesięcy wcześniej, w listopadzie 1965 roku biskupi polscy napisali do biskupów niemieckich. W liście tym nasi biskupi wybaczaali Niemcom doznane od nich krzywdy i prosili o wybaczenie ewentualnych polskich win. Inicjatorem i autorem listu był Ślązak, wrocławski kardynał Bolesław Kominek, a jednym ze współautorów ks. biskup Ignacy Jeź. Zrobiła się z tego wielka awantura, padały zarzuty i oskarżenia biskupów o działanie przeciwko interesom narodu polskiego oraz granicy na Odrze i Nysie.

W tej sytuacji nie mogło być mowy o wspólnym świętowaniu Millennium. Kościół świętował sam, najpierw w Gnieźnie, pierwszej stolicy Polski, potem w Poznaniu.

A 3 maja 1966 roku miały się odbyć uroczystości w Częstochowie, bo było to święto Matki Boskiej Królowej Polski.

Trzeciego maja przypadała też 45 rocznica wybuchu III powstania śląskiego. Na ten dzień władze wojewódzkie zaplanowały uroczyste wmurowanie aktu erekcyjnego pod Pomnik Powstańców Śląskich w Katowicach. W miejscu budowy pomnika złożono prochy z ziemią pobraną z pól bitewnych, poczynawszy od Cedyny do Berlina, łącznie z ziemią z Góry Świętej Anny i innych miejsc walk powstańczych. Miała to być wielka patriotyczna uroczystość, odwracająca uwagę ludzi od obchodów millenijnych w Częstochowie. Zobowiązano zakłady pracy do zwolnienia ludzi i wysłania ich pod pomnik, zmobilizowano szkoły, aby wysłały tam dzieci i młodzież, zwołano harcerzy, wojsko, zresztą kogo się dało. W tym dniu do Katowic ciągnęły pochody ze wszystkich stron, zrobił się wielki tłok i miasto było na kilka godzin sparaliżowane.

Niektórzy nie zdołali w ogóle dojść pod pomnik, wracali więc do domu, lub - jak mówili poszli do parku, czy na piwo. Znacznie spokojniej odbyło się w rok później samo odsłonięcie Pomnika Powstańców Śląskich z trzema charakterystycznymi skrzydłami. Niedługo potem swój pomnik dostał także Sosnowiec. Był to Pomnik Czynu Rewolucyjnego.

18. Co mogli zrobić ekonomiści?

Po ukończeniu studiów zaczęłam pracować w Konstalu, czyli w Chorzowskiej Wytwórni Konstrukcji Stalowych. Zakład zwany też fabryką wagonów i mostów obok huty Kościuszko był znany między innymi z tego, że wykonał konstrukcje mostu śląsko - dąbrowskiego dla Warszawy. A także - z produkcji tramwajów. Oprócz tego w Konstalu produkowano platformy kolejowe, lokomotywy dla kopalń, wagony towarowe oraz resory i sprężyny, w tym dla wojska. Produkcja szła na kraj i na eksport.

Z bramy zakładu przy ulicy Metalowców do wydziałów i biur prowadziła droga zwana aleją Balcarkowej. W ten sposób uczczono pracującą na wydziale tłoczni panią Balcarkową, która wpadła na pomysł, aby resorów i sprężyn nie malować, ale tonkać¹¹² bezpośrednio w farbie. Mówiono, że zawstydziła tym samym techników i inżynierów po szkołach. „Tonkanie” pozwoliło jej kilkakrotnie przekroczyć normę i pani Balcarkowa stała się słynną przodownicą pracy.

W Konstalu jak wszędzie rządziła partia i na każdym kierowniczym stanowisku była osoba z partyjną legitymacją. Chociaż były i inne kryteria. Mówiono, że są trzy grupy kierowników : z awansu, z wykształcenia i z Sosnowca... Opowiadano to jako dowcip, ale nie bez powodu.

Od roku 1945 Zagłębiacy rządzili na Śląsku. Od Aleksandra Zawadzkiego, który do roku 1948 był wojewodą śląsko - dąbrowskim i Edwarda Gierka Pierwszego Sekretarza KW PZPR w Katowicach do ważnych sekretarzy partii w miastach i zakładach pracy, a także władców miejscowej administracji. Stanowili też trzon Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach, co pokazała zorganizowana po latach wystawa Instytutu Pamięci Narodowej. Po wojnie sprzyjały im okoliczności. Połączono czerwone i rewolucyjne Zagłębie Dąbrowskie z dawnego zaboru rosyjskiego z pruskim, chadeckim i katolickim Śląskiem, którego mieszkańcom pamiętano do tego niedawne Volkslisty i służbę w Wehrmachcie. Jedynie niektórym Ślązakom jak Ziętkowi udało się „zapaść” na ważne stanowiska, choć w najlepszym przypadku jako zastępcy tych z Zagłębia. A Ziętek przestał być „zastępcą” dopiero po 19 latach.

Trudno się więc dziwić, że Ślązacy nie lubili Zagłębiaków i często nie lubią ich nadal, choć - jak zwykł mówić jeden z moich znajomych: czemu ich nie lubić, skoro tu i tam jest brudno!

W Konstalu kierownikami też byli partyjni i w większości spoza Śląska. Ale były i wyjątki. Pierwszym Sekretarzem Komitetu Zakładowego PZPR, czyli osobą wtedy w zakładzie najważniejszą był Ślązak, a moja szefowa była bezpartyjna.

¹¹² zanurzyć

Przyjęto wtedy do pracy wielu młodych ludzi po studiach, inżynierów i ekonomistów, którzy mieli pchnąć Konstal na nowe tory. Czekają na nas wiele stanowisk. Na inżynierów czekały stanowiska na wydziałach, w biurze konstrukcyjnym i u technologa. Nas ekonomistów główny księgowy chciał zatrudnić u siebie. Zachęcał, mówiąc, że będzie można szybko zostać kierownikiem działu albo sekcji. Mówił też, że jest raczej ekonomistą niż księgowym, co miało znaczyć, że nie jest tępym biurokratą „w zarękwkach”, ale człowiekiem nowoczesnym. Faktycznie pisanie referatów na różne okazje, w tym do Komitetu Miejskiego PZPR wychodziło mu lepiej niż wgłębianie się w tajniki bilansu. Ale miał na szczęście dobrego zastępcę.

Nie wybrałam wtedy pracy w księgowości, czego po latach żałowałam, ale dział ekonomiczny, który uważano za bazę ekonomii w zakładzie. Planowano tu i analizowano koszty produkcji, sporządzano analizy ekonomiczne, opracowywano różnego rodzaju informacje dla dyrekcji, zjednoczenia i innych ważnych instytucji. W dziale łącznie z szefową pracowały cztery osoby po studiach, w tym moja kuzynka Gabrysia. Był też pan starszy od nas o około 20 lat jeszcze z przedwojennym stażem.

Nasza szefowa była osobą ambitną, z dużą siłą przebicia. Mówiła, że nie wstąpiła do partii, aby nie martwić swojej matki, pobożnej góralki. Ale partyjni uważali ją za swoją i darzyli zaufaniem, bo umiała uparcie negocjować i skutecznie przekonywać ludzi ze zjednoczenia, którzy decydowali o zadaniach dla zakładu i o korzystnym ich rozliczeniu.

Szefowa starała się zachęcić nas do - jak mówiła - koncepcyjnej pracy. A zarazem przekonać, że ekonomiści mogą i powinni w zakładzie wiele znaczyć. Do tego - jej zdaniem - potrzebne było stałe podnoszenie kwalifikacji. No i zarobki, nie niższe od zarobków inżynierów. Dzięki niej jeździliśmy co roku na konferencje ekonomistów do Wisły, gdzie przyjeżdżali najlepsi specjaliści od gospodarki, zarządzania i organizacji, którzy dyskutowali tam co zrobić, aby w kraju lepiej gospodarować.

Jeździliśmy też na konferencje ekonomistów organizowane przez zjednoczenie, na szkolenia i zjazdy Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. Korzystaliśmy z tego chętnie, bo nie trzeba było siedzieć w biurze, a przy okazji można było czegoś się dowiedzieć, kogoś poznać, a jeszcze coś niecoś zwiedzić.

Z tych wyjazdów wracaliśmy naładowani wiedzą do szarej, zakładowej rzeczywistości, gdzie najważniejszy był plan. Jeżeli zakład go wykonał to wybaczano mu wiele, np. nie osiągnięcie planowanego zysku. A wykonanie planu było uzależnione - jak mówiono - od materiałów i ludzi. Materiałów zwykle brakowało i trzeba było starać się je załatwić, najczęściej po znajomości, czasem za koniak, czy obietnicę wczasów w zakładowym ośrodku w Zakopanem. Z ludźmi też były

problemy, bo woleli iść do pracy na kopalnię, czy do huty, gdzie płace były wyższe. Co mogli w tej sytuacji zrobić ekonomiści? Opracować taki plan, który można było wykonać! A w razie potrzeby szybko go zmienić i do tego zmianę dobrze uzasadnić!

W zakładzie starano się też edukować nas ideologicznie, co miało potem ułatwić wstąpienie do partii. Służył temu Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu - Leninizmu zwany WUML-em. Inżynierów wysyłano na wykłady z ekonomii politycznej, nas ekonomistów na religioznawstwo. Miało to przekonać do wyznawania naukowego poglądu, a zarazem pokazać, że istnieje nie tylko religia katolicka. Mimo nazwy „wieczorowy” zajęcia na WUML-u odbywały się w godzinach pracy. Prowadził je jeden z ówczesnych redaktorów „Trybuny Robotniczej” i robił to nawet interesująco. Był też bardzo wyrozumiały i nie protestował kiedy ktoś chciał wyjść wcześniej, aby pójść z dzieckiem na religię, albo do domu, bo miał kolebę.

Wykłady były z historii i filozofii. Pamiętam wykład o Tomaszu z Akwinu, teologu, katolickim filozofie i do tego świętym, który porównał organizm człowieka do społeczeństwa. Tak jak człowiek ma ręce które pracują i głowę która myśli, tak i społeczeństwo dzieli się na tych co pracują i tych co za nich myślą. Próbowaliśmy dyskutować z redaktorem mówiąc, że przecież tak jest, bo nie wszyscy ludzie do wszystkiego się nadają. Przypomniały mi się moje sztafjne¹¹³ palce i powiedziałam, że ja na przykład nie mogłabym być krawcową. Bo są ludzie którzy nadają się do pracy fizycznej, a inni zdolniejsi są do myślenia i pracy umysłowej. Redaktor odpowiadał, że faktycznie, ale problem w tym, że wykorzystywano to do podziału ludzi na klasy, na rządzących i rządzonych, na burżuazję i proletariat.

Ale dla mnie i nie tylko najlepszą edukacją był udział w otwartych zebraniach partyjnych. Zwoływano je z różnych ważnych okazji i każdy mógł na nie przyjść. Jedno z takich zebrań odbyło się w czasie, kiedy w zakładzie nie było najlepiej, bo nie wykonano ważnego zadania eksportowego, a tym samym planu produkcji. Pierwszy Sekretarz partii jak przystało na Ślązaka przyczynę tego widział w nieporządku i braku dyscypliny. Mówił o bajzlu¹¹⁴ jaki jest w zakładzie i o hausnumerach, czyli o nierzetelnych cyfrach wpisywanych do sprawozdań. Na koniec powiedział, że jak się nie zrobi ordnungu¹¹⁵ to bydzie źle! Zaczęła się dyskusja podczas której jeden z zebranych powiedział, że wprawdzie jest teraz źle, ale się poprawi i znów będzie dobrze. A Sekretarz na to:

- Towarzysz tu w cuda wierzy. A to nie jest po marksistowsku!

¹¹³ sztywne

¹¹⁴ nieład, nieporządek

¹¹⁵ porządek

Śląska prostolinijność Pierwszego Sekretarza była często przyczyną zabawnych sytuacji. W roku 1967 kiedy wybuchła wojna Izraela z Arabami Konstal sprzedał Egipcjowi platformy kolejowe, za co wszyscy spodziewali się premii eksportowej. Na zorganizowanej wtedy masówce należało potępić Żydów za wojnę, ale zamiast tego sekretarz wyjaśnił jak ważny był nasz eksport:

- Nie chodziło przecież tylko o to aby dostać premię! Ale o to aby Arabcy mogły na naszych platformach przewieźć radziecką broń!

Wszyscy słuchali słów sekretarza z powagą, ale mało kto traktował je serio. Ludzie nauczyli się funkcjonować między oficjalną mową, a codziennym działaniem. Wiadomo, że trzeba było rano odbić punktualnie kartę zegarową, a potem albo robiło się wszystko „na wczoraj”, albo był luz. Jak był luz to piło się kawę i czytało gazety. Można było też pójść do fryzjera, który był na terenie zakładu, na zakupy, albo na plotki. Tylko starsi pracownicy jak nasz biurowy kolega próbowali udawać, że stale mają coś do roboty. Śmiałyśmy się, że pewnie boją się bezrobocia!

Praca nie dawała satysfakcji, bo robione przez nas analizy mało kto czytał. Szły najczęściej na półkę, a planowane wcześniej koszty zmieniano „pod wykonanie”. Wszelkie informacje opracowywało się „pod adreśata”. Ale zarabiano się nieźle, przynajmniej w porównaniu do nauczycielskiej pensji Uli. Ula Wieczorek, z domu Kubica uczyła w szkole na Kalinie, jednej z najstarszych szkół w Hajdukach. I jak mówiła - jej płaca niewiele różniła się od stypendium, jakie jej uczniowie dostawali w szkołach górniczych.

Kilkakrotnie proponowałam jej żeby przyszła do nas do Konstalu, gdyż w Dziale Organizacji potrzebowano kogoś kto dobrze pisze po polsku. I za to płacili więcej. Ale Ula nie chciała, bo – jak mówiła - nie wyobraża sobie siedzenia w biurze. A tak naprawdę to nie wyobrażała sobie życia bez szkoły. Do tego bez szkoły na Kalinie, bo odmawiała przejścia do innej szkoły, nawet kiedy proponowano jej awans.

- Masz za to satysfakcję z pracy - mówiłam jej, bo na urodziny, imieniny dostawała zawsze dużo kwiatów. I lubili ją uczniowie, a także ich rodzice.

- Co to za satysfakcja ? - odpowiadała Ula i dodawała :

- Uczę tylko przyszłych hajerów czyli tych do roboty na grubie. A przecież Ślązacy powinni się uczyć! Dlaczego zawsze ma nami rządzić ktoś z zewnątrz ?

19. Klotka dło królików

Pod koniec lat sześćdziesiątych na Śląsku dużo się budowało. Powstawały osiedla mieszkaniowe budowane przez miasta, spółdzielnie mieszkaniowe i zakłady pracy. Zaczęto budować wysokie bloki z wielkiej płyty zwane cemenciokami, tak aby w nich zmieścić jak najwięcej ludzi. Aby móc je zbudować burzono często stare domy. I tak zburzono wtedy kolonię domków fińskich w Bogucicach, na Załęskiej Hałdzie koło kopalni Kleofas i wiele innych. Dzięki filmowi Kazimierza Kutza „Paciorki jednego różańca” najbardziej znane stało się zburzenie dawnych górniczych domów na Giszowcu. Film ten nie bardzo w Polsce zrozumiany (górnik nie chciał mieszkać w bloku, ale w domku jednorodzinny chciał...) pokazał, jak przez niby proste zastąpienie jednych domów innymi zniszczono dawny śląski świat. Niszczono też przy okazji inne rzeczy, np. kamienne krzyże stawiane na Śląsku od pokoleń. Widziałam to mieszkając na osiedlu Tysiąclecia.

Jak wiele innych zakładów Konstal rozpoczął budowę osiedla mieszkaniowego „na Amelongu”, między Chorzowem i Świętochłowicami. Mogłam tam starać się o mieszkanie, ale wybrałam osiedle Tysiąclecia. Zamieszkanie na tym osiedlu było wtedy tzw. szpanem, nie wiem, czy ze względu na bliskość Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku, czy też możliwość zamieszkania w wysokich blokach z windami, co było wtedy nowością. Osiedle zbudowano na terenie Chorzowa, ale niedługo potem rozporządzeniem Rady Ministrów znalazło się w Katowicach. Zaczęłam więc nic nie zmieniając oficjalnie mieszkać w Katowicach, ale aby być w Chorzowie wystarczyło przejść do parku na drugą stronę ulicy, czego znajomi z Polski nie mogli zrozumieć.

Mówiło się, że nowe mieszkania z wygodami są dla goroli, bo Ślązacy przecież mieszkania mają. A mieszkali w starych dzielnicach, w familokach, najczęściej w pokoju z kuchnią, a augus¹¹⁶ i hazieli¹¹⁷ były w sieni. Ale niektórym Ślązakom też udało się dostać nowe mieszkanie. Pod koniec roku 1967 dostałam kawalerkę w jednym z pierwszych cemencioków na Tysiącleciu. Moimi sąsiadami była rodzina pochodząca z hajduckich bloków koło cmentarza. Na tym samym piętrze zamieszkała też Ania z Konstalu rodem z Maciejkowic wraz z rodziną. A w bloku obok dostała mieszkanie kuzynka Zyta z mężem Marianem i synem Leszkiem. Niektórzy mieszkańcy katowickiego Dębu, którzy nie chcieli - jak mówili - budować kościoła na Tysiącleciu dla goroli zbudowali go więc także dla swoich.

Mój blok miał 13 pięter i było w nim ponad 200 mieszkań. Zgodnie z ówczesnymi normami budowano mieszkania typu od M-2 do M-5, które

¹¹⁶ zlew

¹¹⁷ ubikacja

przydzielano w zależności od liczby osób. Byłam sama, czyli singiel, a dla takich osób mieszkań w ogóle nie budowano, bo przecież - jak pisał Majakowski - jednostka bzdura, jednostka zero. Dostałam więc mieszkanie typu M-2 dla dwóch osób, choć faktycznie było to mieszkanie dla jednej osoby. Do tego mało wymagającej, bo trudno było zmieścić w nim książki, zarówno moje jak i potem z biblioteki taty przejęte po jego śmierci.

Mieszkanie miało niecałe 25 m² i składało się z wąskiego pomieszczenia, stanowiącego łącznie pokój i przedpokój, z tzw. ślepej kuchni bez okna oraz łazienki. Dla mnie miało kształt Półwyspu Apenińskiego. Ojciec sąsiadki z góry jak przyszedł pierwszy raz to spojrzął na mieszkanie i orzekł że to kłotka dla królików. A Heniek, mąż Uli jak przyszedł w odwiedziny to spytał:

- Krysiu, a gdzie właściwie jest to mieszkanie?

Budowano wtedy klitki, bo takie były normy. Budowano też szybko i byle jak. W moim mieszkaniu okna się nie domykały, na podłodze odklejały się płytki, były też inne usterki. Należało je zgłaszać w spółdzielni i czekać, aż przyjdą usunąć. Ale każdy wiedział, że najlepiej usunąć je samemu. Albo pójść do ludzi z brygady, która blok budowała i zapłacić za ich usunięcie.

Mimo tego byłam zadowolona, że mam własne mieszkanie. Choć z początku było mi trudno przyzwyczaić się do mieszkania w takim dużym bloku. Bo dzieci biegały po długich korytarzach i hałasowały, ludzie wyrzucali śmieci z okna, do zsyków wpychano całe kartony i te od razu się zapychały, stale psuły się windy. Poza tym nie mogłam zrozumieć dlaczego ludzie jak coś wysypią, czy wyleją na korytarzu to nie lecą zaraz ze śmiatkiem¹¹⁸ zamiatać, czy wycierać ze szmatą. W domu, gdzie mieszkali moi rodzice, starzyki, czy ciotki byłoby to nie do pomyślenia. Tam każdy wiedział kto namarasił¹¹⁹ a nie powycierał.

- Mama zrobiłaby tu haję¹²⁰ - pomyślałam. Ale tutaj haję? Komu?

Tu nikt nikogo nie znał.

Zdarzało się też, że gorole dostawali mieszkania w starych domach. Tak było w Hajdukach w starym hutniczym domu, gdzie mieszkała babcia z ciotką Helą. Do jednego z mieszkań po śmierci dawnych lokatorów wprowadziła się rodzina z Kieleckiego. Mieli kilkoro dzieci, często popijali. A wtedy, jak mówili sąsiedzi leciała „łacina”, a niektóre wyrazy, aż wstyd było powtórzyć. Ludzi to gorszyło, bo każdy wiedział, że nie wolno przeklinać nawet przy robocie, a co dopiero w domu. Nowi sąsiedzi zaczęli z czasem przychodzić na ławkę przed domem, aby pogadać. Któregoś dnia babcia wróciła z ławki i spytała mnie:

- Ty powiydz mi yno co to jest chuj?

Widząc moje zmieszanie spytała nieśmiało: Jest to pulok?¹²¹

¹¹⁸ zmiotka

¹¹⁹ nabrudził

¹²⁰ awantura

¹²¹ siusiak

20. Za Gierka

Kryzys w gospodarce stawał się coraz bardziej widoczny. Wtedy jeden z sekretarzy Komitetu Centralnego PZPR Bolesław Jaszczuk wymyślił system bodźców ekonomicznych. Bodźce te zwane jaszczukowymi miały wymusić wzrost wydajności pracy. Składały się z zestawu wzorów i wskaźników, przy pomocy których miano rozliczać pracowników z wykonania zadań i odpowiednio wynagradzać. System bodźców trafił też do Konstalu, ale okazał się skomplikowany i pracochłonny, a przy tym mało zrozumiały, tak że praktycznie trudno było go wdrożyć. Na szczęście dzięki zmianie władzy w grudniu 1970 roku nie trzeba było tego robić.

W grudniu 1970 babcia z Bandurskiego obchodziła swoje siedemdziesiąte urodziny. Życzyłam jej wtedy, aby przeżyła nie tylko Gomułkę, który właśnie oddawał władzę, ale i Gierka, który władzę przejmował. Niestety babcia zmarła dwa lata wcześniej.

Po tragicznych wydarzeniach na Wybrzeżu spowodowanych podwyżką cen żywności Edward Gierek został Pierwszym Sekretarzem Komitetu Centralnego Partii. Czyli najważniejszym człowiekiem w kraju. Myślę, że Gierek awansował, bo dotąd rządził Śląskiem, wzorcowym regionem socjalizmu, gdzie w ogólnym pojęciu ludzie żyli lepiej niż gdzie indziej. Tu była tzw. wielkoprzemysłowa klasa robotnicza i najwięcej członków partii. I wysokie zarobki oraz lepiej zaopatrzone sklepy. Liczono więc że „za Gierka” tak będzie w całym kraju. Ale nie wiedziano o kosztach „sukcesu”: ciężkiej pracy, nadmiernym zaludnieniu, domach pękających od szkód górniczych, zapyleniu przekraczającym wszelkie normy.

Edward Gierek pracował przed wojną w kopalniach Francji i Belgii. Był komunistą, choć innym niż dotychczasowi sekretarze, ukształtowani przez system radziecki. Ciotka Cila, która jak wielu słuchała radia Win, czyli audycji z Wiednia mówiła, że Gierek będzie prozachodni. Chcieliśmy, żeby tak było, bo wszyscy wiedzieli że na Zachodzie był lepszy świat. Ludzie więcej zarabiali, lepiej mieszkali, mogli wszystko kupić i nie stać w kolejkach.

Po swoim wyborze Gierek jeździł po kraju i wiele obiecywał. Mówił o wolności, demokracji, o zmianach w zarządzaniu gospodarką, poprawie warunków życia ludzi pracy. Mówił, że kraj ma się rozwijać, a ludzie żyć dostatniej!

W kraju wiedziano że Gierek przyszedł do władzy ze Śląska, choć był Zagłębiakiem i u nas każdy wie, że to nie to samo. Ale dla Warszawy Zagłębie, czyli Sosnowiec i wszystko obok to automatycznie Śląsk, czyli województwo katowickie. Dowcipni warszawiaczy wymyślili więc zaraz ogłoszenie:

- Na peron wjeżdża pociąg ekspresowy „Górnik” z Katowic. Proszę się usunąć ze swych stanowisk!

W rzeczywistości nie dokonała się w Warszawie żadna kadrowa rewolucja. Ślązacy, którzy wstąpili do PPR, a potem do PZPR i byli we władzach partyjnych województwa, czy działali w związkach zawodowych zostali już wcześniej członkami Komitetu Centralnego Partii i zajmowali rządowe stanowiska. Ryszard Nieszporek, stary śląski komunista był członkiem KC PZPR, a w latach 1949-1954 ministrem górnictwa i energetyki. W dwa lata później objął to stanowisko urodzony w Cieszynie Franciszek Waniołka, który potem został też ministrem przemysłu ciężkiego i wicepremierem.

Od roku 1959 kolejnym ministrem górnictwa i energetyki został Jan Mitręga z Michałkowic - Siemianowic. I on był też jedynym ministrem ze Śląska w rządzie, powstałym po objęciu władzy przez Edwarda Gierka. W roku 1974 Mitręga został odwołany ze stanowiska, ale resortem górnictwa zarządzili nadal ludzie ze Śląska choć nie rodowici Ślązacy - Jan Kulpiński i Włodzimierz Lejczak.

W latach 1975-1976 wicepremierami byli Tadeusz Pyka rodem z Piekar Śląskich, przedtem zastępca Przewodniczącego Komisji Planowania Gospodarczego oraz Jan Szydłak z Siemianowic, przedtem działacz partyjny i Pierwszy Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Poznaniu. Pod koniec rządów Gierka na krótko premierem został Edward Babiuch, Zagłębiak z Będzina. I członkiem Rady Państwa był od roku 1963 Jerzy Ziętek, długoletni wicewojewoda, a potem wojewoda katowicki.

Mój ojciec nadal „robił swoje”. Pracując w hucie wiele pisał i publikował w zakładowej gazecie „Naprzód hutnicy”, w „Życiu Chorzowa”, w „Gońcu Górnośląskim”, w dwutygodniku „Poglądy” i w innych pismach. Dwutygodnik „Poglądy”, redagowany przez Wilhelma Szewczyka był wtedy chyba jedynym pismem służącym propagowaniu wiedzy o Śląsku, o jego historii, kulturze, problemach i potrzebach. Z publikacji w „Poglądach” korzystała m. in. Ula, chcąc swoich uczniów nauczyć więcej o naszej ziemi niż było w programie i w podręcznikach. Od roku 1965



Mój ojciec w połowie lat siedemdziesiątych

„Poglądy” przyznawały „Plakietę” ludziom nauki i sztuki, którzy w opinii czytelników zasłużyli na szczególne wyróżnienie. Ojciec dostał „Plakietę” jako osoba wyróżniająca się w popularyzowaniu historii i wiedzy o Śląsku. Po nim dostali ją m.in. historyk Kazimierz Popiołek, publicysta Edmund Osmańczyk i reżyser Kazimierz Kutz.

W roku 1972 Huta Batory świętowała swoje stulecie. Z tej okazji została wydana druga książka taty „Sto lat Huty Batory”, napisana podobnie jak pierwsza wspólnie z Gerardem Szędzielorzem. W porównaniu do książki sprzed 16 lat było w niej więcej o historii Wielkich Hajduk, drodze rozwoju gminy w II Rzeczpospolitej, do czasu kiedy stała się częścią miasta Chorzów.

Cieszyliśmy się wszyscy z wydania tej książki, bo wiedzieliśmy że poprawi to nastrój taty. Będąc na kierowniczym stanowisku nie miał wyższego wykształcenia, a wtedy do pracy w hucie przychodziło wielu młodych inżynierów... Czuł się przy tym nienajlepiej, tym bardziej że zaczął chorować. Ale próbował razem z nami wierzyć że będzie dobrze. Bo rosły płace, w sklepach pojawiło się więcej towarów, głównie z importu. Budowano już większe mieszkania, do tego z widnymi kuchniami. Próbowano też otworzyć Polskę na świat. Tylko ciotka Christa z Bytomia nie wierzyła Gierkowi.

- Za Gierka bydzie ta sama lajerka¹²² - mówiła zajadając w Hajdukach urodzinowy tort ciotki Heli.

Dlatego ciotka Christa chciała wyjechać z rodziną do Niemiec. Starła się o to od lat, składała wnioski, ale bezskutecznie. Zawsze dostawała absaga czyli odmowę. Nie mogłam tego zrozumieć, bo przecież kiedyś Niemców wysiedlano. A teraz jak chcą sami jechać to ich nie wypuszczają. A wręcz przeciwnie - zniechęcano ludzi do wyjazdów, szykanowano, zwalniano z pracy. Kiedy w Konstalu jedna z aktywistek Ligi Kobiet i działaczka partyjna złożyła wniosek o wyjazd do Niemiec to moja szefowa powiedziała oburzona: I patrzcie z kim ja się przyjaźniłam! Pani tej odebrano legitymację partyjną i wszystkie odznaczenia.

Ciotka Christa chciała wyjechać do Niemiec w ramach akcji łączenia rodzin. Miała tam matkę i siostrę. Śmialiśmy się z bratem, że chce połączyć się z rodziną którą miała tutaj. A miała tu męża i dzieci. W Bytomiu miała też drugą siostrę i brata, zresztą sekretarza partii na jednej z kopalń. Ciotka się na nas złościła i mówiła żebyśmy nie byli za mądrzy. Chce jechać, bo jest z Bytomia, czyli z Beuthen. A więc jest Niemką. A poza tym wszyscy wiedzą, że tam jest lepiej.

Wydawało się, że po roku 1975, to jest po Helsinkach ciotka w końcu wyjedzie. W Helsinkach na Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie Edward Gierek podpisał z Kanclerzem Niemiec Helmutem

¹²² ta sama melodia, to samo

Schmidtem porozumienie, w którym zgodził się na wyjazd do Niemiec 120 tysięcy ludzi. Nie zrobił tego za darmo, bo za odszkodowanie, co oceniono jako handel Ślązakami. Ale ciotka Christa nadal dostawała absagi, co ją strasznie złościło. Mówiła, że wyjeżdżają gorole co mają znajomości, albo dają łapówki.

Czasem zrezygnowana mówiła, że zostaliby w Polsce, gdyby dostali lepsze mieszkanie. Ciotka mieszkała z rodziną w Bytomiu w pokoju z kuchnią, do tego mieli wspólny przedpokój z sąsiadami, a wodę i ubikację w sieni. Mąż ciotki wujek Józek pracował w Katowicach i podobno chcieli mu dać nowe mieszkanie, tyle że w Sosnowcu.

- Koziałach Józkowi pedzieć, że my tam nie pójdymy miyszkać, bo my tam nic niy stracili! Jak chcom to niech nom dają mieszkanie w Katowicach, albo w Bytomiu - powiedziała ciotka.

Faktycznie stosowano zasadę, że mieszkania w śląskich miastach, w Katowicach, Chorzowie, czy w Bytomiu dostawali ludzie - jak mówiono zza Brynicy, czyli z Zagłębia. Natomiast Ślązakom dawano mieszkania w Sosnowcu, Będzinie, czy w Dąbrowie Górniczej. Zagłębiacy bez problemu przychodzili mieszkać do hanyśów, czy kormeli - jak nas nazywali. A Ślązacy chcieli mieszkać u siebie.

21. Otwarty świat

Otwarcie Polski na świat rozpoczęło się od NRD. Aby tam pojechać wystarczył stempel w dowodzie osobistym. Na Śląsku można było uczyć się już niemieckiego, co dotąd było zakazane.

- Czyżby przebaczyli Niemcom? - zastanawiałam się, bo ciągle miałam w pamięci ataki na biskupów z roku 1965.

Okazało się, że przebaczone tym z NRD, tym dobrym Niemcom, którzy mieszkali między Odrą i Nysą, a górami Harzu. Tym, którzy wyrzekli się rewizjonizmu i budowali jak my socjalizm. Pozostali Niemcy, ci gorsi z RFN musieli na wybaczenie jeszcze poczekać.

Zacząły się masowe wyjazdy do NRD, albo jak mówili niektórzy - do Szwabów. Jeździło się pociągami, autobusami, niekiedy własnym samochodem. W grupach i indywidualnie, służbowo i prywatnie. A najczęściej jeździło się na zakupy. Z początku można było bez ograniczeń wymieniać złotówki na NRD-owskie marki. Rodacy wymieniali więc ile się dało i ruszali gromadnie do sklepów i domów towarowych po buty, bieliznę damską i męską, ubranka dla dzieci i rozmaite drobiazgi których u nas nie było. Potem koczowali na dworcach z ogromnymi torbami, pakunkami i szturmowali drzwi pociągów wracających do Polski. Wtedy Niemcy, którzy nigdy za nami nie przepadali zaczęli nas lubić jeszcze mniej. Było to szczególnie widoczne na terenach w pobliżu polskiej granicy. Chowali towary w sklepach, ograniczali ilości zakupów, a niekiedy sprzedawali tylko swoim na Ausweis¹²³.

Pamiętam jak będąc pierwszy raz w NRD patrzyłam z satysfakcją na ruiny zamku w Dreźnie i zasięki wokół Bramy Brandenburskiej w Berlinie.

- To za Warszawę, Wrocław - mówiłam sobie.

Ale potem polubiłam ten niewielki, spokojny i uporządkowany kraj. Podobało mi się Meissen z pięknie nad Elbą położonym zamkiem Albrechtsburg, zamki dornburskie na wysokim brzegu rzeki Saale, Weimar z pamiątkami po Goethem i Schillerze. Oglądałam zbiory Zwinger, słuchałam muzyki organowej w lipskim kościele św. Tomasza.

Któregoś roku pojechałam z grupą w góry Harzu. Kiedy schodziliśmy z Hexentanzplatz do miasteczka Thale poczuliśmy wszyscy kuszący zapach świeżego pieczywa, dochodzący z jednej z piekarni. Weszliśmy do środka, a tam na ladzie leżały różne smacznie wyglądające ciastka, a wśród nich krepki czyli pączki. Postanowiłam skosztować niemieckich krepki.

- Zwei krepel bitte¹²⁴ - powiedziałam przekonana, że to po niemiecku, bo tak mówiło się u nas. A nasza gwara była ponoć niemiecka.

¹²³ dowód osobisty

¹²⁴ poproszę dwa pączki

Pani sprzedająca popatrzyła na mnie zdumiona i spytała: Was wünschen Sie¹²⁵?

Zdumiona, że pani mnie nie rozumie pokazałam palcem na leżące na ladzie krepłe.

- Ach pfankuchen! - powiedziała i zapakowała mi dwa krepłe zgodnie z życzeniem.

Podobnych wpadek było potem więcej. Jedna z dziewcząt chciała kupić mamie szpyndliki, czyli szpilki krawieckie, które po niemiecku nazywały się Stecknageln. Ktoś inny chciał kupić cedzitzko czyli sitko, po niemiecku Sieb, czy fusekle, to jest skarpety. Po niemiecku Socken.

Można było też jeździć do innych bratnich krajów socjalistycznych. A także do krajów kapitalistycznych, chociaż tu było trudniej. Nasze złotówki to były niewymienialne „bilety Narodowego Banku Polskiego”. Zazdrościliśmy wtedy Jugosłowianom, którzy niby też byli w obozie socjalistycznym, ale ich dinary można było wymienić na marki, franki, czy włoskie liry. Kto chciał jechać na Zachód musiał wpierw postarać się o przydział dewiz. Otrzymywało się najpierw 130, a potem 150 dolarów, co było kwotą niewielką. Rodacy wyjeżdżali więc na urlopy i wycieczki ze wszystkim: od ziemniaków i makaronu po konserwy i jajka. Ale i tak trzeba było pohandlować na dodatkowe wydatki, czy zakupy towarów, których u nas nie było. I handlowano wszystkim, od żelazek i papierosów po namioty i krem Nivea. Można było też pojechać na wycieczkę zorganizowaną przez biuro podróży i wtedy dostawało się trochę dewiz jako kieszonkowe.

Odkładałam pieniądze na zamianę swojej klitki na większe mieszkanie, ale nic z tego nie wychodziło. Postanowiłam więc pojechać na wycieczkę do Grecji, bo od czasu przeczytania „Mitologii” Parandowskiego byłam zakochana w greckiej starożytności. Modliłam się nawet przez jakiś czas do Zeusa i bardzo chciałam zobaczyć Olimp, gdzie mieszkali greccy bogowie i Akropol, wzgórze poświęcone bogini Ate-nie. Mogłam to teraz wszystko obejrzeć, a zarazem ujrzeć kapitalistyczny świat, pełen sklepów z pięknymi rzeczami.

Po zwiedzeniu zabytków szło się oczywiście do sklepów. I któregoś dnia zobaczyłam buty z piękną, prawie koronkową plecionką. Oglądałam je rzewnym okiem, ale były drogie i nie było mnie na nie stać. Odchodziłam więc i wracałam, brałam buty do ręki i odkładałam... Sprzedający Grek przyglądał mi się uważnie, coś mówił, ale nie rozumiałam. Dopiero słowa - from country - uprzytomniły mi że pyta skąd jestem? Odpowiedziałam, że Poland. Widziałam, że Grek się wyraźnie ucieszył.

¹²⁵ Czego pani sobie życzy?

- Poland, Polska, good, dobra - powiedział. I dodał: but poor¹²⁶!

I sprzedał mi te piękne buty za pół ceny. Byłam szczęśliwa, ale poczułam się głupio. Bo przecież mój kraj należał ponoć do najbardziej uprzemysłowionych krajów w Europie.

Wspominamy do dzisiaj z Teresą i Kazikiem naszą ściepkę¹²⁷ w Szwajcarii na wodę mineralną. Po obiedzie, który był w cenie wycieczki chcieliśmy napić się wody mineralnej. Okazało się, że jest droższa od wina. Zaczęliśmy więc wyciągać z portfeli nasze fyniki¹²⁸ i liczyć, ale ciągle było za mało. Wtedy siedząca z nami przy stole pani profesor z Krakowa powiedziała: to ja się dorzucę i też się napiję!

¹²⁶ lecz biedna

¹²⁷ zrzutka

¹²⁸ drobne monety

22. Huta Katowice

Gierek nie stworzył w Warszawie śląskiego rządu, o co go stale posądzano. Nie zmieniła się też zasadniczo polityka gospodarcza, a jej podstawą był nadal przemysł ciężki. Jednak ekipa Gierka bardziej niż poprzednicy widziała konieczność rozwoju kraju poprzez inwestycje i modernizację. Zamierzano tego dokonać z kredytów zaciągniętych na Zachodzie.

Modernizacji i unowocześnienia potrzebował cały kraj, w tym również przemysł śląski, który powstał w XIX wieku. Huta Kościuszkowa w Chorzowie, dawna Königshütte powstała w roku 1802. W tym samym mniej więcej czasie powstały chorzowskie kopalnie: Prezydent, Barbara-Wyzwolenie, Chorzów. Później bo w roku 1873 powstała huta Batory. Podobnie było w innych miastach.

W Polsce Ludowej inwestowano głównie w górnictwo, bo potrzeba było coraz więcej węgla. Ale modernizacji potrzebowało też hutnictwo i inne zakłady, podobnie stare górnicze i hutnicze domy mieszkalne. Niezbędne były inwestycje, które przewidywałyby dalszej degradacji środowiska.

Zamiast modernizacji tego co było przewidziano dla Śląska dwie nowe duże inwestycje. W roku 1972 podjęto decyzję o budowie Fabryki Samochodów Małolitrażowych w Bielsku Białej, oraz huty Katowice w Dąbrowie Górniczej. Wyroby pierwszej z inwestycji miały zmotoryzować Polskę. Natomiast huta Katowice miała przejąć produkcję surowcową śląskich hut. W hutach tych miały być wygaszone wielkie piece, a w ich miejsce powstać nowoczesne zakłady przetwórstwa stali. Miało to w założeniu doprowadzić do racjonalnego podziału pracy w hutnictwie. Z drugiej strony - śląskie huty miały przestać zatruwać środowisko. Założenie wydawało się logiczne, ale jak mówili niektórzy - Mitręga był przeciwny budowie huty Katowice, bo uważał że należy modernizować huty istniejące. Mogło tak być bo niedługo potem przestał być ministrem górnictwa, a także wicepremierem. Chociaż - podobno sprzeciwiał się też nadmiernemu zwiększaniu wydobycia węgla i rabunkowej gospodarce w kopalniach.

Nowe inwestycje potrzebowały pracowników, a to oznaczało dalszy napływ ludzi na Śląsk. Przyjeżdżało ich coraz więcej skuszonych tym co mówiono o wysokich zarobkach i możliwości szybkiego otrzymania mieszkania tak że pod koniec lat siedemdziesiątych na 1 km² w województwie katowickim mieszkało średnio 600 osób, to jest pięć razy więcej niż przeciętnie w kraju. W Chorzowie i w sąsiednich miastach liczba osób mieszkających na 1 km² dochodziła do 5 tysięcy. Robiło się coraz ciasniej, wydłużała się kolejka po mieszkanie i nie tylko. Także do sklepów, do lekarza, na pocztę. Tłoczniej zaczynało być w przedszkolach i szkołach.

Jeżdżono werbować ludzi do pracy po całym kraju, a napływ ludzi z różnych stron, o niejednakowym wychowaniu, kulturze, nawykach

wywoływał określone, niekorzystne problemy społeczne. Rodowici Ślązacy stawali się coraz bardziej mniejszością na własnej ziemi. Ale nikt nie zwracał na to uwagi. Liczyły się tony produkcji, a te rosły. W roku 1979 osiągnięto magiczną ilość wydobytego węgla 200 milionów ton. Podobnie rosła produkcja hut. W roku 1979 wyprodukowano o ponad 60% więcej stali i wyrobów walcowanych niż w roku 1970.

Hutę Katowice - największy po Nowej Hucie kombinat metalurgiczny budowano we współpracy z ZSRR, według radzieckiej dokumentacji oraz z gwarancją radzieckich dostaw rudy i urządzeń. Zbudowano w tym celu szeroki tor, co zaraz skomentowano, że teraz będzie się jeszcze więcej z Polski wywozić...Mówiono też, że Gierek buduje sobie pomnik na ojczystej ziemi. Wiele lat później w jednym z wywiadów Gierek powiedział iż była koncepcja budowy huty bliżej granicy radzieckiej, gdzieś w okolicach Medyki. Ale jej koszt byłby wtedy kilkadziesiąt procent wyższy, pomijając koszt ściągnięcia wielu tysięcy hutników. No i brak tradycji hutniczych na tym terenie.

Na budowę huty Katowice szły wielkie pieniądze. Stwarzało to szansę na pracę i zarobek dla wielu: budowlańców, producentów i dostawców materiałów budowlanych, sprzętu, urządzeń, także dla hutników, transportowców i wielu innych, w tym nawet naukowców. W hucie Katowice płacono dobrze, lepiej niż w starych śląskich hutach. I wielu poszło tam do pracy, także z chorzowskich hut Kościuszko i Batory.

Inwestycje stały się sprawą najważniejszą i zachęcano zakłady do ich podejmowania: do rozbudowy, zakupu nowych maszyn i urządzeń, całych linii technologicznych. W Konstalu też planowano inwestycje na niektórych wydziałach. Zaczęły się dyskusje nad zakresem inwestycji, wyborem dostawców w kraju, czy za granicą. To drugie rozwiązanie uważano zwykle za lepsze i nie tylko ze względu na - jak zakładano wyższy poziom techniczny urządzeń. Była wtedy możliwość służbowego wyjazdu za granicę, czasem na Zachód, a to się liczyło. Powstała wtedy możliwość przejścia do pracy w dziale inwestycji i postanowiłam z tego skorzystać, aby jako ekonomista zająć się planowaniem i liczeniem efektywności inwestycji.

Ale któregoś dnia znalazłam w gazecie ogłoszenie, że w Katowicach powstaje oddział jednego z warszawskich instytutów, który ma między innymi prowadzić badania na budowie huty Katowice. Instytut chciał zatrudnić inżynierów i ekonomistów, znających problemy przemysłu i budownictwa. Nie znałam się wprawdzie na budownictwie, ale dojrzałam już - jak się mówiło - do zmiany pracy. Postanowiłam się zgłosić do pracy w instytucie, bo wydawało mi się, że będzie ciekawsza i pozwoli lepiej wykorzystać posiadane kwalifikacje.

W instytucie poza szefem, inżynierem budownictwa pracowało jeszcze trzech inżynierów i dwóch ekonomistów. Oprócz tego była sekretarka i dziewczyna do prac pomocniczych. Nie było nikogo ze stopniem nauko-

wym doktora, wyposażenia, czy nawet skromnej biblioteki. Ale wszyscy byli dobrej myśli, bo były zlecenia.

Oprócz innych zleceń instytut dostał też propozycje badań na budowie huty Katowice. Był temat badań z zakresu organizacji budowy, o warunkach dojazdów pracowników do pracy, oraz o tym jak pracownicy spędzają wolny czas po pracy. Ostatni temat dostał się mnie, co mnie ucieszyło, bo interesowały mnie także problemy społeczne. A poza tym za pracę na hucie dostawało się 30% dodatek do płacy. Jak mówiłam znajomym co będę robiła w instytucie ci zaczęli się śmiać i mówili:

- Będiesz badać, co ludzie robią po pracy na budowie huty Katowice? Przecież wiadomo że piją!

Miałam to jednak zbadać. Zaczęłam wraz z kolegami jeździć na budowę. Tam witał nas wielki rozkopany teren, rozgardiasz typowy dla takich miejsc. Zbudowano już kilka budynków dla zarządzających budową, a na jednym z nich było z daleka widoczne hasło: „Polak potrafi!” Na budowie spotykało się różnych ludzi z podobnych instytutów i ośrodków badawczych. Mieli zwykle zbliżone do naszych zadania i rozglądali się za możliwościami zdobycia potrzebnych informacji, za ludźmi którzy mogli informacji tych udzielić. Nie było to łatwe, bo ludzie ci mieli na głowie rzeczy ważniejsze od odpowiedzi na nasze mądre pytania.

Opracowałam ankietę z pytaniami, na które ludzie pracujący na budowie huty mieli odpowiedzieć. I zaczęłam chodzić po hotelach robotniczych, czasem rano, a niekiedy po południu, bo ludzie pracowali na zmiany. Pamiętam, że chodziłam tam ze strachem, bo byli tu różni ludzie, z całej Polski, najczęściej bez rodzin, z nienajlepszymi życiorysami.

Wielu z nich zastawałam śpiących, rozwalonych na łózkach. Na stole stały puste butelki po wódce, na krzesłach leżały porozrzucane łachy. Ale najczęściej zastawałam mieszkańców hoteli robotniczych przy picciu, pod zagrychę z konserwy, cebulę i ogórki. Zwykle zapraszali do stołu i proponowali, żeby się z nimi napić, myli nawet dla mnie szklanekę. Zgadzałi się chętnie na rozmowę, ale zwykle nie interesowały ich pytania z mojej ankiety. Pytali raczej skąd przychodzę i po co komu takie badania?

Bo przecież wiadomo, że przyjechali tu zarobić, a nie rozwijać się kulturalnie. Przyjechali pracować a nie spędzać czas wolny! Pracują ciężko i długo, a potem już niewiele się chce. Ale gdyby było w pobliżu kino, przyjechał jakiś ciekawy zespół muzyczny, znany piosenkarz, czy aktorka to kto wie? Może by i poszli? Mogliby też poczytać książki gdyby była biblioteka. Najlepiej kryminały, albo coś z sensacji.

Opisałam to wszystko i przekazałam temat generalnemu wykonawcy budowy huty Katowice, który nam badania zlecił. Nie wiem, na ile skończyła się z zawartych tam wniosków, bo nasz instytut zajął się potem innymi problemami.

23. Mamy Dyjcymbra, a Kraków Papieża

W roku 1975 Ziętek przestał być wojewodą katowickim. Rządził województwem 30 lat, a z jego odejściem skończyła się dla Śląska cała epoka, dobra, którą się do dziś wspomina. Po Ziętku zaczęły się rządy Zdzisława Grudnia, Pierwszego Sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach zwanego Dyjcymbrem¹²⁹.

Zdzisław Grudzień pracował podobnie, jak Gierek przed wojną w kopalniach Francji i Belgii. Był też członkiem komunistycznej partii Francji. Ale w przeciwieństwie do Gierka lubił czuć się ważny, uprawiać kult własnej osoby. Jego fotografie były zawsze na pierwszych stronach lokalnych gazet, był też gwiazdą katowickiej telewizji. Zastępował w organizowaniu słynnych wieców w „Spodku”, na których popierano PZPR i jej Pierwszego Sekretarza. Przeciwestawiał w ten sposób innym regionom dobry, pracowity Śląsk, z jego wierną wielkoprzemysłową klasą robotniczą.

Było to potrzebne, bo od roku 1976 zaczął się kryzys rządów ekipy Gierka. Podwyższono ceny na mięso, co wywołało protesty w Radomiu i Ursusie. Podwyżkę cen potem odwołano, ale przestraszeni ludzie zaczęli wykupywać co się dało, głównie cukier na który potem wprowadzono bony. Ale ceny i tak zaczęły rosnąć, bo rosły płace i zwiększały się koszty produkcji.

Gierek po latach mówił, że ludzie dostając wyższe pensje nie podnosili wydajności pracy. I w tym - zdaniem Gierka leżało całe zło. A ludzie mając w portfelach więcej pieniędzy chcieli więcej kupować. I wielu towarów zaczęło brakować. Zakupione za dewizy maszyny często stały i niszczały, a nowoczesnych linii technologicznych nie udawało się z różnych przyczyn uruchomić. Zaczęła się więc inflacja, której miało w socjalizmie nie być.

Ludzie byli coraz bardziej niezadowoleni z władzy, a organizowane przez Dyjcymbra wiece ze znanymi okrzykami: „Gierek, partia!” obracały się przeciwko nam Ślązakom. Nigdy nas w kraju zbyt nie lubiano, ale teraz jawną stała się niechęć, czy nawet wrogość. W różnych miejscach pojawiły się napisy typu: „Ślązacy, Zagłębiacy - nie Polacy!” Albo – „Chcesz kurczaka? Zabij Ślązaka!” Podobno przecinano też opony w samochodach z katowicką rejestracją podczas wakacyjnych wyjazdów, czy innych poza teren naszego województwa.

Niechęć i wrogość nie przeszkadzały ludziom z sąsiednich województw przyjeżdżać do nas na zakupy. Już od rana z dworca w Katowicach i z dworców w innych miastach wylegały tłumy ludzi. Szturmowali potem sklepy z mięsem i wędlinami, a i inne wykupując co się dało. Nas mieszkańców Śląska próbowano bronić przed ogromnymi kolejkami dostarczając towary na osiedla, bądź nakazując sprzedawać towary tyl-

¹²⁹ po Śląsku grudzień

ko miejscowym „na dowód” tak jak Niemcy z NRD. Ale przecież Polak potrafi! I niedługo potem przyjezdni znaleźli się w sklepach na naszych osiedlach.

Sytuacja w kraju wymagała zmian i mimo cenzury próbowano o tym pisać w prasie. Wyróżniała się w tym „Polityka”, tygodnik wydawany od roku 1958, który w połowie lat siedemdziesiątych pod redakcją Mieczysława Rakowskiego wyrósł na interesującą i w dużym stopniu niezależną gazetę. Mój brat skończył studia i postanowił zostać dziennikarzem. Chciał pisać, w tym właśnie dla „Polityki”. Już na studiach pisał do różnych gazet, wpieryw krótkie informacje, potem większe artykuły. Cieszyliśmy się z tego, choć dla babci pisanie nie było żadnym fachem. Przypominała więc bratu, że mo swoje lata, a nie mo fachu...A lepiej by było jak by został dryjerem¹³⁰ jak jej bracia!

Brat zaczął pracę dziennikarza w katowickim „Dzienniku Zachodnim”, ale niedługo potem już pisał dla „Polityki”. Opublikował tam szereg interesujących artykułów o Śląsku i nie tylko, za które otrzymywał dziennikarskie nagrody, w tym nagrodę im. Ksawerego Pruszyńskiego za - jak napisano - odważne potraktowanie problematyki śląskiej. Dostał też nagrodę w Opolu imienia Rafała Urbana, śląskiego pisarza rodem z Głogówka, ufundowaną przez ówczesną „Trybunę Opolską” za reportaż o Ślązakach wyjeżdżających do Niemiec. Pisał również do „Pogłądów”.

Rok 1978 był dla naszej rodziny rokiem smutnym, bo w lutym zmarła babcia z Bandurskiego, a potem w październiku tata. Babcia zawsze chciała dożyć czasów kiedy zaczną gonić Rusa z Polski. Wierzyła że to nadejdzie, bo tak pisały prorocstwa. Ona im wierzyła, bo co pisały to potem tak było: I wojna, Hitler, II wojna i przyjsie Rusów.

- I czekej człowieku pół wieku! - mawiała babcia, bo tak pisało w proctwach. Ale nie pisało od kiedy trza to liczyć. Czy od końca pierwszej, czy drugiej wojny? A może jeszcze od czegoś inszego ? Czas uciekał, a Rusy ciągle trzymały się mocno. W latach siedemdziesiątych babcia doszła do wniosku że tego wygonienia Rusów z Polski nie dożyje.

- Ale wy dożyjecie ! - mówiła do mnie i do brata. I miała rację.

Tata czuł się zdrowotnie coraz gorzej i w połowie lat siedemdziesiątych poszedł na emeryturę. Ale nadal prawie codziennie chodził do huty, m.in. do redakcji gazety „Naprzód hutnicy” do której do końca życia pisał. Kończył też książkę, w której opisywał wspomnienia ze swego życia, w tym z czasu wojny i radzieckiej niewoli. Książka zatytułowana „Ku brzegom nadziei” ukazała się w roku 1977. Tata opisał w niej chyba jako pierwszy losy Ślązaków przymusowo wcielonych do Wehrmachtu. Dzisiaj już się o tym pisze, nawet robi filmy. Wtedy był to temat tabu,

¹³⁰ tokarz

hańbiący i wstydlivi. Ojciec cieszył się z wydania książki, podobnie z artykułów brata i mojego otwartego przewodu doktorskiego. Zmarł 2 października 1978 r. Pochowaliśmy go jak chciał na starym hajducim cmentarzu. Bo Hajduki - jak mówił - były jego miejscem na ziemi. Pamiętam, że padał wtedy deszcz, a nad otwartym grobem taty jego dawny nauczyciel i przyjaciel Paweł Ciastuła powiedział, aby lekką mu była śląska ziemia, którą tak ukochał. Potem na grobie taty stanęła granitowa księga.

W dwa tygodnie po śmierci taty kardynał Wojtyła z Krakowa został wybrany papieżem. Przedtem nieraz dyskutowaliśmy z tatą o tym - czy Polak mógłby zostać papieżem? Na przykład kardynał Wyszyński, prymas Polski.

- Nie, to niemożliwe - mawiał tata i dodawał, że jest to od lat zarezerwowane dla Włochów.

A jednak stało się i szkoda że tata tego nie dożył. Za to my mieliśmy radość i satysfakcję, a do tego Schadenfreude¹³¹, bo oznaczało to problem dla partii i władz. Bo jak się teraz z tego wytłumaczą w Moskwie i w innych bratnich krajach?

W rok po swoim wyborze papież Jan Paweł II przyjechał do ojczyzny. Radość panowała wtedy w całym kraju. Ojciec Święty nie przyjechał do nas, spotkał się ze Ślązakami i Zagłębiakami w Częstochowie. Pojechałam do Krakowa, aby być na papieskiej mszy św. na Błoniach. Byłyśmy tam z Krystyną, moją krakowską koleżanką w wielkim tłumie ludzi, którzy mieli w rękach kwiaty i chorągiewki, a w oczach łzy wzruszenia. Dzwonił dzwon Zygmunta, a jego dźwięk łączył się z modlitwami i pieśniami.

- Kraków oszalał - pomyślałam patrząc na to. Ale ma rację, bo przecież ma Papieża! A my? No cóż, my tylko Dyjcymbra.

W telewizji pokazywano potem papieża tylko w otoczeniu kościelnych dostojników, a także księży, zakonników i zakonnice. W roku papieskiej wizyty mój brat niedowiarek, czy - jak mówiła mama - komunista zakochał się i do dzisiaj uznaje to za cud. W rok później w czerwcu 1980 ożenił się. A w sierpniu tego roku rozpoczęły się strajki. Byłyśmy wtedy z Teresą w NRD. Zwiedzałyśmy Spreewald, kiedy jeden starszy Niemiec podszedł do mnie i powiedział:

- Bei euch wird gestreikt¹³²!

Byłyśmy zaskoczone, ale pojechałyśmy jeszcze zwiedzić Lipsk i Dreźnie. Potem wróciłyśmy do domu, a granicę wkrótce zamknięto.

¹³¹ radość z cudzych problemów

¹³² U was strajkują

24. Po co wyście tam na Śląsku strajkowali?

Strajkowano na Wybrzeżu, w Gdańsku, Gdyni i w Szczecinie. U na Śląsku był spokój, ale niedługo potem zaczęły się strajki w kopalniach; Manifest Lipcowy, Borynia i w hucie Katowice.

Niektórzy twierdzili, że strajkowano tam gdzie głównie pracowali ludzie spoza Śląska, jako bardziej bojowi. Ale mało kto wiedział, że pierwszy wolny związek zawodowy powstał właśnie u nas, założony przez Kazimierza Świtonia. Strajkowano też na kopalni Wujek, znanej z późniejszych tragicznych wydarzeń.

Dzięki strajkom ludzie w Polsce mogli się w końcu dowiedzieć prawdy o Śląsku. Jeden z górników kopalni Wujek opowiadał potem na jednym z zebrań Solidarności:

- Pojechałem do Gdańska, aby zawieść pieniądze co ludzie u nas zbrali na pomnik. A oni do mnie: po co wyście tam na Śląsku strajkowali? Że niby nom było tak dobrze. Rąbnęło mnie to, ale miotek przy sobie pasek z ostatniej wypłaty. Toż im go pokozoł. I co? Wtedy oni zaczęli się śmiać, że yno tela za tako cienżko robota!

W strajkach górników i hutników chodziło jak wszędzie o pieniądze, bo przy wysokiej średniej płacy wyliczanej dla branży i województwa nie każdy dużo zarabiał. Ludzie mówili że były kominy i dołki. Ale chodziło także o zatrute powietrze, o ciężkie warunki pracy, no i o sprawiedliwość. Bo jeden nie dostał z kopalni pieniędzy na remont mieszkania, a drugiemu zrobili alejki do prywatnej daczki. Jeden mógł jechać na wczasy raz na trzy lata, a inny kiedy chciał. Chodziło też o wolne soboty i niedziele, o to żeby nie było czterobrygadówki. Hutnikom chodziło o to, że niszczały drogie urządzenia kupowane za dewizy, że praca była źle zorganizowana, że człowiek się namęczył, a zarobił mniej niż powinien.

A jednym i drugim chodziło, podobnie jak w całym kraju o powstanie wolnego, niezależnego od władz związku zawodowego, który mógłby skutecznie bronić interesów ludzi pracy. To było najtrudniejsze i wydawało się w socjalizmie nie do zrealizowania. Starano się ludzi do tego zniechęcić mówiąc:

- Przecież macie związek, który daje wam wczasy, organizuje kasę zapomogowo- pożyczkową, ziemniaki na zimę itp. To czego jeszcze chcecie? Próbowano też odwoływać się do tradycyjnej śląskiej pracowitości i dyscypliny. Mówili - wróćcie do pracy, a dostaniecie wszystko! Straszo-no też, że te działania mogą obrócić się przeciwko nim, ludziom pracy.

We wrześniu 1980 roku Edward Gierek zrzekł się władzy. Niedługo potem zarejestrowano Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”. Było to wielkie zwycięstwo i ludzie uwierzyli że teraz „wszystko mogą” w myśl hasła „solidarność dziś, sukces jutro”.

Na początek do kopalnianych cechowni wróciły święte Barbary, a do hut figury świętego Floriana. Święty Florian wrócił też do Hajduk, do Huty Batory. Figurę świętego poświęcono uroczysto w kościele Wniebowzięcia NMP przy udziale wielkiego tłumu ludzi. Wśród nich był i ówczesny dyrektor Huty, który pewnie przedtem bałby się wejść do kościoła, aby „nie podpaść”.

Potem w procesji ulicami Hajduk figurę świętego Floriana zaniesiono aż do bramy huty przy ulicy Żelaznej, gdzie ją postawiono. Po ponad 20 latach, w roku 1993 święty Florian został Dekretem Stolicy Apostolskiej ogłoszony patronem Chorzowa. A w maju rok później do Chorzowa przywieziono jego relikwie.

Potem pojawiły się znaczki z orłem w koronie i ambicją każdego było mieć taki znaczek i go nosić. Można było kupić książki dawniej zakazane, z tzw. drugiego obiegu, np. Gombrowicza, czy Kołakowskiego, wolną prasę, od „Wolnego Związkowca” po różne gazetki z powielacza. Ludzie zapisywali się masowo do Solidarności, w tym także partyjni. I Solidarność niedługo stała się organizacją masową, liczącą ponoć 10 milionów członków.

W Katowicach Solidarność dostała na siedzibę piękny stylowy budynek przy ulicy Stalmacha, jak na ironię blisko gmachu milicji. Ludzie zaczęli działać w Solidarności. Chcieli przede wszystkim rozliczyć dotychczasową władzę za niespełnione obietnice, rzekomo rozkradziony majątek, wielkie dolarowe długi. I kontrolować wszystko i wszystkich, aby nareszcie był porządek i sprawiedliwość.

Najbardziej widoczną akcją była chęć odebrania partii Dyjcymber Pałastu¹³³ i przekazania go Wielkiej Orkiestrze Symfonicznej Polskiego Radia i Telewizji. Na polecenie Zdzisława Grudnia zbudowano w Katowicach okazały budynek, który miał być partyjnym ośrodkiem szkolenia kadr kierowniczych. Mówiło się, że wyposażono go w najdroższe rzeczy, bo nawet fotele kupiono za dolary. A tymczasem najlepsza w kraju orkiestra symfoniczna, duma Śląska i Katowic grała w kiepskich warunkach, w gmachu gdzie kiedyś było pierwsze w mieście kino, wymagającym generalnego remontu.

W Katowicach było w ogóle kiepsko z placówkami kulturalnymi, bo w czasach polskiej władzy niczego w mieście dla kultury nie zbudowano. Za Gierka i Ziętka powstał w Katowicach „Spodek”, bo uważano, że do dużej hali przyjdzie więcej ludzi aniżeli do teatru. Był więc w Katowicach niewielki teatr, zbudowany na początku XX wieku, jeszcze w czasach cesarza Wilhelma. Filharmonia Śląska działała w zaadoptowanej dawnej restauracji - varietes. A na operę trzeba było jeździć do Bytomia, na operetkę do Gliwic. Solidarności udało się odebrać władzom nowy gmach i przekazać do Wielkiej Orkiestrze Symfonicznej. A po bilety na pierwszy koncert w „Dyjcymbrze” ludzie stali w długiej kolejce. Głównie po to, aby te rzekome „grudniowe” cuda zobaczyć na własne oczy.

¹³³ Pałac Grudniowy



Relikwiarz św. Floriana



*Sztandar „Solidarność”
Huty Batory*

Solidarność rozumiano głównie jako wolność, której przedtem nie było. Organizowano wiele demonstracji przeciwko władzy. Robiono to z różnych okazji, na przykład dla uwolnienia więźniów politycznych, czy przeciwko marnemu zaopatrzeniu w sklepach. Co chwilę wybuchały też strajki w zakładach pracy, czym potem tłumaczono dlaczego w sklepach niczego nie ma. Wolności tej towarzyszyła zarazem wielka niepewność - co będzie dalej? Bo nikt nie wierzył że partia tak po prostu odda władzę. Rozchodziły się wieści o przygotowaniach Armii Ludowej NRD i wojska w Czechosłowacji do zaprowadzenia u nas „porządku”. Mówiono też, że w razie czego to na pewno wejdą Ruscy.

W tej atmosferze ciotka Christa z Bytomia wyjeżdżała w końcu do Niemiec. Żegnaliśmy ją z mieszanymi uczuciami. Bo z jednej strony należało jej zazdrościć, że wyjeżdża z kraju, w którym wszystko się waliło. Ale z drugiej strony było nam żal. Bo przecież ciotka i jej rodzina była częścią naszego śląskiego świata. I nikt nie wiedział, czy i kiedy się znowu zobaczymy.

Niedługo potem wyjechała do Niemiec Ina, jedna z moich szkolnych koleżanek. Jechała w odwiedziny do brata, ale jak wiele innych nie miała zamiaru wrócić. Nam pozostałym w ojczyźnie po to, aby - jak mówiono - gasić światło czas upływał na zmaganiach, aby po pracy cokolwiek w sklepie kupić. A przy okazji wydać pieniądze, które z dnia na dzień traciły na wartości. Słuchało się też niespokojnych wieści jakie dochodziły z różnych stron.

W naszym instytucie powstała też Solidarność, bo nie wypadało inaczej. Podobnie jak w innych jednostkach badawczych zaczęliśmy działać, spotykać się na różnych zebraniach. Dyskutowaliśmy nieraz do wieczora jak zlikwidować tzw. feudalizm w nauce, służalczość naszych szefów wobec władz, ministerstw, komitetu partii, co prowadziło zwykle do nacisków, aby „dopasowywać” wyniki badań do „bieżących potrzeb”. Staraliśmy się być w stałym kontakcie dzwoniąc do siebie i skutecznie blokując przy tym telefony. Mogłam się więc dopiero dzień później dowiedzieć że 26 marca 1981 roku urodziła się moja bratanica Hania.



Figura św. Floriana na terenie Huty Batory. Obecnie znajduje się przy budynku dyrekcji

25. Krajobraz po bitwie

W dniu 13 grudnia 1981 roku, miało się odbyć poświęcenie dolnego kościoła na moim osiedlu. Wybierałam się na tę uroczystość nic nie wiedząc o „wojnie”, bo wcześniej nie włączałam radia ani telewizora. Idąc w stronę kościoła dostrzegłam dziwnie zdenerwowanych ludzi, którzy stali w grupkach przed rozlepionymi w wielu miejscach plakatami. Stan wojenny? Nie, to niemożliwe! Co teraz będzie? Co zrobi Solidarność?

W niewielkim, surowym jeszcze wnętrzu kościoła zebrały się tłumy. Zdezorientowani ludzie czekali na kazanie ks. biskupa Herberta Bednorza, który miał kościół poświęcić. A biskup Bednorz mówił o nadziei, o tym że trzeba Bogu dziękować za ten kościół, którego miało nie być. I o tym że nie trzeba się zrażać tym co jest, ale pracować dalej, bo przecież - pokazał na ściany - to jeszcze nie gotowe! No i trzeba dokończyć budowę kościoła górnego.

Po mszy św. ks. biskup wyszedł z kościoła i powiedział do muzykantów z górniczej orkiestry:

- Chłopcy, a zagrajcie coś jeszcze!

Nazajutrz zaczęły dochodzić wieści o internowaniu, zarówno ludzi z Solidarności, jak i tych z PZPR którzy ostatnio rządili, między innymi Edwarda Gierka. Przy okazji wykorzystywano sytuację aby ukarać tych, którzy się komuś ważnemu narazili. Tak internowano w Katowicach reżysera Kutza, a wieczorem tego samego dnia wyświetlano w telewizji jeden z jego śląskich filmów, bodajże „Sól ziemi czarnej”.

W zakładach w których ludzie strajkowali zaczęły się interwencje milicji i ZOMO. Spacyfikowano kopalnie Andaluzja, Manifest Lipcowy, Wujek, interweniowano w hutach Katowice i Baildon. 16 grudnia 1981 w kopalni Wujek od milicyjnych kul zginęło 9 górników.

Zgodnie z dekretem o stanie wojennym nie wolno było bez zezwolenia opuszczać swego miasta. Zakaz ten łamałam codziennie, bo choć mieszkalam i pracowałam w Katowicach, to musiałam iść na przystanek tramwajowy w Chorzowie. Podobnie - kiedy chciałam odwiedzić mamę, ciotki, czy pójść do koleżanek. Wysiadałam wtedy na granicznym przystanku w Katowicach i przechodziłam pieszo na przystanek w Chorzowie. Zresztą dekret o stanie wojennym łamały też dzieci chodzące na sanki z mojego osiedla do parku.

Potem rozpoczęło się smutne i beznadziejne życie. Mimo iż skończyły się strajki, w sklepach nadal trudno było cokolwiek kupić. Było wiele propagandy i dyskusji, a przy tym sporów i kłótni, bo nie wszyscy oceniali jednanokowo wprowadzenie stanu wojennego. Kto mógł, czekał na paczki z Niemiec lub z innych krajów i tym, którzy je dostawali mocno zazdrośczone. Ludzie zrobili się jakby pobożniejsi, chodzili częściej do kościoła śpiewając m.in. „Uczyń z nami cud”, słuchali pieśni i poezji patriotycz-

nej. W tym czasie modna stała się tzw. emigracja wewnętrzna, robienie „swojego”, zajęcie się własnymi sprawami. Postanowiłam wtedy zająć się pracą doktorską, którą zaczęłam pisać pod koniec lat siedemdziesiątych. Chodziłam do bibliotek, czytałam literaturę fachową, pisałam kolejne rozdziały. Wykorzystałam dzięki temu dobrze okres stanu wojennego i mogłam w roku 1984 obronić pracę doktorską. Zostałam doktorem nauk ekonomicznych, czyli takim co nie leczy. Dostałam jakąś niewielką podwyżkę pensji, awansowałam na adiunkta, ale najważniejsze było że mogłam wystąpić do spółdzielni o przydział większego mieszkania. A więc wyprowadzić się z mojej klotki czyli ajncli¹³⁴

Rok wcześniej papież Jan Paweł II przyjechał do Polski i tym razem odwiedził także Katowice. Na lotnisku Muchowiec stanął ogromny krzyż z kwiatów. Przywieziono też obraz Matki Boskiej z Piekar, przed którym modlił się król Jan III Sobieski jadąc w roku 1683 na bitwę pod Wiedeń. Teraz ta sama Matka Boska przysłała na spotkanie z polskim papieżem. Łało wtedy okropnie i lotnisko zmieniło się w jedno wielkie błoto. Ale przy radości ze spotkania z Ojcem Świętym nie miało to żadnego znaczenia. Po spotkaniu umoczeni patrzyliśmy długo w górę gdzie zniknął helikopter wiozący Jana Pawła II do Częstochowy. A potem wracaliśmy do domu tonąc po kostki w błocie.

Koniec epoki Gierka i propagandy sukcesu oraz śmierć górników Wujka rozwiąły mit o śląskim dobrobycie. Okazało się, że nie jest tu tak dobrze jak sądzono, lecz w wielu przypadkach gorzej niż gdzie indziej. Zaczęto o tym coraz głośniejsze mówić i pisać. Statystyki wskazywały że w województwie katowickim powstaje ponad połowa wszystkich krajowych odpadów przemysłowych. Że kilkakrotnie przekroczone są normy stężenia pyłu, fenolu i tlenku węgla. I wyższe są na Śląsku wskaźniki zachorowalności na nowotwory i choroby układu krążenia. Jest też ciasno, bo na niewielkim terenie (2% powierzchni kraju) mieszka prawie 10% Polaków. Trudniej jest więc zrobić zakupy, bo na jeden sklep przypada więcej ludzi niż gdzie indziej, dostać się do lekarza, czy nawet nadać list na pocztę. Bogaty Śląsk okazał się krainą trudnego, niezdrowego życia.



Z profesorem Melichem, promotorem mojej pracy doktorskiej

¹³⁴ mieszkanie jednopokojowe

26. Do Warszawy i do Niemiec

Dla Śląska który nadal wydobywał i produkował próbowano coś zrobić, aby uniknąć grożącej mu katastrofy ekologicznej. Podwyższono opłaty i kary dla przemysłu, który zatrzymywał powietrze i wody. Zakłady musiały więc płacić więcej za zanieczyszczenie środowiska, ale dalej robiły to samo. Potem wprowadzono zakaz lokalizacji inwestycji przemysłowych w aglomeracji katowickiej, które spowodowałyby wzrost zatrudnienia o ponad 200 osób. Zakaz ten dotyczył także aglomeracji gdańskiej i krakowskiej. Rzecz jednak w tym że nie dotyczył inwestycji związanych z wykorzystaniem miejscowych surowców. Można więc było nadal budować kopalnie, co też robiono bo węgla stało się mało.

Województwo katowickie miało dostać oczyszczalnie ścieków, a także inwestycje zapewniające mieszkańcom wodę oraz usprawniające komunikację. Zaczęto coś robić dla Śląska ale potrzeba było dużo więcej. Potrzebne były nowe mieszkania, bo ludzie nadal przyjeżdżali na Śląsk do pracy, ale i remonty starych domów zniszczonych przez szkody górnicze, naprawy dróg uszkodzonych przez nadmierny ruch i transport, także szpitale, szkoły, biblioteki. Miał temu zaradzić premier ze Śląska.

Został nim w roku 1986 człowiek z Katowic profesor Zbigniew Messner, który przerwał trwające od roku 1981 rządy Wojciecha Jaruzelskiego. Profesor Messner był pierwszym w PRL premierem-ekonomistą. Do tego naukowcem i praktykiem, bo był wykładowcą i rektorem Akademii Ekonomicznej w Katowicach, a także Przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Narodowej i Pierwszym Sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Była więc szansa że wprowadzi jakieś zmiany w gospodarce kraju, a przy tym zrobi coś dla Śląska, bo przecież znał dobrze jego problemy.

Tworząc rząd profesor Messner powołał na niektóre stanowiska ministrów ludzi od nas. Ministrem resortu ochrony środowiska, na którego działanie bardzo liczone został profesor Stefan Jarzębski, bezpartyjny fachowiec, dyrektor Instytutu Podstaw Inżynierii Środowiska w Zabrze. Wicepremierem został Zbigniew Szałajda, pracujący od roku 1956 w śląskim hutnictwie, ostatnio dyrektor huty Katowice. A ministrem handlu - Jerzy Jóźwiak, chorzowianin, absolwent mojego liceum z ulicy Farnej, działacz Stronnictwa Demokratycznego i były wicewojewoda katowicki. Z premierem Messnerem poszli do Warszawy też inni, w tym mój brat i dwóch jego kolegów. - Tata by się ucieszył! - pomyślałam. Bo oznaczało to dla brata awans i lepsze możliwości zawodowego rozwoju.

Ja też się cieszyłam, licząc przy tym, że być może naprawdę pomogą Śląskowi, chociaż z drugiej strony martwiło mnie że nas, prawdziwych Ślązaków jest tu coraz mniej. Mama też się martwiła, bo jej ukochana wnuczka Hania wyjeżdżała tak daleko.

Z najbliższej rodziny zostałyśmy tylko we trójkę: mama, jej siostra Hela i ja. Były też ciocie, siostry mojej pierwszej mamy oraz kuzynki z rodzinami. W Hajdukach mieszkała jeszcze ciocia Hela, siostra taty, a na osiedlu Tysiąclecia w bloku obok mnie kuzynka Zyta z rodziną. Parę lat wcześniej poszła z Hajduk do Warszawy Beata, córka mojego ojca chrzestnego. A właściwie - jak mówili niektórzy - siostra przyrodnia, bo ona nazywała się Dziura, a ja Loch... Beata została zakonnicą - franciszkanką w podwarszawskich Laskach, gdzie były już dwie dziewczyny od nas ze Śląska.

Wyjazdy ze Śląska, głównie do Niemiec, zapoczątkowane w latach siedemdziesiątych trwały nadal, bo korzystano z możliwości i ułatwień jakie stworzono tam swoim dawnym obywatelom i ich potomkom. Nie wracano z odwiedzin w rodziny, z wycieczek, ze służbowych wyjazdów, nawet z pielgrzymek do Ojca Świętego. Wyjeżdżali nawet tacy którzy przedtem nienawidzili Niemców, walczyli z nimi, powstańcy śląscy, ich dzieci czy wnuki. Mówiło się więc - że niedługo pozostanie tylko Pomnik Powstańców w Katowicach...Albo - że Niemcy już budują u siebie Annaberg, czyli Górę św. Anny, aby powstańcy śląscy mieli gdzie powalczyć...

Niedługo potem wyjechał do Niemiec mąż kuzynki i jak wielu innych nie wrócił. Trochę później wyjechała ona, a za nią syn Leszek z rodziną. Parę lat za nimi wyjechała do Niemiec ciocia Hela, której rodzice, a moje starzyki przyjechały z Niemiec do Polski w roku 1922.

Cioci Heli żyło się w Niemczech lepiej, bo miała większe, ładniejsze mieszkanie, ale do końca życia tęskniła za Hajdukami, za sąsiadkami z Biadacza, za żurem i plackami. Kuzynka Zyta mieszka teraz w westfalskim Bottrop. Jej mąż Marian nazywa się Werner, jak kiedyś zanim zmieniono mu imię na polskie. Ich syn Leszek to teraz Johann. Pewnie tak było dla Niemców łatwiej. A Zyta to po prostu Cita.

Wyjeżdżali też sekretarze partii, którzy kiedyś na zebraniach głosili antyniemieckie hasła, czy też kazali chcącym wyjechać do Vaterlandu¹³⁵ zwalniać się z pracy. Wyjechało wiele moich koleżanek i kolegów z hajduckiego liceum: Gizela, Juta, Stefa, Ina, Herbert, Marian, Arnold, Norbert i pewnie inni o których nie wiem. Także moja Wilymka „z ławki”. Dyrektor Stebelski przewraca się w grobie - pomyślałam. Bo on zawsze chciał, abyśmy byli Polakami.

Wilymka, teraz Marie Heiduk, opowiadała po latach, jak po wielu odmowach wyjeżdżała z Polski zimą „maluchem”, który zepsuł się zaraz po przekroczeniu granicy. I o tym jak niełatwo jej było zacząć w Niemczech nowe życie, jak uparcie walczyła aby mogła być tam jak w Polsce nauczycielką. Zresztą innym też nie było łatwo. Mieszkają w większości w Westfalii, gdzie już kiedyś Ślązacy emigrowali za pracą, bo tam zarabiano się więcej. Dlatego w Westfalii - jak mówią Niemcy większość mieszkańców na jakieś polskie korzenie.

¹³⁵ ojczyzna

27. Do Świętej Anny

Do Niemiec wyjeżdżali też z Żędowic, które na mapach z roku 1937 były nadal niemieckie. Wdowy po żołnierzach Wehrmachtu jeździły do sanatoriów. Mocno już starsze, schorowane kobiety musiały mieć często na podróż byglajtra¹³⁶ i zostanie kimś takim było rzeczą wielce pożądaną. Dostawało się za to od Niemców marki i było to często więcej niż wynosił w Polsce miesięczny zarobek. Rozmowy w Żędowicach były więc zwykle o tym kto wyjechał, ile przywiózł marek i co za to zrobi. Albo - kto pojechał na byzuch¹³⁷ i nie przyjechał nazod¹³⁸. Do tego na każdym fajerze¹³⁹ grano niemieckie szlagry¹⁴⁰ z przywiezionych kaset.

Męczyło mnie to bardzo i nawet przestawałam lubić swoje Żędowice, bo widziałam, że ponad wszystko cenią pieniądze oraz możliwość dobrego życia. Chociaż z drugiej strony - Polacy zawsze dawali nam odczuć, że tak naprawdę to nie jesteśmy „swoi”. A jak już jesteśmy Polakami to winniśmy to nieustannie udowadniać! Zresztą podobnie robili Niemcy. Jedna z kuzynek starzyka, Antonia, wdowa po niemieckim żołnierzu też jeździła do niemieckich sanatoriów. Opowiadała potem, że jakaś Niemka słysząc jak mówi powiedziała:

- Sie sind doch keine Deutsche!¹⁴¹

Ciotkę to zabolalo, bo przecież jej mąż zginął za Niemcy. Spytała więc rozżalona nas i samą siebie:

- To do kogo my tak richtig¹⁴² należymy?

Odpowiedziałam jej, że my Ślązacy należymy do Pana Boga. I do siebie samych.

W Żędowicach na szczęście nie zapominano o pielgrzymce do Świętej Anny. Chodzili tam od lat. Nie na Górę Świętej Anny - jak ich nieraz poprawiano, ale do Świętej Anny. Bo Ona wprawdzie - jak śpiewano w pieśni „jest wszystkich matką”, ale przede wszystkim Najświętszej Panny, a zaraz potem Ślązaków. Do Świętej Anny Żędowianie chodzili od roku 1886, to jest za cesarza Wilusia, w czasie I wojny i powstań, za Hitlera, a potem też już w Polsce. Bo zawsze było o co świętą prosić, przed nią się wyzalic i podziękować za dobre.

W roku 1986 Żędowianie szli do Świętej Anny po raz setny i wtedy wybrałam się z nimi i ja. Szłam razem z Magdą, Krystą, córkami kuzynki i kuzyna mamy. Szedł też Janek, zięć ciotki Anny z córką Sabiną, znajome

¹³⁶ opiekun

¹³⁷ odwiedziny

¹³⁸ z powrotem

¹³⁹ uroczystość

¹⁴⁰ znane melodie, hity

¹⁴¹ przecież pani nie jest żadną Niemką!

¹⁴² naprawdę

i znajomi z moich dawnych wakacji. Po drodze okazało się, że w pielgrzymce idzie wiele ludzi z Kielczy, z Zawadzkiego, z Krupskiego Młyna, Tworoga. A także z dalszych stron, z Namysłowa, Bytomia, Tarnowskich Gór, no i ja z Katowic.

Tradycyjnie Żędowanie idą do Świętej Anny z kryką, czyli z łaską. Słuchamy ona oprócz możliwości podpierania się także do wybijania rytmu śpiewanych pieśni. Idzie się też w tradycyjnym porządku. Najpierw krzyż, za nim orkiestra, potem mężczyźni. Za mężczyznami idzie ksiądz, za nim dzieci, a na końcu kobiety. Wychodzących do Świętej Anny żegna prawie cała wieś, choć niektórzy potem tam dojadą, przynajmniej na piękną procesję ze świecami.

Droga prowadziła przez Barut, Jemielnicę, Szczepanek. Zgodnie z tradycją ci którzy szli pierwszy raz musieli obejść trzy razy każdy przydrożny krzyż i pomodlić się za zmarłych. W Strzelcach Opolskich po 14 km marszu był odpoczynek, bo zaczęły już boleć nogi i niektórym zrobiły się blazy¹⁴³. Za Strzelcami zaczynał się już lekko pagórkowaty teren, a w Porębie trzeba było podejść pod górę. Na górze przed kościołem Żędowanie zaczęli śpiewać głośniej i trzaskać krykami, tak aby franciszkanie wiedzieli, że „kryki przyszły”.

W Świętej Annie byliśmy dwa dni. W tym czasie odbyła się 8 godzinna Droga Krzyżowa z przejściem przez Cedron i odpoczynkiem u Piłata, procesja z Matką Bożą zmarłą, a potem żywą Wniebowziętą, na koniec procesja ze świecami. Był też czas spotkań ze znajomymi i pięknego „bycia u siebie”. W Świętej Annie nikt nie zakładał nachalnie medalików, nie wtykał obrazków. A co chwilę słyszało się „witom Was piyknie w Świętej Annie”. A ci co się spotkali szli na kawę i kołocz do kawiarenki na rynku.

Mogło by się wydawać, że Góra poprzez powstania podzieliła Ślązaków. Bo tu walczyli, jedni po niemieckiej, drudzy po polskiej stronie. Niemcy zbudowali tu amfiteatr, na którym odbywały się faszystowskie wiece, wzniesli też pomnik „swoim” powstańcom. Był tu obóz na którym szkolono dywersantów przeciwko Polsce, potem w czasie wojny obóz pracy dla Polaków, Rosjan i Żydów. Polacy postawili tu pomnik polskim powstańcom i czasem organizują patriotyczne manifestacje. Ale dla Ślązaków Góra Świętej Anny jest przede wszystkim górą modlitwy. Dlatego właśnie tutaj arcybiskup opolski Alfons Nossol zapoczątkował odprawianie mszy św. po niemiecku dla tych, dla których jest to język serca.

Była to prawdziwa rewolucja, bo według oficjalnej propagandy Niemców w Polsce nie było. Dla niektórych stanowiło to sygnał, że próbuje się wskrzeszać niemiecki rewizjonizm. Stąd w wielu miejscach pojawiły się napisy: Nossol raus!¹⁴⁴ Pochodzący z Brozca koło Krapkowic arcybiskup

¹⁴³ pęcherze

¹⁴⁴ Nossol wynoś się!

powiedział księdzu Szymikowi w wywiadzie¹⁴⁵, że w domu rozmawiał z rodzicami i z rodzeństwem po śląsku aż do lat czterdziestych. Widać Niemcy uznali to za mówienie po polsku, bo kiedy w czasie wojny rozmawiał z kolegami w szkole po śląsku to ktoś doniósł gdzie trzeba. I ojcu zagrożono wtedy konsekwencjami jeżeli dzieci nie będą mówiły po niemiecku. Byliśmy wtedy zmuszeni, ja i moje rodzeństwo- powiedział arcybiskup - nauczyć się modlitw i katechizmu po niemiecku.

Pewnie dlatego rozumiał lepiej niż inni tych, którzy potem musieli modlić się i spowiadać po polsku. Arcybiskup Nossol - jak mówił - chodził tylko półtora roku do polskiej szkoły podstawowej. Nie przeszkodziło mu to potem zostać polskim księdzem i biskupem, do tego profesorem Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie i członkiem Papieskiej Rady do Spraw Jedności Chrześcijan. Zajął się też sprawą ekumenizmu, pojednaniem katolików z protestantami, a także Polaków z Niemcami. Arcybiskup zrobił też wiele dla rodzinnej ziemi. Bez niego nie byłoby prawdopodobnie uniwersytetu w Opolu, czy pięknie odrestaurowanego zamku w Kamieniu Śląskim, gdzie urodził się św. Jacek.

Niemiecki nie jest językiem mojego serca. Ale w jedną z sierpniowych niedziel pojechałam z ciotką Helą i jej kuzynką Bronią do Świętej Anny na mszę św. po niemiecku. Byłam ciekawa kto tam przyjdzie? W kościele zebrało się dużo ludzi. Pewnie przyszli z ciekawości jak ja - pomyślałam. Bo po latach urzędowej polonizacji na Śląsku niemiecki mógł być językiem serca już tylko dla ludzi starszych, na przykład moich ciotek czy wujków.

Faktycznie gdyby nie teksty przygotowane przez franciszkanów trudno byłoby modlić się i śpiewać po niemiecku, odmawiać Vater Unser, czyli Ojczy Nasz. Ale ludzie wychodzili z kościoła zadowoleni i uśmiechnięci. Wielu z nich jak my przyjechało z daleka i mówili, że znowu przyjadą. Od początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy powstała oficjalnie mniejszość niemiecka msze święte po niemiecku mogą być odprawiane w każdej parafii.

¹⁴⁵ Być dla, czyli myśleć sercem. Z Księdzem Biskupem Alfonsem Nossolem rozmawia ksiądz Jerzy Szymik. Księgarnia św.Jacka. Katowice 1999

28. Związek Górnośląski

Oficjalnie socjalizm skończył się w Polsce 4 czerwca 1989 wraz z pierwszymi po wojnie wolnymi wyborami do Sejmu i Senatu. Minęło wtedy pół wieku od wybuchu II wojny światowej, co przypomniało mi proroctwa babci. Ale już wcześniej było widać, że socjalizm się kończy. W grudniu 1988 Sejm przyjął ustawę o działalności gospodarczej. Wraz z nią socjalizm skończył się w gospodarce, bo przedsiębiorstwa stały się samodzielne. Mogły teraz decydować co wyprodukują, ile wydają na płace pracowników, a ile na inwestycje i dalszy rozwój. Przyjęto też zasadę jednakowego traktowania przedsiębiorstw: państwowych, spółdzielczych i prywatnych, bo dotąd te pierwsze były lepiej traktowane.

Pamiętam, że opracowywaliśmy wtedy różne koncepcje, projekty zmian, usprawnień, zlecane nam przez ministerstwa, które miały pomóc w dostosowaniu dotychczasowej praktyki do nowych czasów. A zaczęły się widoczne zmiany.

Zaczęły powstawać firmy prywatne. Wyliczono, że powstało ich wtedy milion, w tym słynne firmy polonijne. Widoczne stało się też tzw. spółkowanie, czyli tworzenie spółek w oparciu o państwowy majątek i prywatne pieniądze. Tworzyli je najczęściej ludzie zajmujący czołowe stanowiska w przemyśle, administracji państwowej, oraz w aparacie partyjnym. Spółki te zwano nomenklaturowymi, bo dzisiejsza nomenklatura, oficjalni komuniści stawiali się kapitalistami.

Niby były zmiany i szło ku lepszemu, ale socjalistycznej władzy już nie wierzono. Zaczęły się znowu strajki. Zastrajkowano w Stoczni Gdańskiej i w hucie im. Lenina, a także w naszych śląskich kopalniach, w Jastrzębiu i w Piekarach Śląskich.

Ale w roku 1989 Ślązacy nie tylko strajkowali. Któregoś dnia przeczytałam w „Gościu Niedzielnym” że powstaje „Związek Górnośląski”, organizacja, która będzie bronić wartości kulturalnych i cywilizacyjnych Górnego Śląska, powstałych na gruncie chrześcijańskim i dążyć w oparciu o nie do integracji społecznej regionu. To już było naprawdę coś nowego. Ślązacy nie byli jednak pierwsi, bo przedtem powstało już Zrzeszenie Kaszubsko - Pomorskie, oraz Unia Wielkopolan. W „Gościu” zapraszano na zebranie Związku i postanowiłam pójść, bo sprawa wydawała się interesująca.

Na zebranie przyszło tyle ludzi, że zabrakło krzeseł i wielu przybyłych musiało stać. Pamiętam, że było głośno i burzliwie, bo ludzie poczuli, że są u siebie i nie krępowali się pytać, oraz mówić co myślą. Spytano najpierw kto może należeć do Związku? Okazało się że może należeć każdy kto czuje się związany z Górnym Śląskiem i traktuje go jako swoje miejsce na ziemi. A więc zarówno „pnioki”, ludzie co żyją tu „od zawsze”, jak

i „krzoki”, którzy tu przyjechali, żyją i zapuścili korzenie. Bo są jeszcze „ptoki”, ale te przyleciały, skorzystały z czego się dało i poleciały... To się wielu nie spodobało. Jak to? To gorole tyż mogą należeć? Ci co przynieśli na Śląsk wszelakie niedole? Zaczęła się dyskusja i organizatorzy przekonywali że tak musi być. Bo ma być demokracja i ludzi nie można dzielić. Słuchałam tego i pomyślałam że moja św. pamięci babcia powiedziała by teraz: ja gorol, ale porządny człowiek! A według niej to był ktoś kto uczciwie pracował, porządnie żył i nie wywyższał się. Nie krytykował wszystkiego co śląskie.

Zresztą tak na dobrą sprawę to niezupełnie było wiadomo kto jest gorolem? Czy ten kto nie urodził się na Śląsku? A jak się urodził, ale miał rodziców goroli, albo jednego z nich? Czy wtedy bydzie gorolem, albo basztardem? Czy też krojokiem?

Pan Jezus w Ewangelii św. Mateusza powiedział, aby nie wyrwać kąkolu, ale pozwolić mu rosnąć z pszenicą aż do żniwa. A na Śląsku pszenica z kąkolem, czyli Ślązacy z gorolami byli i są wymieszani. A często jeszcze nie wiadomo kto jest lepszy .

Bo przecież było i jest wiele goroli, którzy po latach życia tutaj czują się Ślązakami i często wiele dla śląskiej ziemi zrobili. Bo na przykład - czy można by nie przyjąć do Związku Górnośląskiego Wojciecha Kilara,



Działacze i sympatycy Związku Górnośląskiego co roku spotykają się na imprezie „Śląskie Gody”. Nieodłączną częścią majowych uroczystości jest msza św. w kościele św. Józefa Robotnika w chorzowskim Skansenie

urodzonego we Lwowie, który swoją muzyką rozślawił Katowice i Śląsk? Albo Wiesława Głowacza, autora interesujących filmów o Śląsku, ale urodzonego w Przemyślu? Czy też mojej warszawskiej koleżanki Eli, która naprawdę kocha Katowice gdzie przeżyła wiele lat? A z drugiej strony - są Ślązacy, nawet z moich Hajduk, którzy po zdobyciu wykształcenia przestali czuć się ludźmi stąd. Bo nie byli już, w swoim odczuciu tak prości i nieobcy...

Na kolejnych zebraniach Związku Górnośląskiego ludzi było już mniej, bo tworzyły się koła w innych dzielnicach Katowic zwykle przy parafiach. Podobnie było w Chorzowie, a niektóre z kół Związku przybrały tradycyjnie nazwy jak Królewska Huta, Chorzów Stary, czy Hajduki Wielkie. A niektórych sprawa po prostu przestała interesować. Bo tak naprawdę nikt nie wiedział, co Związek ma konkretnie robić? Wiadomo było że ma być śląski i polski. Ale czy miał włączyć się w politykę dla ratowania Śląska od cywilizacyjnej i społecznej zapaści? Jeśli tak to w jaki sposób?

Czy też tylko pielęgnować śląskie tradycje: gwara, wspólne śpiewanie, spotkania w ogródku w laubie¹⁴⁶, picie piwa pod krupnioka? Związek Górnośląski próbował robić jedno i drugie, ale efekty sięgania do śląskiej tradycji okazały się większe i trwalsze.

¹⁴⁶ altana

29. Zjednoczone Niemcy i Rzeczpospolita Polska

W dniu 24 sierpnia 1989 roku Sejm powołał Tadeusza Mazowieckiego na pierwszego po wojnie nie socjalistycznego premiera. O Mazowieckim wiedziałam że działał w PAX-ie, organizacji skupiającej katolików, którzy akceptowali nowy, socjalistyczny ustrój, potem w Klubie Inteligencji Katolickiej. W roku 1980 został ekspertem Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Gdańsku i doradcą NSZZ Solidarność.

Podobnie jak inni opozycjoniści Mazowiecki jeździł w latach osiemdziesiątych po kraju z odczytami i któregoś dnia przyjechał też do Bytomia, gdzie w kościele św. Trójcy miał spotkanie. Przed wyborem na premiera miałam okazję spotkać Tadeusza Mazowieckiego w podwarszawskich Laskach. Pojechałam tam odwiedzić mamę, która jako osoba tracąca wzrok była w Laskach na rekolekcjach wraz z grupą osób niewidomych i słabo widzących z Chorzowa. Chciałam też odwiedzić siostrę Paulinę, czyli Beatę Dziurę z Hajduk.

Siedziałam z mamą i z innymi paniami przed domem rekolekcyjnym kiedy przyleciała jedna z sióstr mówiąc:

- Moje panie zaraz będzie schodził premier. Narwijcie kwiatów i przywitajcie go godnie. Zobaczycie, teraz będzie już w Polsce dobrze. Bo On katolik!

Zdumione zaczęłyśmy szybko zrywać kwiaty rosnące na klombach i układać je w bukiety. Spoglądałyśmy też z ciekawością w górę, skąd miał zejść Tadeusz Mazowiecki. Po chwili zszedł, wstąpił na chwilę do kaplicy i wyszedł na zewnątrz. Wręczyłyśmy mu nasze kwiaty i chyba jako pierwsze złożyłyśmy życzenia. Podziękował i poszedł udzielać swego pierwszego wywiadu.

Niedługo potem premier Mazowiecki spotkał się z kanclerzem Niemiec Helmutem Kohlem w Krzyżowej. Było to w niedzielę 12 listopada 1989 roku. W Krzyżowej na Dolnym Śląsku zbierali się w czasie wojny niemieccy przeciwnicy Hitlera pod wodzą Helmuta Jamesa von Moltke. I tutaj odbyła się polsko – niemiecka msza św. na którą przyszło wiele ludzi. Byli Polacy i przedstawiciele mniejszości niemieckiej, którzy na transparentach witali Kohla jako swego kanclerza. Arcybiskup Alfons Nossol i zebrani księża modlili się po polsku i po niemiecku, podobnie ludzie uczestniczący we mszy św. Na mszalne wezwanie: „przekażcie sobie znak pokoju!” potężny kanclerz Niemiec objął naszego niewysokiego premiera Mazowieckiego. I obaj politycy wymienili pocałunek pokoju.

- Jak można całować Niemca! – usłyszałam nazajutrz od jednej z sąsiadek.

Sąsiadka mówiła dalej, że Niemcy zrobili nam tyle złego, a teraz - zobaczy pani – zażądają zwrotu domów, gospodarstw i nie wiadomo jeszcze czego na swoich dawnych terenach. Większość oczekiwała jednak,

że Niemcy nam pomogą, przyjdą z kapitałem, bo przecież dzięki naszej Solidarności mogli się znowu zjednoczyć. Chociaż – czy nas przy okazji nie wykupią. Niemcy się jednoczyły, a ja w grudniu 1989 jechałam do Lünen do Iny na Święta Bożego Narodzenia. Autobus był zatłoczony, bagażnik załadowany wielkimi i ciężkimi walizami. W tyle autobusu były pierzyny, skrzynie i inne, różne pakunki. Wyglądało wyraźnie, że część ludzi jedzie tylko „w jedną stronę”, albo wiezie dobytek tym co wcześniej uciekli. Jechaliśmy długo, bo kierowca zajeżdżał po drodze pod lagry, do których w grudniowych ciemnościach i zimnie podążały całe rodziny, często z małymi dziećmi. Ludzie nadal chcieli być w Niemczech, bo pewnie nie wierzyli że w Polsce może być dobrze, choć przecież socjalizm się skończył.

Lünen było niewielkim miastem w Westfalii, położonym niedaleko Dortmundu. Była tam huta, ale nie czuło się jej jak w Hajdukach, nie było znanego brudu i zapylenia. Miasto było zadbane, ze stylowymi domami nad rzeką Lippe i uroczą starówką, gdzie policjanci jeździli na koniach. Musiałam jak każdy Polak podziwiać pełne sklepy i kaufhauzy¹⁴⁷, odbywające się jak co roku w grudniu weinachtsmarkty¹⁴⁸, pełne świateł i różnych błyskotek, gdzie ludzie kupowali świąteczne gyszynki¹⁴⁹, jedli Bockwurst¹⁵⁰ i pili Glühwein¹⁵¹. A także pięknie urządzone mieszkania, no i czystość oraz porządek na ulicach.

Wtedy właśnie burzono berliński mur i Niemcy się jednoczyły. Pamiętałam zasieki wokół Bramy Brandenburskiej w Berlinie, stojących wokół niej żołnierzy Armii Ludowej NRD, a także mur przebiegający w różnych częściach miasta. Teraz oglądałyśmy z Iną w telewizji wzruszonych ludzi, którzy stali przy tej bramie, wiwatowali, całowali się i pili szampana. My też piłyśmy, a Ina mówiła:

- Patrz, po tylu latach Niemcy znowu razem!

Podobnie mówił ksiądz w kościele na niedzielnym kazaniu:

- Wir sind ein Volk!¹⁵²

Pomyślałam sobie, że dla nas też wiele się zmieni. Bo będziemy mieli nie dwóch, ale jednego niemieckiego sąsiada.

W niemieckiej telewizji były również wieści z Polski. Usłyszałam, że nie ma już Polski Ludowej, lecz jest Rzeczpospolita Polska. A nasz biały orzeł dostał koronę. Patrząc potem na wspaniałe zaopatrzone niemieckie sklepy zastanawiałam się, czy teraz będzie też tak u nas? Ale na razie robiłam zakupy za otrzymane od miasta Lünen 100 marek, tzw. Begrüs-

¹⁴⁷ domy towarowe

¹⁴⁸ jarmarki bożonarodzeniowe

¹⁴⁹ prezenty

¹⁵⁰ kiełbasa parówkowa

¹⁵¹ grzane wino

¹⁵² jesteśmy jednym narodem

sungsgeld¹⁵³, który wypłacano ludziom przyjeżdżającym w odwiedziny. Była to wtedy równowartość mojej miesięcznej pensji.

W styczniu 1990 wracałam do kraju. Po przejechaniu Helmstedt, dawnej granicy z NRD w autobusie zaczęło trząść, bo drogi były już podobne jak u nas. W Polsce sklepy nie były już tak puste jak przedtem, ale ceny znacznie wyższe. Węgiel i gaz podrożały czterokrotnie, prąd elektryczny - trzykrotnie. Pomyślałam, że teraz będziemy oszczędzać energię jak w Niemczech.

Wróciłam do pracy i niedługo potem podwyższono nam pensje. Zaczęłam zarabiać jeden milion złotych. Brzmiało to niesamowicie, ale ceny były w tysiącach złotych i pieniędzy z miliona niewiele zostawało. Zaczęła się reforma gospodarcza, której podjął się Leszek Balcerowicz, wicepremier i minister finansów w rządzie Mazowieckiego.

¹⁵³ pieniądze na powitanie

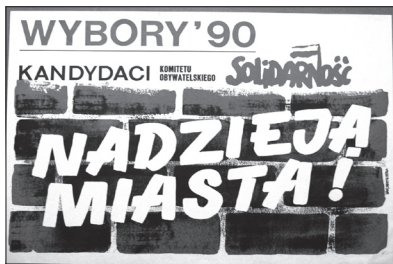
30. Ślązakom zachciewa się autonomii

Reforma Balcerowicza miała stworzyć warunki dla prywatyzacji, co oznaczało likwidację przedsiębiorstw państwowych, lub zmniejszenie ich liczby. Nie sprzyjało to Śląskowi, gdzie było wiele dużych państwowych przedsiębiorstw. Kopalnie, huty i inne przedsiębiorstwa którym dotąd wiodło się dobrze zaczęły mieć trudności. Okazało się że ich produktu są potrzebne w ilościach mniejszych, lub w ogóle niepotrzebne. Ograniczano więc produkcję, co z jednej strony wpływało korzystnie na środowisko, gdyż zmniejszała się emisja gazów i pyłów. Ale z drugiej strony zakłady miały coraz mniejsze dochody i coraz mniej pieniędzy na płace pracowników, inwestycje i inne wydatki.

Duże zakłady państwowe próbowały reformę przeczekać, wierząc że po pewnym czasie będzie jak dawniej. Protestowały więc i żądały podwyżek płac. Wtedy w lipcu 1990 roku padło po raz pierwszy hasło: że Balcerowicz musi odejść!

Życie na Śląsku było trudne i Ślązacy chcieli to zmienić. Nie wierząc już w pomoc Warszawy postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. Utworzyli po istniejącym już Związku Górnośląskim dwie kolejne organizacje: Ruch Autonomii Śląska oraz Towarzystwo Społeczno - Kulturalne Ludności Pochodzenia Niemieckiego, zwane potocznie mniejszością niemiecką. Organizacja mniejszości niemieckiej powstała też w województwie opolskim.

Obie organizacje miały wyraźnie określone cele. Celem Ruchu Autonomii Śląska było działanie na rzecz przywrócenia autonomii, jaką ówczesne województwo śląskie miało w II Rzeczypospolitej. Autonomia zapewniała przedwojennemu województwu śląskiemu dużą samodzielność i niezależność. Miało ono własny Sejm i Skarb Śląski, a rządowi w Warszawie podlegało tylko w sprawach obronności i polityki zagranicznej. Przedwojenne województwo śląskie przekazywało do Warszawy tylko część własnych dochodów z podatków i opłat (podobno 10%), a resztę przeznaczało na własne potrzeby. Autonomię śląską próbowano potem ograniczać, a zlikwidowano ją zupełnie w okresie okupacji. W roku 1945 autonomia śląska została zniesiona, ponoć po to aby Śląsk w pełni zintegrować z Polską. W jej przywróceniu widziano szansę na rozwiązanie problemów regionu, zatrzymanie wypracowanych pieniędzy i przeznaczenie ich na własne potrzeby, ograniczenie - jak mówiono wyzysku Śląska przez Warszawę.



Przedwyborczy plakat z 1990 roku autorstwa chorzowskiego artysty Jana Herli

Organizacja mniejszości niemieckiej miała pokazać, że wbrew oficjalnej propagandzie są Niemcy w Polsce i na Śląsku i nie mają zamiaru dłużej tego faktu ukrywać. Nowo ujawnieni Niemcy chcieli prawa do mówienia w ojczystym języku, nie tylko w domu, ale i w urzędach, niemieckich szkoł, przedszkoli, gazet, własnych audycji w radio i w telewizji, możliwości pielęgnowania własnej tradycji i kultury.

Nie wierzyłam w przywrócenie przedwojennej, śląskiej autonomii, ani w przyznanie dopiero co ujawnionym Niemcom oczekiwanych przez nich praw. Ale patrzyłam na obie organizacje z ciekawością i sympatią, wierząc że być może zdołają coś na Śląsku zmienić, że pomogą odzyskać Ślązakom własną tożsamość.

Powstanie tych organizacji wywołało zdziwienie, a niekiedy oburzenie i sprzeciw. A także powrót opinii o Ślązakach - Niemcach i o tym, że znowu zachciewa im się autonomii... Przodował w tym KPN i Polski Związek Zachodni.

Moja krakowska koleżanka także mnie spytała, czy chcemy odłączyć się od Polski? Przekonywałam ją, że nie, ale widziałam że mi nie wierzy, bo spytała - czego w takim razie chcemy? Powiedziałam jej, że przez lata Śląsk pracował dla Polski, więc teraz oczekujemy od niej pomocy, pieniędzy na inwestycje. No i mniejszej podległości, wyzysku ze strony Warszawy. Samodzielności i tego, żeby nam pozwolono być sobą. Usłyszałam od niej, że przecież Kraków też jest wykorzystywany...

Tak nie lubiany w kraju śląski separatyzm paradoksalnie posłużył innym. Bo wskazał, że wszystkim regionom potrzeba samodzielności i samorządności. W maju 1990 roku odbyły się w kraju wybory samorządowe, a wojewodą katowickim został Ślązak Wojciech Czech.

Wojewoda Czech był zwolennikiem utworzenia Euroregionu Śląskiego. Powrócił więc temat zintegrowania Górnego Śląska, czy też Śląska w ogóle. Pojawiły się mapy z dawnych czasów, wskazujące jak wielki był kiedyś Śląsk, sięgający od niemieckiego Görlitz, gdzie jeszcze dzisiaj jest Schlesisches Museum, czyli Muzeum Śląskie do czeskiej Opawy, miejsca gdzie żyło kiedyś śląskie plemię Gołęczyców. W Opawie jest Slezska Univerzita, a także Slezske Divadlo i Slezske Museum, czyli podobnie jak w Katowicach - Śląski Uniwersytet, Teatr Śląski, Muzeum Śląskie.

Mówiło się że taki Śląsk mógłby być nawet samodzielnym państwem. Wtedy niektórzy gorole byli wyraźnie zaniepokojeni i pytali: a co z nimi będzie? Odpowiadaliśmy z powagą, że jak się będą dobrze sprawować to być może dostaną śląskie obywatelstwo!

W tej atmosferze odbył się Pierwszy Kongres Związku Górnośląskiego na Górze Świętej Anny. Pojechałam tam aby posłuchać co dalej będzie z nami Ślązakami i spotkać się ze swoimi. Było wtedy wiele radosnych,

budujących słów o tym że udało nam się spotkać po latach, ale i o tym co dalej z pięknie zapoczątkowaną śląską sprawą? Była mowa o potrzebie” wchodzenia w politykę”, a także o obowiązku pielęgnowania tego co zostawili nam przodkowie.

Padały też słowa, że nie można tylko tkwić w tradycji: w gwarze, chlywikach, laubach i śpiewach przy piwie i krupnioku. Bo przecież świat się zmienia. I Śląsk także. Co ma być dalej ze Śląskiem? Jaka ma być jego przyszłość? Wtedy mało kto zdawał sobie sprawę z problemów, jakie czekały Śląsk w najbliższej przyszłości.

Na Górze Świętej Anny były wtedy inne, interesujące rozmowy i wiele ciekawych ludzi, w tym także - jak mówiono „nawiedzonych”. Jeden z nich założył Zrzeszenie Miłośników Wojciecha Korfantego i zamierzał - jak mówił walczyć o naprawienie krzywd, jakich Korfanty doznał od przedwojennego sanacyjnego rządu. Ale najważniejsze było że mogliśmy my Ślązacy być razem, pogodać, pośpiewać, powspominać. Żałowałam, że tej chwili nie dożyły moje starzyki i mój tata.

31. Śląskie godanie

Powstałe śląskie organizacje starały się z różnym skutkiem wchodzić w politykę. Niektórzy z ich członków, szczególnie Związku Górnośląskiego zostali posłami do Sejmu, senatorami, prezydentami i wiceprezydentami miast, zasiedli w ławach Sejmiku Śląskiego, wybierano ich też do innych władz. Zaczęło się zarazem widoczne zainteresowanie sprawami śląskimi. Rozpoczęły się akcje śląskiego śpiewania dla dzieci i młodzieży, pierwsze próby wprowadzania edukacji regionalnej do szkół, organizowano tzw. Śląskie Gody. Ale najbardziej widocznym znakiem zmian stał się konkurs gwary „po naszymu czyli po śląsku”, zorganizowany po raz pierwszy w roku 1993 przez dziennikarkę Radia Katowice Marię Pańczyk.

Na Śląsku sie godało albo rządziło, a nie mówiło. Ale tak naprawdę to coraz mniej ludzi robiło to na co dzień, do tego poza domem. Godało się najczęściej na wsiach, w familokach, w starych dzielnicach miast, choć i tam nie zawsze. Kiedyś chciałam w Hajdukach kupić w piekarni konsekwentnie kołocza z posypką¹⁵⁴. Dziewczyna, która sprzedawała spojrziała na mnie dziwnie i spytała, czy chodzi mi o kołacz? A jeśli tak to jaki?

Ogłoszenie konkursu było więc dla ludzi sygnałem, że gwara jest ważna i nie trzeba jej się wstydzić. I musi być coś warta skoro za godanie po śląsku są nagrody w pieniądzu i rzeczowe. Dzięki konkursowi można było też pokazać się na binie¹⁵⁵, inni mogli nos obejrzyć w telewizji lub posłuchać w radio.

Godanie po śląsku oceniali ważni i szanowani ludzie. Profesor Jan Miodek urodzony w Tarnowskich Górach, co to w telewizji uczył Poloków godać poprawnie po polsku. Profesor Dorota Simonides z Opola, rodem z Nikisza, specjalistka od etnografii i folkloru. Bolesław Lubosz literat, też z Tarnowskich Gór, autor wielu książek o Śląsku. I Kazimierz Kutz z Szopienic, znany w kraju reżyser, w tym słynnych śląskich filmów.

Uczestnik konkursu miał wygłosić godka po śląsku na wybrany temat. A potem odpowiedzieć na pytania jury, które mogły dotyczyć np. pochodzenia nazwy rodzinnej miejscowości, niektórych śląskich słów, czy w ogóle śląskiej historii, tradycji, kultury.

Zachęcało to do zainteresowania się historią i kulturą Śląska, z czym nie było najlepiej. W roku 1991 Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Katowicach zorganizowała wystawę „Z dziejów szkolnictwa na Górnym Śląsku”, na której pokazano rozwój szkół śląskich od XVII wieku do roku 1939, od szkół katolickich i ewangelickich do polskich szkół państwowych. Na wystawę przychodzili najczęściej uczniowie szkół podstawo-

¹⁵⁴ kawałek kołacza z kruszonką

¹⁵⁵ scena, estrada

wych, których interesowały głównie stare łąki i liczydła, na których uczyli się rachować ich babcie i starzyki. Mało było zwiedzających spośród uczniów szkół średnich, a jeszcze mniej było studentów. Czyli przyszłych inteligentów, którzy mieli potem uczyć historii Śląska i zachęcać do jej poznawania. Namawiałam moją koleżankę Ulę, aby na lekcjach wychowawczych starała się zainteresować swoich uczniów historią Śląska, a przynajmniej historią Hajduk i najbliższej okolicy. Podobnie jednego z księży na Tysiącleciu, aby spróbował zrobić to na lekcjach religii. Powiedziałam mu nawet, żeby przy spowiedzi za pokutę, zamiast odmawiania modlitw, kazał młodym ludziom przeczytać książkę o Śląsku. Oboje próbowali to zrobić w różny sposób. Ula zapraszała na lekcje żyjących jeszcze w Hajdukach powstańców, zachęcała dzieci do przynoszenia pamiątek, np. zachowanych jeszcze czapek powstańczych, chodziła z dziećmi do muzeów, jeździła na wycieczki na Górę św. Anny, czy do zamku w Toszku. Ksiądz Stanisław zachęcał do lektury książek z historii Śląska, potem organizował dyskusje. Przybliżało to trochę nieznaną ojczystą historię, ale stale za mało.

Pierwszy konkurs gwary śląskiej odbył się w Teatrze Śląskim, gdzie było stosunkowo niewiele miejsc. Bo organizatorzy pewnie nie wiedzieli ile ludzi będzie zainteresowanych słuchaniem śląskiej godki. Ale na konkurs przyszło tylu chętnych, że następne organizowano już w Dyjczymer Pałascie, albo w Domu Muzyki i Tańca w Zabrzcu. Choć i tam trudno było dostać bilety, musiałam więc prosić o pomoc brata, który był członkiem rady nadzorczej Radia Katowice.

Ludzie zaczęli przyjeżdżać na konkurs z różnych stron, nie tylko z województwa katowickiego, ale i z opolskiego, w tym z Żędowic. Przyjeżdżali też z zagranicy, z Niemiec i z czeskiego Zaolzia. Najmniej ludzi zgłaszało się na konkurs z samych Katowic, co mogło świadczyć, że tutaj w stolicy województwa mało kto umie godać po śląsku. Z biegiem czasu do konkursu zaczęli zgłaszać się i gorole, którzy musieli się śląskiej godki nauczyć. A jedna gorolka mieszkająca w Bytomiu - Miechowicach dostała się nawet do finału.

Konkurs kazał nie tylko przypomnieć sobie gwarę, ale i poszukać w doma śląskich łąchów¹⁵⁶, tak aby przyjść na niego w fajnym, dawnym obleczeniu¹⁵⁷. Zachęcił też, aby poszukać w piwnicy, albo na górze¹⁵⁸ starych sprzętów, jakich kiedyś używali Ślązacy.

Można było się pośmiać¹⁵⁹ jak Langerka z Radlina odpowiadała „szlag fertig”¹⁶⁰ panu Kutzowi na jego ironiczne pytania, i z tego jak sam profesor Miodek wykręcał pranie z Grzegorzem Stasiakiem z Rudy Śląskiej.

¹⁵⁶ ubranie, strój

¹⁵⁷ ubrani

¹⁵⁸ strych

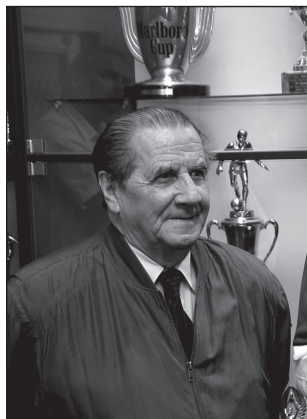
¹⁵⁹ pośmiać się, ubawić

¹⁶⁰ dosadnie

I wzruszyć się - jak Henryk Konek z Gotartowic koło Rybnika łospro-
wioł¹⁶¹ o koniu co to oślepl w kopalni ciągnąc tam wózki z węglem. Albo
- jak pani Duńska z Katowic opowiadała o szlajerze dło cery¹⁶², który
oglądała w sklepie, a cera potem poszła do klasztoru.

Na konkursach przekonałam się nie pierwszy raz jak różnie godają w
poszczególnych częściach Śląska. Dziełołcha spod Jastrzębia opowiadała
jak w doma zabijali babucia. A że babuść to wieprzek nie wiedziała nawet
pani profesor Simonides z jury. W Cieszyńskim mówią na śmietnik gromad-
nik, a u nos hasiok. U nos sie wadzą¹⁶³, a kaj indziej sie jaszczą. Zdziwiło mnie
też wielce jak na święcie Śląska w Koszęcinie znany mi z domu panszkraut,
czyli kapusta wymieszana z kartoflami i umaszczona szpyrką nazywała się
ciapkapusta .

W roku 1998 odbyły się dwa konkursy gwary śląskiej, jeden w Katowic-
cach, a drugi w Teksasie. Ślązacy byli pierwszymi osobami z Polski, które
tam się osiedliły. W roku 1854 do Teksasu wyjechała pierwsza grupa
ludzi za radą ks. Leopolda Moczygemby, rodem z Płużnicy koło Toszka.
Z Płużnicy wyjechało najwięcej ludzi, w tym przodkowie Antoniego Ko-
sza, przyjaciela taty z harcerstwa. Jego matka przechowywała listy swo-
ich braci wysłanych z miejscowości Panna Maria, które pisane w gwarze
śląskiej przychodziły jeszcze do roku 1910. Tata sięgnął po nie i opraco-
wał, a niektóre z nich opublikował wraz ze słownikiem, bo wiele za-
wartych w listach słów jest już dzisiaj nieznanym. Do Teksasu wyjechali



*Gerard Cieślík, Honorowy
Ślązak Roku 1998, Honorowy
Obywatel Chorzowa*



*Cieślík po słynnym meczu reprezentacji
Polski z ZSRR na Stadionie Śląskim, 20
października 1957 (2:1)*

¹⁶¹ opowiadał

¹⁶² welon dla córki

¹⁶³ kłóć się

też w XIX wieku ludzie z Żędowic. A niektórzy nazywali się Bronder jak dzisiejsi właściciele znanej żędowickiej karczmy. A były też Kolibaby, jak nazywa się zięć ciotki Anny, pochodzący z Wierchlesia koło Jemielnicy.

Ślązacy żyją w Teksasie do dzisiaj i w co trudno uwierzyć nadal godają po śląsku. To jest dla nich po polsku. Najlepiej godają widać kobiety, bo trzy z nich wygrały konkurs „po naszymu czyli po śląsku”: Sally z teksańskiej Częstochowy, Loretta z Panny Marii i Magdalena z Kościuszko.

Od roku 1995 w konkursie przyznaje się też tytuł Honorowego Ślązaka Roku za zasługi dla rodzinnej ziemi. Spośród innych Honorowym Ślązakiem został także Gerard Cieślik, znany piłkarz i synek z Hajduk.

32. Jak nie ma roboty to trza się uczyć

Kiedy nastał kapitalizm to jakaś niemłoda kobieta, spotkana przypadkowo w autobusie powiedziała mi, że teraz bydzie jak w starej Polsce. To jest jak przed wojną – bezrobocie i bieda. Staralam się ją przekonać że nie ma racji, że dzisiaj jest inny kapitalizm. Nowoczesny, dający ludziom pracę i wszystko czego im potrzeba. Mówiąc to miałam w pamięci Niemcy i inne kraje zachodnie, które udało mi się zwiedzić w czasach Gierka.

Tymczasem zaczęto likwidować zakłady. Likwidowano zakłady które zatrwały środowisko, jak: Koksownia Gliwice i Karbidownia Bobrek, czy Zakłady Chemiczne w Tarnowskich Górach, ale i takie co miały trudności w dostosowaniu się do warunków gospodarki rynkowej.

Likwidacje przedsiębiorstw nie ominęły też Chorzowa. W roku 1993 huta Kościuszkó wygasila ostatni piec martenowski i tym samym zakończyła działalność surowcową. W tym samym roku zburzono też jej znane kominy.

W roku 1993 z kopalni Barbara-Chorzów wyjechał ostatni wózek z węglem, a górnicy zgodnie z piosenką kabaretu Rak – wynieśli ze szczyty ostatni klocek. Potem zlikwidowano pozostałe kopalnie, tak że Chorzów przestał być miastem górniczym, którym był od końca XVIII wieku, bo pierwszą kopalnię „Król” założono tu w roku 1791.

Wraz z likwidacją zakładów powietrze stawało się czystsze, ale za to pojawili się bezrobotni. Był to szok, bo dotąd ludzi stale do pracy brakowało. Bezrobotnych przybywało z roku na rok. Śląska wielkoprzemysłowa klasa robotnicza, jeszcze niedawno tak chwalona i hołubiona stawała się powoli niepotrzebna.

- Nie pomyślałbym że kiedyś na Śląsku braknie pracy - powiedział mi emerytowany górnik, który przed laty przyjechał tu spod Białegostoku z rzeszą innych . A teraz – jak mówił synowie nie mogą pracy znaleźć.

Przy likwidacji zakładów zaczęło jednak coś powstawać. Powstawały jak wszędzie banki i supermarkety, centra handlowe, ale i szkoły, w tym szkoły wyższe.

W przeciwieństwie do innych regionów na Śląsku nie było w roku 1945 analfabetyzmu, ale po 45 latach mieszkańcy województwa katowickiego byli gorzej wykształceni aniżeli średnio mieszkańcy Polski. Z badań socjologa Marka S. Szczepańskiego wynika, że w roku 1990 w województwie katowickim tylko 7% mieszkańców miało wyższe wykształcenie, podczas gdy średnio w kraju 10,5%¹⁶⁴. Wynikało to na pewno z tradycyjnych przekonań Ślązaków, że ważne są nie tyle wyższe studia ile konkretny fach, ale dodatkowo utwierdzało istniejące szkolnictwo, preferujące szkoły zawodowe, a nie licea ogólnokształcące i wyższe uczelnie.

¹⁶⁴ Górny Śląsk 2005. Scenariusz restrukturyzacji. Praca zbiorowa pod red. Marka S. Szczepańskiego. Katowice 1994

Wraz z likwidacją zakładów przemysłowych zamykano zasadnicze szkoły zawodowe, a niekiedy likwidowano je z oszczędności. Po latach dostrzeżono że nie były to trafne decyzje, bo przecież wykwalifikowani robotnicy też byli potrzebni. W budynkach po zawodówkach, po szkołach górniczych i innych powstawały licea ogólnokształcące, średnie szkoły zawodowe i wyższe uczelnie.

Kształceniu się sprzyjało rosnące bezrobocie, które dotykało szczególnie ludzi młodych. Zakłady wykorzystując sytuację na rynku pracy mogły wybierać sobie pracowników. I wybierały zwykle tych z najwyż-



W 1993 roku przestała funkcjonować ostatnia kopalnia na terenie Chorzowa

szymi kwalifikacjami, nawet kiedy stanowisko pracy tego nie wymagało. Wyższe wykształcenie stało się więc szansą dostania lepszej pracy, a czasem pracy w ogóle. To przekonało praktycznych Ślązaków do dalszej nauki. Nawet starsi ludzie zaczęli mówić, że jak nie ma roboty to trza sie aby uczyć. Bo to zawsze lepsze od nic nie robienia! I od smykania się¹⁶⁵, popijania i chacharzenia¹⁶⁶.

Liczba studiujących rosła więc z roku na rok. O ile w roku 1990 w województwie katowickim studiowało tylko niespełna 33 tysiące mło-

¹⁶⁵ Włóczyć się

¹⁶⁶ łobuzować

dych ludzi, to w roku 1995 już 71 tysięcy¹⁶⁷, czyli ponad dwa razy więcej. A w dalszych latach studiujących było jeszcze więcej.

Podjęcie nauki stało się tym łatwiejsze, że wyższe szkoły zaczęły powstawać coraz bliżej domu. A więc nie tylko w Katowicach, stolicy województwa, ale i w innych śląskich miastach. Liczba wyższych uczelni rosła z roku na rok, tak że aktualnie nie ma chyba na Śląsku większego miasta bez szkoły wyższej. W Chorzowie zaczęło się od utworzenia Szkoły Zarządzania Uniwersytetu Śląskiego na terenie dawnej jednostki wojskowej, potem powstawały kolejne i aktualnie w mieście jest 5 wyższych uczelni.

Nowe, niepubliczne uczelnie zaczęły kształcić głównie ekonomistów, specjalistów od biznesu, zarządzania, rachunkowości, administracji, bankowości. Potem kierunki studiowania uzupełniono o pedagogikę, nauki społeczne, turystykę i hotelarstwo.

Cieszyło mnie że kształcono takich specjalistów, ekonomistów, a szczególnie humanistów, którzy byli Śląskowi potrzebni. Dziwiło mnie natomiast, że na Śląsku, w regionie z przemysłowymi tradycjami nie powstała w tym czasie żadna wyższa szkoła techniczna.

Jedyna jak dotąd w regionie niepubliczna wyższa szkoła techniczna powstała w Katowicach dopiero w roku 2003 i prowadzi studia w zakresie budownictwa, architektury i urbanistyki, gospodarki przestrzennej. Prawdopodobnie kształcenie ekonomistów i humanistów było łatwiejsze, bo nie wymagało laboratoriów, warsztatów, specjalistycznych pracowni itp. A może zabrakło wizji - co będzie dalej ze Śląskiem? Co się będzie tutaj w przyszłości robić i jacy fachowcy będą potrzebni? Braki inżynierów zauważono dopiero po latach kiedy zakłady zaczęły ich poszukiwać.

Było to na pewno błędem, nie jedynym zresztą, ale zarazem trudno przecenić pozytywne efekty rozwoju szkolnictwa na Śląsku. Bo od tej pory Ślązacy zrozumieli że trzeba się uczyć, że kształcenie się, zdobywanie wiedzy jest ważniejsze niż tylko robota w wyuczonym fachu.

¹⁶⁷ Roczniki Statystyczne Województwa Katowickiego 1991 i 1997. WUS Katowice 1991 i 1997

33. Dobrze że nasi ojcowie tego nie dożyli

Miasta i osady na Śląsku powstawały zwykle w pobliżu kopalni, huty, czy innego zakładu przemysłowego. I zakład ten stawał się dla mieszkańców pracodawcą, żywicielem, gwarantem życiowej egzystencji. Jego likwidacja naruszała więc cały społeczny porządek, a o skutkach tego pisała prasa i pokazywała je telewizja. W filmach i reportażach pokazywano Lipiny z odrapanymi, zaniedbanymi domami i zbierającymi złom zapitymi ludźmi. W telewizji niemieckiej pokazano szokujący film o zniszczeniu Bobrka, dzielnicy Bytomia. Po obejrzeniu czegoś takiego chciało się od razu ze Śląska uciekać. Zaczęto też pisać w prasie o bezrobotnych miastach, takich jak: Żory, Świętochłowice, Szopienice, Leszczy-ny, Czerwionka koło Rybnika.

Mieszkańcy Hajduk pracowali głównie w Hucie Batory. Czytałam w miejscowej prasie że Huta Batory jest jedną z trzech hut jakościowych w Polsce, producentem ponad 500 gatunków stali, że huta eksportuje swoje wyroby na prawie wszystkie kontynenty. Huta się unowocześniała, bo w roku 1995 wprowadzono tu system zarządzania jakością według normy ISO 9002, zrealizowano zadanie „Proekologiczna modernizacja stalowni”. Następnie w roku 1997 zainstalowano nowoczesne układy odpylające oraz zlikwidowano ostatni piec martenowski. Dzięki temu Huta Batory miała przestać kopcić i zatrać środowisko. Pomyślałam wtedy, że teraz w Hajdukach będzie czystiej, a kobiety nie będą musiały tyle sprzątać i pucować jak moje babcie i mama.

Ale zarazem i tutaj podobnie jak w innych hutach produkcja spadała. Dziwiło mnie to, bo przecież rozwijające się gospodarki, a taką była ponoć gospodarka polska potrzebują stali. Ale pomyślałam że być może jest to związane z przeprowadzonymi inwestycjami i zmianą profilu produkcji. Zaczęto tu jak wszędzie ograniczać zatrudnienie. O ile w roku 1980 hucie pracowało 9 tysięcy ludzi, to w latach 90-tych liczba zatrudnionych spadła do 5 tysięcy, a następnie do 3.900 pracowników¹⁶⁸.

Ludzi zaczęto wysyłać na emerytury. Wpierw tych z długim stażem pracy. W połowie lat 90-tych emerytami zostali moi koledzy z podstawówki, którzy łącznie z latami szkoły zawodowej mieli już 40 lat pracy. Zaczęłam ich spotykać jak chodzili z żonami na zakupy, czy na cmentarz. A oni się dziwili że ja jako kobieta jeszcze robia! Bo przeca nie ma roboty dla młodych! Potem na emerytury, renty i różnego rodzaju świadczenia szli coraz młodszy ludzie. Jak spotykałam znajomych pracujących w hucie Batory to najczęściej słyszałam, że są już na emeryturze, czy rencie, albo się na nie wybierają. Wielu mówiło że w hucie są listy ludzi do zwolnienia i oni na niej są. Pójdą więc na świadczenie przedemerytalne, albo na zasiłek.

¹⁶⁸ Goniec Górnośląski nr 38/1998

Widać też było że ludzie mają coraz mniej pieniędzy. Ekspedientki w sklepach mówiły że ludzie kupują coraz mniej, a jak już to najtańsze rzeczy. Zaczęli też coraz częściej liczyć swoje fyniki¹⁶⁹, co dostawali na pynsyjo¹⁷⁰, albo ze świadczenia.

- Może ludzie zaczną zaś kupować na pomp¹⁷¹ jak przed wojną - godali starsi. Albo na zeszyt - jak mawiali gorole. Wiele ludzi przestawało płacić płat, czyli czynsz, zalegać z opłatami za prąd i gaz.

W roku 1998 huta Batory obchodziła swoje 125-lecie. Przypomniałam sobie jak 25 lat temu na 100-lecie huty została wydana książka taty, napisana wspólnie z Gerardem Szędzielorzem¹⁷². Trzecią książkę na 120-lecie huty wydano w roku 1993¹⁷³. Z okazji jubileuszu 125 lat huty Batory prezydent Chorzowa życzył jej na łamach „Gońca Górnośląskiego” wszelkiej pomyślności, dodając że jest dobrze postrzegana. Wynikało stąd, że huta Batory ma się dobrze.

Ale niedługo potem coś innego usłyszałam od Andrzeja. Andrzej brat Bogusi pracował w Dziale Kadr i spotkałam go jak jechał do ZUS-u z teczkami dokumentów pracowników, którzy mieli przejść na emeryturę, renty, różnego rodzaju świadczenia i zasiłki.

- Dobrze, że nasi ojcowie tego nie dożyli - powiedział Andrzej, bo jego zdaniem w hucie działo się coraz gorzej.

Przypomniałam sobie mojego tatę pracującego w hucie tyle lat. I chodzącego do huty jeszcze na emeryturze, prawie codziennie aż do ciężkiej choroby i śmierci. Co powiedziałyby dzisiaj gdyby jego hutę zlikwidowano? Albo ojciec Andrzeja i Bogusi, który przyjechał po wojnie do Hajduk ze Stalowej Woli i dla którego huta Batory była do końca życia sprawą najważniejszą? Zresztą Bogusia i Andrzej też przepracowali w hucie całe swoje zawodowe życie.

¹⁶⁹ bilon, drobne pieniądze

¹⁷⁰ emerytura

¹⁷¹ kredyt

¹⁷² Loch A., Szędzielorz G., Sto lat Huty Batory 1872-1972. Huta Batory 1972.

¹⁷³ B.Widuch. G.Szędzielorz. J. Kędzierzawski. R.Kurek. Huta Batory. Chorzów 1993

34. Koniec wieku

Pod koniec wieku stałam się emerytką. Byłam z tego zadowolona, bo ośrodek w którym pracowałam był o krok od likwidacji, chociaż zajmował się ważną i tak potrzebną dziedziną jak ochrona środowiska. Ale z drugiej strony było mi smutnie, bo zdawałam sobie sprawę że życie mijało i odchodził w przeszłość dawny śląski świat. Mój świat.

Przypominałam sobie liczne prognozy, jakie opracowywaliśmy w latach siedemdziesiątych, a potem w latach osiemdziesiątych, które dotyczyły końca XX wieku. Zakładaliśmy w nich mniej lub bardziej optymistyczną przyszłość, dalszy wzrost produkcji, rozwój, poprawę warunków życia. Wtedy nikt nawet w myślach nie przewidywał końca śląskiego przemysłu, upadku miast, bezrobocia. A tak się stało.

Z końcem XX wieku powietrze na Śląsku stało się czystsze, mniej było brudu i smrodu. Ale zarazem stawał się coraz bardziej zaniedbany, zaśmiecony, opuszczony. Ginął – jak śpiewał Józef Skrzek. Po zlikwidowanych zakładach pozostawały niszczące dawne hale, urzędnia, które teraz były żelastwem, chętnie rozkradanym i sprzedawanym na złom. Zostawały zaniedbane miasta, ich dzielnice, a w nich familoki, zakładowe domy, w których zostali najczęściej ci, którzy nie mieli gdzie uciec, emeryci i renciści z kopalń, hut i innych zakładów. Domy te czasem sprzedawano razem z lokatorami, jak to stało się w Zabrze. A wtedy dochodziło do prawdziwych tragedii, bo nowy właściciel od razu kilkakrotnie podnosił czynsze. Stare dzielnice miast stawały się też coraz bardziej niebezpieczne, bo wiadomo że jak nie ma roboty to jest bieda i ludzie zaczynają kraść i chachażyć.

I widać było coraz bardziej jak Śląsk biedniał. Według oceny socjologa Marka S. Szczepańskiego - na przełomie XX i XXI wieku 200 tysięcy ludzi żyło na Śląsku w skrajnym ubóstwie, a 1,5 miliona na poziomie minimum socjalnego¹⁷⁴.

Odchodził nie tylko dawny Śląsk, ale i bliscy mi ludzie. Nie było już starzyków urodzonych pod koniec XIX wieku. I tych co urodzili się na początku XX wieku: taty, cioci Marysi i cioci Heli, najbardziej rodzinnej z ciotek, z której śmiercią skończyły się dobre kołoczki i najlepsze na świecie torty. I rodzinne spotkania na odpuszcie w Hajdukach każdego roku 15 sierpnia. Nawet w hajduckim kościele ludzie nie śpiewali już tak ładnie jak kiedyś. A na odpustowej sumie spotykałam coraz mniej znajomych. Zmarło też wielu bliskich ludzi w Żędowicach: ciocia Kunda, Anna z Sidlonga, ujki Józek i Roman, urodzeni podczas I wojny światowej. Pod koniec roku 1999 zmarła po długiej chorobie mama.

¹⁷⁴ Szczepański M., Dzieci Midasa i Łazarza, Górny Śląsk na przełomie wieków, Katowice- Piekary 2002

Po śmierci mamy wybrałam się do Huty Batory po pieniądze z kasy pośmiertnej, zwanej szterbką, którą tata i inni pracownicy całe życie opłacali. Kasa znajdowała się w gmachu tzw. nowej dyrekcji i tam zaskoczyła mnie cisza oraz pustka na korytarzach. Ludzie przychodzili i odchodzili, wiele biur było zamkniętych. Andrzej miał rację – pomyślałam. Huta naprawdę się kończy.

Brat nadal mieszkał w Warszawie. Skończył tam studia podyplomowe z zakresu organizacji i doradztwa finansowego. Został doradcą ministrów w kolejnych rządach, był udziałowcem i dyrektorem w jednej ze spółek polsko – niemieckich, a potem prezesem jednego z powstałych Narodowych Funduszy Inwestycyjnych. Napisał książkę o biznesie i marzył o napisaniu książki beletrystycznej. Wiele mu się w stolicy udało i w roku 1995 zaliczono go do osób mających widoczne sukcesy w gospodarce. Ale mówił, że nigdy nie będzie Warszawiakiem. I miał rację, bo potem często przegrywał z różnymi cwaniami, nie tylko warszawskimi, którzy chcieli zbyt szybko dojść do wielkich pieniędzy. A brat chciał wszystko zrobić uczciwie, po śląsku. No cóż, był przecież z Chorzowa, z Hajduk.

Jego córka Hania czuła się już Warszawianką, czemu trudno się dziwić, bo przyjechała do Warszawy mając 5 lat. Odziedziczyła rodzinne zainteresowania, a po dziadku Alojzie dociekliwość, pracowitość i konsekwencję. Interesowała się literaturą, filozofią, pisała opowiadania, uczyła się języków obcych i tłumaczyła wiersze z angielskiego. Po zdaniu matury chciała studiować. Myślała o filozofii, filologii klasycznej. Uczyła się angielskiego i chciała podróżować, jeździć po świecie, poznawać inne kraje, kultury, ludzi. Ale nie mówiła już po „naszymu” i jeździła na Śląsk, a nie do dom. Jednak zna wiele śląskich słów, bo podobno rozwiązała kiedyś jakiś test i wyszło z niego, że jest prawdziwym hanyssem...

W roku 1997 liceum na Farnej obchodziło 50-lecie i z tej okazji odbył się zjazd absolwentów. Z naszych obu klas przyszło tylko 8 osób z 45 tych, którzy 39 lat temu zdali tutaj maturę. Cieszyliśmy się spotkaniem po latach, patrząc na nasze siwe włosy, zmarszczki i większe niż kiedyś gabaryty. Byli też nasi dawni belfrzy, polonista Kazimierz Wygaś zwany Świnką i chemik Rudolf Kieszkowski, późniejszy dyrektor liceum im. Słowackiego w Chorzowie. Nazywaliśmy go tytkorz, bo mówił, że możemy pisać zadania choćby na tytkach, papierowych torbach po cukrze, czy mące, byle dobrze. Wspominaliśmy dawne, dobre czasy i zastanawialiśmy się gdzie jest reszta naszych koleżanek i kolegów? Czy żyją i gdzie? Czy w świecie, gdzie zawłókł ich los nie wiedzą o spotkaniu po latach? Albo - czy zwyczajnie nie mieli na nie czasu i ochoty?

Pod koniec XX wieku nie powstał Euroregion Śląski jak chciał kiedyś wojewoda Czech. W roku 1999 przeprowadzano w kraju reformę administracyjną i powstała szansa zintegrowania Górnego Śląska poprzez połączenie województw katowickiego i opolskiego w jeden region górnośląski. To się nie

udało, bo mieszkańcy województwa opolskiego z determinacją bronili swojej samodzielności. Nie chcieli, jak mówili – iść do Katowic ! W telewizji pokazywano jak protestowali trzymając się za ręce w łańcuchu solidarności, a wspierali ich ważni i znani ludzie, w tym profesor Dorota Simonides rodem z katowickiego Nikiszowca, a mieszkająca w Opolu. Byłam zła na mieszkańców Opolszczyzny, w tym szczególnie na rodowitych Ślązaków, o czym mówiłam głośno w Żędowicach. Bo uważałam, że razem moglibyśmy być jako Ślązacy silniejsi, nasz głos byłby wtedy głośniejszy i bardziej w kraju słyszany.

Ale Żędowianom było „wszystko jedno”, albo tłumaczyli mi, że po co im należeć do Katowic, skoro nie mogą nawet oglądać katowickiej telewizji na 3 programie, a tak wtedy faktycznie było. A wiadomości z Wrocławia oglądać mogli. Poza tym dla nich ważne było co innego. Chcieli wyjeżdżać do pracy do Niemiec i Holandii, a to ułatwiała przynależność do mniejszości niemieckiej.

Ludzie zwalniani z hut w Zawadzkiem i Ozimku zaczęli jeździć tam do pracy, inni także, i praktycznie nie było w Żędowicach domu w którego by ktoś nie wyjechał. Niektórzy zostawiali własne gospodarstwa, bo praca na nich przestała się opłacać.

Zarobione w Niemczech i w Holandii pieniądze inwestowano, stąd w przeciwieństwie do naszych miast Żędowice piękniały. Zniknęły stare chałupy zwane dworem, gdzie urodził się starzyk Roman, a na ich miejscu powstały nowe, piękne domy. Remontowano też stare domy i trudno było poznać dom Kubillasów, z którego pochodziła babcia Wiktoria z Bandurskiego. Na żędowickich placach było coraz mniej gowiedzi, kur, gęsi, o krowach nie wspominając, a coraz więcej wielkich zachodnich aut, i anten satelitarnych na domach. Zresztą podobnie było na innych opolskich wsiach i widać było coraz wyraźniej kaj mieszkali tutejsi, a gdzie hadzajae...

Tak kończył się XX wiek i zbliżał się rok 2000, a wraz z nim, jak wielu sądziło rozpocznie się Nowy XXI Wiek. Faktycznie Nowy XXI Wiek zaczynał się 1 stycznia 2001. Ale rok 2000 był Rokiem Świętym, obchodzonym w Rzymie co 25 lat. Dałam się więc namówić Marysi na wyjazd do Rzymu w grudniu 1999, aby tam w stolicy chrześcijaństwa powitać Rok Święty, a zarazem być tam na przełomie wieku XX i XXI.

W grudniu 1999 Wieczne Miasto było rozkopane, pełne pielgrzymów i turystów. Po nabożeństwie dziękczynnym w bazylice św. Piotra weszliśmy w ścisku i typowym włoskim bałaganie z tłumem na plac. W ciepły sylwestrowy wieczór AD 1999 Włosi grali i śpiewali. My też próbowaliśmy, a co chwilę ktoś podchodził z życzeniami, oraz z butelką i kieliszkiem, aby wypić za Stary i Nowy Rok . A zarazem za Stary i Nowy Wiek. Było radośnie i beztrzesko.

- Popatrz, w tym Nowym XXI Wieku wszyscy tu obecni umrą - powiedziała nieoczekiwanie Marysia. Przez moment zrobiło się cicho, bo każdy z nas uświadomił sobie że faktycznie. I że On też umrze. O północy w oknie pojawił się Jan Paweł II. Zaczęła się wspólna modlitwa.

35. Epilog

Na początku XXI wieku moja bratanica Hania była studentką filologii klasycznej na Uniwersytecie Warszawskim. A zarazem pierwszą osobą w naszej rodzinie, która nie wybrała konkretnego fachu, lecz studia zgodne z zainteresowaniami. Pomyślałam, że dziadek Alojz cieszyłby się, że jest zdolna i studiuje, ale martwiłby się pewnie co będzie potem robić? Inni zresztą też mieli wątpliwości.

Ale Hania była zadowolona. Uczyła się greki, łaciny, także angielskiego, francuskiego, potem niemieckiego. Dużo czytała, kochała Słowackiego i Nietzschego, a „Literaturę Greków i Rzymian” autorstwa Zygmunta Kubiaka uważała za jedną z najlepszych książek. Po licencji wyjechała do Getyngi, gdzie na Uniwersytecie Georga Augusta studiowała germanistykę i filozofię. Następnie na Walijskim Uniwersytecie w Bangor studiowała zarządzanie dziedzictwem kulturowym, a jedną ze swoich prac napisała o adaptacji zabytkowego budynku w Bytomiu na hotel.

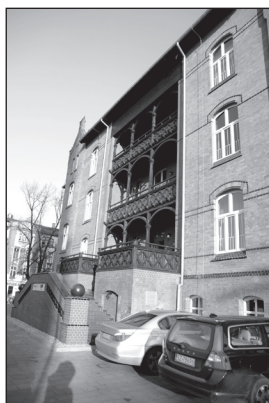
W maju 2006 dostała dyplom Master of Arts in Heritage Management, czyli magistra sztuki w zarządzaniu dziedzictwem kulturowym. Dyplom napisano w języku walijskim i angielskim. Potem była jeszcze stażystką w Komisji Europejskiej w Brukseli. I wróciła do domu, do Warszawy, gdzie nikt nie czekał na osobę o tak wysokich kwalifikacjach. Próbowwała pisać do gazet, uczyć angielskiego. Potem jak wielu młodych wyjechała z kraju. Uczy angielskiego Wietnamczyków w Hanoi.

W Hajdukach wiek XXI zaczął się od jubileuszu stulecia kościoła Wniebowzięcia NMP. We wrześniu 2001 odbywały się tutaj uroczyste msze św., było trzech biskupów, w tym biskup Ignacy Jeż, i wielu innych interesujących ludzi, śpiewał zespół „Śląsk” i otwarto muzeum poświęcone pamięci ks. Józefa Czempieła. W Domu Kultury odbyła się ciekawa konferencja.

Byłyśmy z Ulą na tych uroczystościach i cieszyło nas że w Hajdukach coś się dzieje. Bo na co dzień było raczej niewesoło. W tym czasie otwarto również muzeum huty Batory, co było widocznym znakiem czasu. Bo za niecałe dwa lata, w marcu 2003 Huta Batory, po równo 130 latach działalności ogłosiła upadłość.

Ale huta i tak została w Hajdukach. Zostały po niej dawne budynki, hale, grube rury wiszące nad ulicami. Widziałam wyburzenie hali przy ulicy 16 lipca, bo zrobiono to widowiskowo w jedno sobotnie przedołudnie w czasie dużego ruchu. Na tym miejscu stanął market Lidl.

Upadłą Hutę Batory kupił w kwietniu 2005 Roman Karkosik, jeden z najbogatszych Polaków. Karkosik urodzony na wsi pod Toruniem, absolwent technikum cukrowniczego rozpoczął karierę od prowadzenia baru. Potem produkował przewodniki elektryczne i kable, także butelki i inwestował na giełdzie. Dla Huty Batory stał się niejako drugim



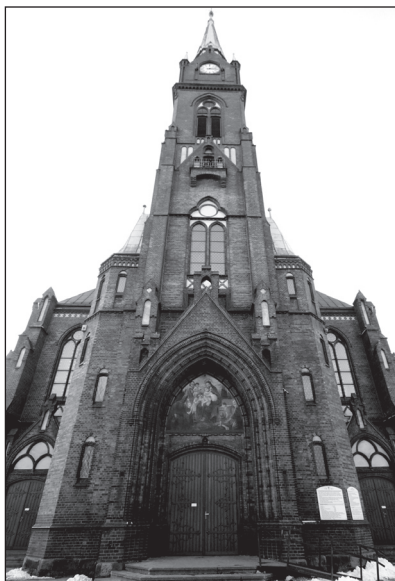
Odrestaurowane budynki przy ul. St. Batorego zyskały dawny blask

Kollmannem, choć na pewno innym. Wilhelm Kollmann, Westfalczyk, syn nauczyciela szkoły ludowej poprzedził budowę Bismarckhütte, a potem długoletnie w niej dyrektorowanie zdobywaniem doświadczenia i praktyką w hutnictwie Niemiec, Francji i Belgii. No cóż, inne czasy, nie ten kapitalizm i kapitałści!

Huta Batory nie jest już dla mieszkańców Hajduk podstawowym pracodawcą, miejscem, gdzie pracowały całe rodziny. Nie wysyła dzieci na kolonie, a pracowników na wczasy do własnych ośrodków. Hutnicza orkiestra nie gra już pracownikom na pogrzebach. A dawny hutniczy dom kultury jest teraz domem miejskim.

Ale Hucie Batory wiedzie się dobrze. Produkuje rury stalowe, wlewki, grube blachy. Osiąga zysk i ponoć dobrze płaci pracownikom. Ale widać nie wszystkim, bo i tutaj robotnicy już strajkowali.

W roku 2002 w Chorzowie stanął pomnik Friedricha von Reden, jednego z niemieckich twórców śląskiego przemysłu, który ściągnął tu m.in. maszynę parową. Myślę że był to symbol zmian zachodzących w mieście i na całym Śląsku. Grafowi von Reden postawiono w Königshütte, pomnik w roku 1853 na wzniesie-



Kościół Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny



Parada na ul. Wolności z okazji Święta Miasta

niu nazywanym do dzisiaj górą Redena. Stąd Reden miał patrzeć na hutę i miasto, które wokół niej wyrosło. Pomnik został zniszczony w roku 1945 i ponowne jego postawienie po 57 latach wywołało liczne polemiki i protesty. Bo kto to widział żeby Niemcowi stawiać w Polsce pomnik? A szczególnie na Śląsku, który przez lata spolszczano, a jego niemiecką przeszłość tępiono, bądź wstydliwie ukrywano. Tak jak ja chciałam kiedyś ukryć niemieckie książki z biblioteki taty.



Hania ze swymi uczniami w szkole w Hanoi

Pomnik grafa von Reden stanął w Chorzowie w czasie, kiedy w mieście nie było już kopalń i dawnych kominów huty Kościuszko, z których miasto było znane. Graf Reden stoi teraz w innym miejscu, na Placu Hutników i nie patrzy już na hutę, bo jej praktycznie nie ma. Patrzy na Chorzów, śląskie i polskie miasto, które bez dawnego przemysłu stara się znaleźć swoje nowe miejsce w przyszłości.

Chorzów podobnie jak inne śląskie miasta zaczął szukać swego miejsca sięgając do historii. W roku 2007 obchodzono uroczyste 750-lecie miasta, bo jego początki zaczęły się w roku 1257 jako wsi zakonu Bożogrobców z Miechowa. Rycerze Bożogrobcy stali się widoczni w mieście przy różnych okazjach, szczególnie na paradach, organizowanych co roku w czerwcu w Święto Miasta. Wtedy na ulicy Wolności jest gwarnie i wesoło, a w pochodzie obok rycerzy Bożogrobców idą i inne postacie związane z historią miasta, w tym także niemiecki król Wilhelm I, który w roku 1868 nadał Königshütte prawa miejskie. To przed laty byłoby nie do pomyślenia! Teraz jest to symbol jednej, wspólnej historii miasta: Chorzowa i Königshütte, Bismarckhütte, Hajduk i Chorzowa Batorego. Takie jest miasto w którym się urodziłam: było niemieckie, jest polskie, a przede wszystkim śląskie.

Chorzów staje się też miastem nauki i kultury. Są tu liczne szkoły, w tym pięć wyższych uczelni, jest Teatr Rozrywki, także teatr ogrodowy w pobliżu wieży szybu dawnej kopalni „Prezydent”, jest centrum kultury, są ciekawe spektakle i wystawy. Mieszka tu coraz więcej wykształconych ludzi.

W Hajdukach na pozór niewiele się zmienia, choć odnowiono kościół, dawną willę Kallenborna, odnawia się stare domy i dawny Arbeiterheim, hotel robotniczy, a ostatnio zakład badawczy huty. Zastanawiam się co tam w przyszłości będzie? Nadal dobre jest moje liceum przy ulicy Farnej i wielu młodych ludzi chce właśnie tam się uczyć. Odnowiono też dom kultury, gdzie czasami chodzę na koncerty i ciekawe sesje naukowe, poświęcone zarówno dawnej historii, jak i problemom, jakie niesie nam wszystkim obecne życie. Dzięki temu nie chodzę do Hajduk tylko na cmentarz.



Pomnik hrabiego Redena

Zakończenie

Na tym kończę swoje wspomnienia w których opisałam życie i losy mojej rodziny mieszkającej w Hajdukach i w Chorzowie w XX wieku, a zarazem i moje życie. Wspomnienia z dawnych i bliższych lat uzupełniają refleksje, jakie mi się nasunęły kiedy obserwuję zmiany zachodzące w Hajdukach, w Chorzowie, na Śląsku. Są to oczywiście refleksje kogoś kto tęskni za dawnym światem, za młodością, bliskimi, przyjaciółmi, za tym czym się żyło i uważało za swoje. Ale zarazem kogoś kto z sympatią patrzy na zachodzące na Śląsku zmiany, na próby wyjścia z zakłętego kręgu produkcji, ton i ciężkiej, brudnej pracy.

Zawsze chciałam, aby Ślązacy się uczyli, interesowali się czymś więcej niż tylko pracą, meczami, pić piwa, żeby poznawali własną historię, rozwijali kulturę, kształtowali własną tożsamość. Chciała tego moja nieżyjąca już przyjaciółka Ula - hajducka nauczycielka, mój tata, sądzę że wielu innych. I chcę wierzyć, że ci wykształceni Ślązacy nie będą potem z Chorzowa wyjeżdżać, że znajdą tu pracę, możliwość rozwoju, ciekawego życia.

Wspomnienia jakie napisałam o moich Hajdukach, o rodzinie, o osobach które znałam wymagały sięgnięcia do historii zarówno miejsc w których żyliśmy, jak i historii Śląska jako całości, do ważnych dat i zdarzeń, które zdecydowały, że losy mojej małej ojczyzny i nas wszystkich były takie, a nie inne. Była też okazja, aby przypomnieć sobie o ludziach, których życie i działalność wywarła istotny wpływ na dzieje Hajduk i nas wszystkich.

Książka mogła się ukazać dzięki życzliwości i pomocy ludzi, których spotkałam na swojej drodze. Chciałabym im wszystkim za to serdecznie podziękować.

Chcę przede wszystkim podziękować dr inż. Joachimowi Otte, zastępcy prezydenta Chorzowa ds. społecznych, znanemu z popierania wszelkich działań służących popularyzacji szeroko pojętej wiedzy o mieście. Dziękuję mu za zainteresowanie tematem oraz podjęcie działań, niezbędnych aby książka mogła się ukazać.

Serdecznie podziękowania należą się dr Jackowi Kurkowi z Uniwersytetu Śląskiego, recenzentowi książki za życzliwe uwagi dotyczące treści wspomnień, w tym za sugestie, aby rozszerzyć je o działalność przedwojennego, hajduckiego harcerstwa. A także - o sylwetki postaci związanych z harcerstwem, w tym mojego ojca, Alojzego Locha. Chcę też podziękować panu Henrykowi Komanderowi, najstarszemu radnemu w Chorzowie, pochodzącemu jak ja z Bładacza, za wiele istotnych uwag dotyczących przeszłości Hajduk.

Na koniec chcę podziękować bratu Jerzemu i jego rodzinie, w tym Hani za zachęcenie mnie do napisania tych wspomnień, przekonywanie, że warto podjąć ten trud. A także za rady, uwagi i udzieloną pomoc.

Bibliografia

Być dla, czyli myśleć sercem, Z Księdzem Biskupem Alfonsem Nosolem rozmawia Ksiądz Jerzy Szymik, Księgarnia św. Jacka, Katowice 1999.

Encyklopedia Powstań Śląskich, Instytut Śląski w Opolu, Opole 1982.

Iwaskiewicz Jarosław, Podróże do Polski. PiW Warszawa 1983.

Goniec Górnośląski 1998, nr 38.

Górny Śląsk 2005. Scenariusz restrukturyzacji, Praca zbiorowa pod red. Marka S. Szczepańskiego, Katowice 1994.

Klaussmann Anton, Oskar, Górny Śląsk przed laty, Muzeum Historii Katowic, Katowice 1996.

Kurek Jacek, Historia Włekich Hajduk, Chorzów Batory - Wielkie Hajduki 2001.

Morcinek Gustaw, Z mojej ziemi, Wydawnictwo „Śląsk” 1955.

Popiołek Kazimierz, Śląskie dzieje, Warszawa – Kraków 1981.

Roczniki Statystyczne Województwa Katowickiego 1991 i 1997, WUS Katowice 1991 i 1997.

Słownik poprawnej polszczyzny, PWN, Warszawa 1978.

Szczepański Marek S., Dzieci Midasa i Łazarza, Górny Śląsk na przełomie wieków, Katowice Piekary 2002.

Żyłka Józef ks. Cud w Żędowicach, Wydawnictwo św. Krzyża w Opolu.

KRYSTYNA LOCH urodziła się w Chorzowie Batorem, gdzie też ukończyła liceum im. Stefana Batorego. Następnie studiowała ekonomię, a po ukończeniu studiów pracowała jako ekonomista w przemyśle oraz w jednostkach naukowo-badawczych.

Jednocześnie publikowała na tematy związane z wpływem ekonomii realnego socjalizmu na życie społeczne: na pracę ludzi, ich życie, postawy. W publikacjach zamieszczanych m.in. w „Gościu Niedzielnym” pisała o tym jak gospodarka socjalistyczna, wydobywanie węgla i produkcja za wszelką cenę niszczyła systematycznie Górny Śląsk, jego środowisko naturalne i społeczne.

Zdobyła nagrody w konkursach ogłoszonych przez: Śląski Instytut Naukowy w Katowicach, „Rzeczpospolita” i redakcję Polskiej Rozgłośni Deutsche Welle oraz Zakład Socjologii Wydziału Organizacji i Zarządzania Politechniki Śląskiej w Gliwicach za prace związane z życiem Górnoszlązaków w XX wieku oraz polsko - niemieckim sąsiedztwem.



ISBN 978-83-60360-28-6